

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 3-4 (26-27)

tom VII 2021

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
J. Binkowski
T. Bóldak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
N. Bouvier
A. Chęciński
K. Choiński
J. Cywińska
P. Dahlberg
M. Dąbrowski
E. Dobozi
A. Dutka-Mańkowska
E. Eysymontt
S. Gibaszek
W. Holewiński
S. Janke
E. Kasjanowicz
D. Kirsch
A. Kiss
A. Książek
A. Kulik
R. Lasota
É.P. Maklári
W. Mandryka-Bukowiński
J. Marciniak
K. Mezey
P. Müldner-Nieckowski
W. Neumann
W. Okoń
W. Oramus
A. Patey-Grabowska

M.J. Piasecka
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
P. Podlipniak
J. Prokopiuk
K. Rudziński
K.S. Schreyer
A. Słomianowski
S. Stalmach
M. Strękowska-Zaremba
K. Sutarski
K.D. Szatrawski
B. Szczepańska „Judyta”
J. Śleszyński
K. Świegocki
J. Termer
G. Walczak
A. Wesółowska
P. Wojciechowski
O. Wójcik
S. Wroński
Z. Zarębianka
W. Żyszkiewicz



Andrzej Braun

MŁODY RZEŹBIARZ

Kto kupi ręce?

Sprzedaję dwie żywe ręce

zdolne się wdzierać w metal, w kamień, w drewno,
ręce garncarza, cieśli, drwala, kamieniarza,
które udźwigną pół świata.

Kto kupi ręce

za wór mąki, za sagan zupy?

Kto kupi oczy?

Moje studnie, moje góry, lasy, wschody i zachody,
moje błękity, biele, czerwienie i róże?

Morza, doliny, rzeki i ogrody?

Sprzedaję oczy za kawał mięsa,
za wody dzban.

Kto kupi radość sztuki? Dobry to interes.

Kto ból wybierze, większy będzie spryciarz.

Za to, abym mógł ręce dwie zanurzyć w glinie,
rzeźbić, kształtować, ciosać, rąbać, lepić —
życie sprzedaję do ostatniego tchu.



**Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa**

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok VII Nr 3-4 (26-27) 2021

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

I tak się trudno rozstać3

Władze OW SPP 2021-20245

Sylvia Gibaszek

Stale przekraczając granice

(Jerzy Prokopiuk 1931-2021)6

KRYTYKA

Donat Kirsch

Gra bezpamięci (Adam Kulik)17

Piotr Müldner-Nieckowski

Wacław Holewiński:

Krew na rękach moich 25

Małgorzata Strękowska-Zaremba:

Lilana 28

Piotr Wojciechowski:

Chleb z deszczem 30

Janusz Termer

O spektaklu „Roznamięty”

(Grzegorz Walczak)32

Grzegorz Walczak

O malarstwie Pera Dahlberga35

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Wiersze 36

Jerzy Binkowski

Ojciec Wenanty Katarzyniec 38

Sylvia Gibaszek

Wiersze 39

Eugeniusz Kasjanowicz

Wiersze 44

Andrzej Książek

Aforyzmy 47

Wiersze 49

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Miałem sen przedziwny 57

Jerzy Marciniak

Wiersze 59

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiersze 62

Alicja Patey-Grabowska

Wiersze 64

Paweł Podlipniak

Wiersze 68

Maria Jolanta Piasecka	
Haiku	71
Jan Krzysztof Piasecki	
Wiersze	73
Krzysztof Rudziński	
Wiersze	78
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Wiersze	81
Jerzy Śleszyński	
Wiersze	86
Sławomir Stalmach	
Wiersze	90
Grzegorz Walczak	
Roznamięty	91
Olga Wójcik	
Drogo	100

PROZA

Tamara Bołdak-Janowska	
Tamara BeJot – Tolo Szaleńczyk, Krótki dialog położniczy o tym, że Picia istnieje	101
Krótki dialog położniczy Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka o cudzysłowach	107
Andrzej Chąciński	
Historyk sztuki	113
Krzysztof Choiński	
Spotkanie po latach	122
Rafał Lasota	
Przeszedłem COVID na Narodowym	128
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Powroty	133
Jerzy Marciniak	
Bal z generałem II Korpusu	141
Piotr Müldner-Nieckowski	
Diabeł na placu Zbawiciela	148
Wiesława Oramus	
Pani i drzewa	154
Alicja Patey-Grabowska	
Ogórek	157
Maria Jolanta Piasecka	
Przeobrażenie	159

Krzysztof Rudziński	
Z tomu opowiadań „Nadgryzanie Gryzonii”	163
Andrzej Słomianowski	
Andrzejewski: Powrót Teścia	171
PRZEKŁADY	
Anna Bańkowska	
„John Barleycorn”	184
Alicja Patey-Grabowska	
Walter Neumann	186
Konrad Sutarski	
Anna Kiss	188
Katalin Mezey	189
Éva P. Maklári	189
Eszter Dobozi	190

KOLEKCJA LITERACKA Seria 2

1. Andrzej Chąciński	193
2. Jolanta Cywińska	201
3. Michał Dąbrowski	209
4. Nicolas Bouvier / tłum. Anna Dutka-Mańkowska	215
5. Ewa Eysymontt	223
6. Sylwia Gibaszek	231
7. Stanisław Janke	239
8. Agnieszka Wesołowska	245
9. Waldemar Okoń	251
10. Krzysztof D. Szatravski	259
11. Barbara Szczepańska „Judyta”	265
12. Kazimierz Świągocki	273
13. Szczęsny Wroński	281
14. Zofia Zarębianka	287
15. Waldemar Żyszkiewicz	293

Na okładce

Andrzej Braun (1923-2008)

Prezes SPP (1990-1993)

fot. Piotr Müldner-Nieckowski 1994

Małgorzata Karolina Piekarska

I tak się trudno rozstać

Deszcz

Mówiłam tobie już pięćdziesiąt kilka razy,
żebyś już poszedł sobie, przecież pada deszcz,
to przecie śmieszne takie stać tak twarz przy twarzy,
to jest naprawdę niesłuchanie śmieszna rzecz;

żeby tak w oczy patrzeć: kto to widział?
żeby pod deszczem taki niemy film bez słów,
żeby tak rękę w rękę trzymać: kto to słyszał?
a przecież jutro tutaj się spotkamy znów –

i tak się trudno rozstać, i tak się trudno rozstać,
no, nawet jeśli trochę pada, to niech pada –

i tak się trudno rozstać, i tak się trudno rozstać,
nas chyba tutaj zaczarować musiał deszcz.

(...)

Zacytowałam utwór Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z 1950 r., piosenkę do melodii Władysława Szpilmana, bo to mój ostatni wstępniak. I przyznam, że trudno mi się jako redaktor naczelna rozstawać z Kwartałnikiem Literackim „Podgląd”, ale – cytując inną piosenkę, której tekst napisał z kolei Andrzej Mogielnicki do muzyki Romualda Lipki – „nic nie może przecież wiecznie trwać”.

Pozostaję jednak naszego czasopisma redaktorem.

Gdy wymyślałam „Podgląd”, idea była taka, że redaktorem naczelnym powinien być ten, kto piastuje stanowisko prezesa Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Miało to na celu zachowywanie spójności kwartalnika z zarządem, oddziałem itd. Wprawdzie gdy czytają Państwo te słowa, jest już inny zarząd, ale... kalendarz jest kalendarzem. Termin nadsyłania utworów do łączonego numeru 3-4 (26-27) upłynął 30 września 2021. Wybory do władz Oddziału Warszawskiego SPP odbyły się 16 października. Nie chcieliśmy zostawiać nowego Zarządu z nawałem pracy. Wszystkim nam zależało, żeby przekazanie władzy odbyło się w sposób łagodny. Tak, aby nikt na tym nie stracił. By pismo się ukazało. By nowy Zarząd miał czas rozejrzeć się w swojej pracy i okrzepnąć.

Jeśli te słowa ukazały się drukiem i czytają je czytelnicy, to znaczy że wszystko się udało. A to jest kolejny moment, w którym warto zacytować jakąś piosenkę. Tym razem słowa i muzyka jednego autora – Kuby Sienkiewicza: „To już jest koniec (...) jesteśmy wolni. Możemy iść”.

Przede mną nowe wyzwania. A przed naszym Kwartalnikiem Literackim „Podgląd” nowe otwarcie. Wierzę, że będzie pięknie i kwartalnik będzie trwał. A na razie... to co zawsze, czyli nasz literacki groch z kapustą. Trochę tego i owego, czyli wszystko. Staraliśmy się, by było wspaniale. Mam ogromną nadzieję, że mimo wszystkich przeciwności – udało się.

Małgorzata Karolina Piekarska



Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Władze OW SPP 2021-2024

W dniu 16.10.2021 r. w Domu Literatury w Warszawie odbył się Zjazd Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, który na kadencję 2021-2024 wybrał Zarząd w składzie:

Prezes

Zbigniew Zbikowski

Wiceprezesi

Małgorzata Karolina Piekarska
Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz

Krzysztof Beśka

Skarbnik

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Członkowie

Krzysztof Bielecki
Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Sylwia Gibaszek
Dorota Koman

Sąd Koleżeński

Zbigniew Taranienko
Krystyna Rodowska
Danuta Gałęcka-Krajewska

Komisja Rewizyjna

Dorota Mentzel
Joanna Jagiełło
Zofia Zarębianka

Sylwia Gibaszek

Stale przekraczając granice

Pamięci Jerzego Prokopiuka (1931-2021)

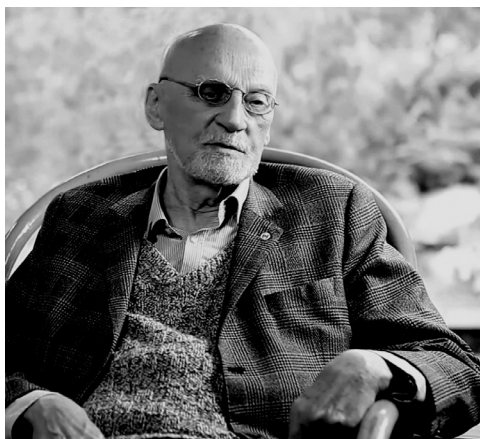
Dnia 18 marca 2021 odszedł od nas Jerzy Prokopiuk, człowiek wymykający się wszelkim szablonom, konwencjom oraz klasyfikacjom intelektualnym. Był określany jako gnostyk, heretyk, antropozof, piewca myśli ezoterycznej, pisarz, tłumacz literatury naukowej i pięknej. Związany na początku drogi twórczej z „Literaturą na Świecie”. Należał do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Został wielokrotnie uhonorowany za działalność translatorską, między innymi nagrodą Roberta Boscha i Instytutu Niemiecko-Polskiego w Darmstadt. Był jednym z najważniejszych autorytetów duchowości niezależnej w Polsce.

Żegnamy wybitnego twórcę kultury o niezwykle progresywnym dorobku filozoficznym, okultystycznym i duchowym. Ponieśliśmy wielką stratę. Ten smutny fakt odnotował między innymi Tomasz Stawiszyński na antenie Radia Tok FM w audycjach *Kwadrans filozofa* i *Godzina filozofii*. Ponadto w „Polityce” ukazał się artykuł Mirosława Pęczaka, kreślący sylwetkę Prokopiuka jako heretyka i gnostyka. Były również publikacje w „Nieznanym Świecie”. Niestety wspomnień i nekrologów było niewiele więcej. Śmierć wybitnego myśliciela przeszła bez echa, by nie powiedzieć została przemilczana przez większość znaczących polskich mediów i środowisk opiniotwórczych.

Postanowiłam więc przypomnieć szczególne dokonania Jerzego Prokopiuka, pokazać go jako człowieka, który wymyka się wszelkim przyporządkowaniom do konkretnego nurtu intelektualnego. Przekraczał bowiem granice poznawcze. Jego celem był nieustanny rozwój intelektualny i duchowy. Chciałabym także przybliżyć, w jaki sposób odbierali Jerzego przyjaciele i bliscy współpracownicy. Czytelnik powinien poznać Prokopiuka jako człowieka o określonym guście i preferencjach w zakresie literatury pięknej oraz sztuki. Ten tekst pisany jest przez osobę, która na co dzień zajmuje się, przede wszystkim tworzeniem i analizą poezji. Dlatego może nieco odbiegać od przyjętych standardów w zakresie pisania klasycznych artykułów wspomnieniowych.

Był powszechnie znany jako gnostyk i heretyk.

W książkach *Herezja zna-
czy wolność* i *Labirynty herezji*
jasno i konsekwentnie wyrażał
przekonanie, że jest heretykiem,
czyli przede wszystkim obrońcą
wolności, prawa wyboru, piew-
cą szeroko pojętej indywidual-
ności ludzkiej. Heretyk w ro-
zumieniu Prokopiuka również
broni ludzkiego sumienia przed
tyranią kolektywu społeczne-
go czy politycznego. Stanowi
zatem obrońcę moralności naj-
wyższego rzędu. Stoi na straży
godności, wrażliwości i czło-
wieczeństwa w ogólności – chroni te sfery przed każdą formą ucisku – pań-
stwowego czy kościelnego. Heretyk zatacza coraz szersze „kręgi epistemo-
logiczne”. Stale przekracza granice poznania. Jego epistemologia nigdy nie
jest trwale określona. Ma bardzo płynne granice aktywności.



Jerzy Prokopiuk, 2016 r.
Fot. Piotr Müldner-Nieckowski

Jerzy Prokopiuk wprowadził do polskiej kultury eseje z szeroko rozu-
mianą myślą Carla Gustava Junga. Jestem absolwentką Studium Psycho-
logii Jungowskiej w Łodzi. To właśnie działalności Prokopiuka szkoła ta
zawdzięcza swoje istnienie w sensie ideowym. Natomiast tu także ujawi-
ła się „heretyckość” Jerzego. Carl Gustav Jung był psychologiem bardzo
nieszablonowym. Daleko wykraczał poza swoją dziedzinę. Stworzył wiele
intrygujących prób zastosowania własnych koncepcji psychologicznych do
innych dyscyplin, takich jak ezoteryka, teologia, religioznawstwo, etyka,
etnologia oraz socjologia i nawet polityka.

Najbardziej jednak interesująca była więź Prokopiuka z Rudolfem Stei-
nerem – kolejnym myślicielem, który zaistniał na gruncie polskim dzięki
niemu. Rudolf Steiner to wizjoner, mistyk, permanentny poszukiwacz ko-
rzeni ludzkiej duchowości, wciąż przekraczający cieniutką granicę między
duchem a materią. Owa granica, za sprawą XX-wiecznej fizyki i filozofii
– na przykład Bertranda Russella – stała się bardzo płynna. Teozof Steiner –
a wraz z nim Prokopiuk – dzięki wiedzy tajemnej sięga wyższych światów.
Dociera do sedna egzystencji. Chwyta ją w jej jedności, niepodzielności,
emanującej duchem pełni, która jednak wymyka się całkowitemu oglądowi.
Stanowi wciąż wyzwanie dążenia ku mentalnej doskonałości.

To przenikanie duchowego jestestwa, jakże mi również bliskie, pojawia się w cytacie:

*Myśli mające swe źródło w życiu zmysłowym, przeciągają przez świat duszny w odcieniach barwy czerwonej. Myśl, dzięki której myśliciel wznosi się ku wyższemu poznaniu, jawi się w pięknej jasnej barwie żółtej. Wspaniałą barwą różową promieniuje myśl wypływająca z pełnej oddania miłości.*¹

Tekst niniejszy zamierzałam między innymi jako kwintesencję mojego rozumienia poezji, która łączy filozofię ze zmysłowością, duszę z tajnikami optyki. Zmysłowe widzenie rzeczywistości i ponadzmysłowe postrzeganie to coś, co splata poezję z filozofią i malarstwem. Tu również mamy do czynienia z przekraczaniem granic i mieszaniem się różnych konwencji. Dzięki antropozofii Rudolfa Steinera człowiek ma szansę stale przekraczać samego siebie – swoje granice poznawcze i przyspieszyć rozwój duchowy, w tym też moralny. Antropozofia Rudolfa Steinera stanowi, zdaniem Jerzego Prokopiuka, szkołę wtajemniczenia, która ma przyczynić się do pełnego, coraz doskonalszego duchowego rozwoju człowieka. Szkoła ta obejmuje niemal wszystkie dziedziny naszego życia.

Antropozofia jest według Prokopiuka także „naukową metodą poznania świata duchowego”, ale również światopoglądem, którego kwintesencję można określić jako „łączenie Nieba z Ziemią”.

Chodzi tu o przemianę duchową Człowieka i Natury. Antropozoficzny proces rozwoju jednostki ludzkiej można przedstawiać na różnych poziomach. Pierwszy poziom to faza ścisłego związku człowieka ze światem duchowym. W fazie drugiej rozpoczyna się proces emancypacji człowieka, czyli ludzkość tworzy i rozwija filozofię, naukę oraz technologię. Na tym poziomie człowiek staje się niezależnym podmiotem. Kolejna faza rozwojowa, trzecia, zaczęła się w czasach współczesnych. Teraz zadaniem człowieka jest poznawczy powrót do świata duchowego – bezpośredniego kontaktu z sacrum. Tutaj jednak mocno zaakcentowany został fakt zachowania podmiotowości i wolności jednostki ludzkiej. Jerzy Prokopiuk podkreślał, że specyficzna i jedyna w swoim rodzaju propozycja rozwoju ludzkości, formułowana przez antropozofię zaczyna się od przemiany religijnej. Punktem wyjścia jest „odnowa chrześcijaństwa” w duchu spirytualistyczno-medytacyjnym. Efektem antropozoficznej przemiany duchowej jest także alternatywne pojmowanie sztuki. Prokopiuk twierdził, że istnieje antropozoficzna architektura, rzeźba, malarstwo, literatura piękna.

1 Rudolf Steiner, *Teozofia. Wprowadzenie w nadzmysłowe poznanie świata i przeznaczenie człowieka*, Wydawnictwo Spectrum Grafik, Warszawa 1993, str. 117-118.

Do pisarzy antropozoficznych zaliczał m.in. Christiana Morgensterna, Alberta Steffena, Michaela Endea. Jerzy Prokopiuk pisał też o „antropozoficznym uprawianiu nauk przyrodniczych” zgodnie z praktyką przyrodoznawstwa J.W. Goethego i przyrodników romantycznych takich jak: Oken, Steffens, Carus. Na przyrodoznawstwie goethenistycznym i antropozoficznym opiera się teoria i praktyka rolnictwa biologiczno-dynamicznego, stworzona przez Steinera Steinera. Jest to koncepcja rolnictwa opartego na biologicznej technologii uprawy roślin i ich ochrony. Można rzecz językiem współczesnym, że chodzi tu o rolnictwo ekologiczne. Antropozofia obejmuje także medycynę opartą na syntezie medycyny homeopatycznej i akademickiej. Prokopiuk przedstawiał również antropozoficzną pedagogikę Rudolfa Steinera. Jej istotą jest dawanie dzieciom wolności oraz zapewnianie im harmonijnego rozwoju, który odbywa się w poszanowaniu godności i indywidualności małego człowieka, w zakresie jego potrzeb psychicznych oraz edukacyjnych.

Progresywność intelektualna Jerzego, jego zupełnie świeże podejście do kultury przejawiało się nie tylko w wprowadzeniu na grunt rodzimy alternatywnej myśli antropozoficznej i psychologii jungowskiej. Jerzy, nietypowo jak na filozofa i gnostyka, był wnikliwym czytelnikiem poezji. Napisał do mnie list, w którym wypowiedział się na temat mojej twórczości z niezwykłą przenikliwością:

Mam na myśli Twój osobisty paradygmat światopoglądowy: Twoją fundamentalną wizję świata. Świadczy on o tym, że – moim zdaniem – jesteś „naturalistką”. Ale – uwaga! Natura w Twojej poezji (trzeba ją pisać wielką literą) to Natura z czasów matriarchatu, nieskalana jeszcze przez gwałt patriarchatu. (Dla powierzchownego spojrzenia jest to sui generis materializm, ale taki „materializm”, który ma świadomość, że jako postawa pochodzi od słowa mater – Matka).

W Twojej postawie, owym „paradygmacie”, stapia się wpływ Bogini Matki z Naturą – w historii myśli ludzkiej tak zawsze widziano to równanie. Albowiem przeżywasz naturę nie tylko w swej wrażliwości, zmysłowości, ale dzięki zdolności intuowania tzn. penetracji i ogarniania życia Natury w całej jej rozciągłości: od łona po grób.

Natura jest przesiąknięta na wskroś duchowością. W liście Prokopiuka o mojej poezji ujawnia się fakt, że dla niego ważny był również Jungowski archetyp Wielkiej Matki, pojawiający się chociażby w przywoływanych przez Jerzego ruchach Wicca. To także dowód przekraczania konwencji i granic, szczególnie w Polsce, gdzie dominuje od wieków kultura i tradycja patriarchalna.

Człowiek faktycznie przynależy do trzech światów, jak uważał mistrz Jerzego Prokopiuka, Rudolf Steiner. Cała sztuka – malarstwo, muzyka, w szczególności poezja to dowód na duchowe Jestestwo ludzkie. Śmiem twierdzić, że to Jestestwo jest źródłem największej siły i światła w człowieku.

Tak sobie myślę, że może gdyby współcześni psychoterapeuci – „inżynierowie dusz” wdrożyli w swoje techniki uzdrawiania myśli Steinera, czy Arnolda Mindela; gdybyśmy z równym zaangażowaniem budowali swoją duchowość w wymiarze przeżywania filozofii kultury – w szczególności wielkiej sztuki np. utworów Bacha, Mahlera, poezji Adama Zagajewskiego czy Herberta albo Marzanny Bogumiły Kielar, lub np. filmów Krzysztofa Kieślowskiego; gdyby psychoterapeuci pomagali nam wydobywać na co dzień ten duchowy rdzeń naszego człowieczeństwa, z pewnością mniej byłoby zaburzeń psychicznych i depresji.

Takie myślenie jest jednak zbyt progresywne. Wymaga bowiem odrzucenia światopoglądu materialistycznego. Jest wbrew utartemu schematowi Polaka zakorzenionej w materializmie pop kultury, jak to określał Zygmunt Bauman *homo consumens*. Jest to również wbrew konwencji obowiązującym w nowoczesnej Europie, gdzie zdaniem Rudolfa Steinera *materialistycznym lekarzom przekazało się zadanie wypędzenia dusz z ludzkości*.

Jerzy Prokopiuk jako orędownik steinerowskiej antropozofii – wiedzy prowadzącej ducha ludzkiego do ducha Kosmosu, był żywym przykładem na to, jak działa wzmacnianie ludzkiego Jestestwa poprzez świadome i aktywne uczestnictwo w tworzeniu filozofii i niezależnej wolnej myśli, wbrew przyjmowanym w różnych kręgach schematom.

Zawsze też podziwiałam niebывałe, nietuzinkowe, specyficzne poczucie humoru Jerzego, jego intelektualną świeżość, zadziorność i młodość czą swobodę, a nawet nonszalancję.

Pasja Jerzego w tym, żeby świat ducha ukazać jako coś niezwykle realnego i oczywistego, co stanowi wyzwanie ku byciu dojrzałym, coraz bardziej niezależnym intelektualnie, progresywnym, wolnym, stroniącym od jakiegokolwiek konserwatyzmu i skostnienia, świadomym człowiekiem o głębokiej wrażliwości etycznej i empatii udzielała się jego przyjaciółom i bliskim współpracownikom. Rafał Szymborski czy prof. Franciszek Gołębski to bliskie Jerzemu osoby, z którymi było mi dane też spędzić wiele godzin na fascynujących rozmowach o filozofii, okultyzmie, religioznawstwie, ezoteryce. Rafał równie mocno, co sam Prokopiuk, jest przekonany o niepodważalnej realności świata Ducha, przejawiającego się w astrologii, magicznych rytuałach, związanych z kultem Natury jako emanacji Ducha.

Prokopiuk cenił astrologię. Jest to dość niepopularne w polskich kręgach intelektualnych. Zaprzyjaźniony i stale współpracujący z Jerzym Prokopiukiem Przemysław Sieradzan podkreślał, że jego mistrz był osobą nieustannie poszukującą. Stanowił autorytet w zakresie niezależnej myśli, emanacji wolnego ducha. Postawę Jerzego obrazuje cytat:

Świat duszny i kraina ducha są równie rzeczywiste, a nawet w dużo większym stopniu rzeczywiste niż świat zmysłowy. Chociaż żadne zmysłowe oko nie może widzieć uczuć lub wyobrażeń, są one rzeczywiste. Podobnie jak dzięki swoim zmysłom zewnętrznym człowiek ma przed sobą świat materialny jako postrzeżenie, uczucia, popędy, instynkty, myśli itp.

Stają się postrzeżeniami dla jego narządów duchowych² (...)

Myśli jednego człowieka o drugim nie są dla niego czymś niepostrzeżalnym, lecz dającym się postrzegać procesem. Treść myśli żyje jako taka tylko w duszy myślącego; wywołuje ona jednak określone działania w świecie ducha. One właśnie są dla duchowego oka owym postrzeżalnym procesem. Myśl wypływa z jednej istoty ludzkiej i płynie ku drugiej jako faktyczna rzeczywistość. Sposób, w jaki myśl ta działa na drugą istotę, przeżywa się jako postrzeżalny proces w świecie duchowym – pisał Steiner³.

Zgodnie z jego myślą, to co przekazał i stworzył Jerzy na gruncie kultury, jest wiecznie żywe w świecie Ducha i tam już pozostanie na lata świetlne.

Przyjaciele Jerzego, Max Bojarski, Przemysław Sieradzan, podkreślają, że Prokopiuk, choć utożsamiał się bardzo z antropozofią Steinera, miał – w myśl stałego przekraczania konwencji i epistemologicznych granic – szersze horyzonty. Sięgał po inspiracje duchowe i kulturowe do różnych źródeł. Zanegował Stary Testament w duchu średniowiecznej gnozy. Czerpał też z psychologii głębi i New Age.

Jerzy jest jak woźnica platońskiego zaprzęgu, który potrafi prowadzić zarówno białego jak i czarnego konia. W sposób niezwykle twórczy łączy wiele nurtów myśli zarówno ezoterycznej, jak i filozoficznej w jeden twórczy światopogląd, w którym niepodzielnie rządzi zasada gnozy⁴ – pisał o swoim ojcu chrzestnym Tomasz Duda.

Prokopiuk jako heretyk doceniał postać Lucyfera-rewolucjonisty, odważnego burzyciela, który nie godził się na niezawinione zło. Buntował się przeciwko niemu.

² Rudolf Steiner, *op.cit.* str 116.

³ *Ibidem*, str 117.

⁴ Tomasz Duda, *Shel vitae, Miód życia. Światopogląd Jerzego Prokopiuka*. W 75-lecie Jerzego Prokopiuka. Wydawnictwo Akasha Kraków 2010.

Przemysław Sieradzan w artykule *Demonozofia Jerzego Prokopiuka* pisał: *Lucyfer inspiruje zatem rewolucjonistów, marzycieli, twórców utopii...*

*Lucyferyczna wolność ma przede wszystkim charakter negatywny (wolność „od”). Jest wyzwoleniem świadomości od krępujących dogmatów i schematów, odrzuceniem jakiegokolwiek konieczności. Wolność przybiera postać buntu wobec stwórcy i jego dzieła – rzeczywistości. Ten bunt nie sprowadza się jedynie do negacji, jest to bunt twórczej energii i pasji. Lucyfer jest patronem sztuki.*⁵

Niezwykle ciekawe i nietuzinkowe były też twórcze interpretacje Prokopiuka postaci Arymana, Assura, nie tylko wspomnianego Lucyfera. Byty te stanowią według Prokopiuka trzy grupy istot demonicznych, rozumianych jako pewnego rodzaju archetypy. Referował je również Michał Wróblewski.⁶

„Byty assuryczne” są najstarsze ze wszystkich demonów, pochodzą z Saturna. Celem Assurów jest wysysanie jaźni – uczynienie człowieka pewnego rodzaju robotem, który zostaje pozbawiony świadomości wrażliwości i uczuć wyższych. Jest jedynie korporacyjną maszyną do bezmyślnego wykonywania zadań. Aktywność istot assurycznych najczęściej przejawia się we wszelkiego rodzaju instytucjach biurokratycznych, hierarchicznych, zwłaszcza w organizacji państwowego przymusu i „korporacyjności”. Kwintesencję opisu, tego co robią Assurowie z człowiekiem znalazłam w wierszu młodej poetki z Sarajewa Tijany Sladoje:

Dekorporacja

*proszę, moja żona jest w ciąży, mamy dwoje dzieci...
bardzo nam przykro ale jego potrzeby są na pierwszym miejscu.
proszę, mam kredyt, bank trzyma mi nóż na gardle...
bardzo nam przykro ale jego potrzeby są na pierwszym miejscu.
mam chore dziecko, proszę was, nie spodziewałem się...
bardzo nam przykro, ale jego potrzeby są na pierwszym miejscu
zakręć kołem jeszcze raz
potrzeby biznesu są na pierwszym miejscu
potrzeby biznesu są najważniejsze i
możecie wszyscy pozdychać jeśli o niego chodzi*

5 Przemysław Sieradzan, *Demonozofia Jerzego Prokopiuka*, w: Tomasz Duda, *op. cit.*

6 Michał Wróblewski, *Chrystus i Lucyfer w poglądach Jerzego Prokopiuka*, „Kultura i historia”, nr 33/2018, Wyd. Uniwersytetu Gdańskiego.

o ile to dla jego dobra.
 powtarzajcie to jak wierszyk
 spożywając owoce biurowe.
 Uważajcie tylko żeby się nie udławić,
 zdarza się też zatrute jabłko.
 wesoły piątek to najsmutniejszy dzień,
 ale przynajmniej przy piwie łatwiej ci się śmiać
 z żartów szefa.
 Dali ci wejściówkę na siłownię
 żebyś się wyżył, żebyś komuś nie
 rozbił nosa.
 Jesteśmy mięsem armatnim co
 miele samo siebie waląc
 głową w okna swoich szklanych
 klatek

Aryman to demon uosabiający materializm, siłę i zimny intelekt. Człowiek pod wpływem działania tego demona wyzbywa się całkowicie litości, pokory, współczucia i empatii.

Celem Arymana jest kreacja człowieka jako „inteligentnej bestii”, która narzuca innym swoją wolę. Niszczy słabszych. Bezwzględnie dąży do celu, w przekonaniu, że cel uświęca środki.

W „arymanicznej etyce” jest dozwolone wszelkie okrucieństwo. Relacje między bytami demonicznymi są bardzo różnorodne. Ich kompletnie inne dążenia jednak się wzajemnie uzupełniają – nieludzka rzeczywistość inspirowana Arymanem wzmacnia atrakcyjność Lucyfera. Ten zaś nie uznaje ograniczeń materialnego świata. Z tego powodu pragnie opuścić Ziemię i powrócić do świata ducha. Aryman nie jest w stanie zauważyć niczego poza materią. Podważa jestestwo i wartość ducha. Assur jest najgroźniejszym demonem, To totalny nihilista, kwestionuje całkowicie byt. Jednak progres i przekraczanie granic rodzi się właśnie na drodze stałej kontestacji zastanego bytu, którą uprawiał Prokopiuk. Dlatego uwielbiał dyskusję i twórczą wymianę myśli. Był niezwykle otwarty na drugiego człowieka. Astrolog Rafał Szyborski pisał:

Środowisko skupione wokół Gnosis, a zwłaszcza po zmianie miejsca i przeniesieniu Gnosis do Le Madame stanowiło ewidentnie manifestację świata Wodnika. Istniała tam niezwykle różnorodność światopoglądowa i mnóstwo ludzi, mających niezwykle recepty na życie.

Przekraczanie schematów i granic obecne jest nawet zatem w fakcie, jakich ludzi skupiał wokół siebie Jerzy Prokopiuk.

Kiedy miałem 20 lat i spotkałem Jerzego, po 3 minutach rozmowy przeszliśmy na ty – wspominał Przemysław Sieradzan.

Trzeba również przyznać, że to postawa przełamująca stereotyp polskiej relacji uczeń – nauczyciel, starszy – młodszy.

Jerzy nie tworzył żadnych barier między ludźmi. Nie segregował ludzi pod względem wieku – wspomina dalej Sieradzan. – Prokopiuk niezwykle lubił polemikę. Ciekawili go ci, którzy mieli inne zdanie i otwarcie je wyrażali, tak jak Rafał Szymborski, zafascynowany magią chaosu i Thelemą Aleistera Crowleya. W kontaktach międzyludzkich Jerzy każdego traktował indywidualnie. Aby nawiązywać głębokie więzi i intensywne intelektualne dialogi, spotykał się indywidualnie z poszczególnymi bywalcami klubu dyskusyjnego „Jednorozec”. To było nietypowe dla spotkań klubowych.

Sieradzan zwracał również uwagę, że Prokopiukowi przyświecał zawsze archetyp Hermesa: Grecki Hermes, w starożytnym Egipcie, objawiony jako Toth, nazwany był tłumaczem – i jako taki jest odwiecznym patronem i wzorem wszystkich tłumaczy (...) Hermes jest przede wszystkim bogiem – archetypem dynamiki, przemiany bytu i nie bytu, szczęścia (zysku, straty, stąd także kupców i złodziei), gry i zabawy. A czymże innym jest powołanie i wysiłek tłumacza, jak nie nieustanną dynamiczną przemianą myśli i słów (...) Hermes jest towarzyszem, pasterzem, przewodnikiem, władcą dróg i przejść, przywódcą i zbawcą. W tej roli jest opiekunem każdego człowieka idącego drogą życia, przede wszystkim jednak każdego, kto w procesie samo-realizacji bierze współodpowiedzialność za swój rozwój – mówił Prokopiuk podczas ceremonii wręczenia mu Nagrody Roberta Boscha⁷.

Współodpowiedzialność za swój rozwój jest na stałe połączona z wystrzeganiem się wszelkich schematów, „gotowców myślowych”.

Ponadto trzeba bardzo podkreślić, że Hermes był także opiekunem wszelkiej wynalazczości, innowacyjności i kreacji. Jerzy również wciąż eksplorował nowe nieznane rejony, zmuszał innych do myślenia. Nikogo nie pouczał. Daleko mu było do mędrca, choć cechowała go niesłychana erudycja. Trzymał się również w tym wypadku z dala od dogmatyzmu.

Jerzy Prokopiuk nie utożsamiał się z Polską, czuł się kosmopolitą, cynikiem. Był jednym z największych krytyków paradygmatu katolickiego. Niestety został kiedyś zaatakowany za swoją odmienną postawę. Na drzwiach, znajdującego się na Nowolipiu mieszkania Prokopiuka, ktoś białą farbą

⁷ Jerzy Prokopiuk, *Piękno jest tylko gnozy początkiem*, Wyd. KOS, Katowice 2007, str. 13-14.

wymalował napisy: „gnostyk, heretyk, głupiec”. W kraju, gdzie dominuje konserwatyzm, zaściankowość, stałe próby niszczenia demokracji, praworządności i pluralizmu intelektualnego oraz obyczajowego, niestety takie zachowanie wydaje się wręcz typowe, choć nieetyczne.

Jerzy miał wyrafinowany a zarazem też nietypowy gust literacki. Szczególnie cenił literaturę przesyconą symbolizmem, z niemieckiego kręgu kulturowego. Niezwykle ważne były dla niego dzieła Novalisa, Goethego – prekursora myśli antropozoficznej. Cenił także Hermanna Hesse, Thomasa Manna. Nie stronił jednak od literatury popularnej. Czytywał książki z gatunku fantastyki. Propagował twórczość Philipa K. Dicka – pisał o wątkach gnostyckich w jego książkach. Poważał również Tolkienu. Interesowały go wątki okultystyczne w twórczości Birusowa. W książce *Piękno jest tylko gnozy początkiem* znajdziemy bardzo szeroką, nieszablونową paletę analizowanych przez Prokopiuka pod kątem myśli filozoficznej i ezoterycznej dzieł literackich, filmowych, teatralnych, pochodzących zarówno z kręgu „kultury wysokiej” i pop kultury. Obok tekstów poświęconych, między innymi, gnozie i tantrze w twórczości Williama Blakea, czy moralności i etyce Goethego, znajdziemy też artykuły poświęcone filmom *Matrix* i *Gwiezdne wojny*, niewątpliwie należącym do mainstreamu pop kultury.

Ponadto Jerzy cenił klasykę sztuki filmowej – przedstawicieli niemieckiego ekspresjonizmu: Fritza Langa i Friedricha Wilhelma Murnaua.

Zainteresowania Jerzego Prokopiuka, oprócz szeroko pojętej literatury i kina sięgały także sztuki, jaką jest muzyka. Jego ulubionym kompozytorem był Jean Sibelius.

Jerzy pozostanie dla mnie symbolem niezależnych poszukiwań i wolności ducha. Pozostawił po sobie ogromny dorobek twórczy, bardzo bogaty i różnorodny. Pozostawił po sobie różne opowieści, ale żadna nie jest jedyną prawdziwą – wspomniał Przemysław Sieradzan.

Ja natomiast wracam pamięcią do odczytu Jerzego Prokopiuka na temat reinkarnacji w chrześcijaństwie i antropozofii Steinera, który odbył się 29 maja 2011 w Warszawie. Mistrz przywoływał słowa Starego Testamentu: *Bogami jesteście, wy, ludzie, Po to Bóg stał się człowiekiem, żeby człowiek mógł stać się Bogiem.*

To znowu koncepcja niepopularna, ale niezwykle oryginalna na gruncie kultury polskiej.

Reinkarnacja przedstawiona przez Prokopiuka jawi się jako egzystencjalne wyzwanie dla ludzkości. Człowiek jest przeznaczony, by stać się istotą wyższego rzędu. Karma nie jest rozumiana jako kara, tylko jako wyzwanie

ku doskonaleniu siebie, jako świadomej istoty, ku poznaniu różnych wariantów istnienia. Sam Jerzy uważał, że w poprzednim wcieleniu był inkwizytorem. Teraz, aby poznać kompletnie inną perspektywę egzystencjalną, jest orędownikiem niezależnej duchowości i wolności intelektualnej.

Reinkarnacja daje nadzieję jako narzędzie, by osiągnąć wielki ludzki rozwój. Dążymy do doskonałości poprzez różne wcielenia.

To, co raz stworzone w świecie ducha, żyje wiecznie. Głęboka myśl ludzka zatacza coraz szersze kręgi i jest stale obecna w świadomościach indywidualnych, w podświadomości zbiorowej.

Zatem jeszcze spotkamy się z Jerzym. Żywię nadzieję, że także z innymi wielkimi postaciami naszej kultury, które w ostatnim czasie odeszły do innego wymiaru. Wierzmy zatem w naszą stałą wymianę duchową z Jerzym, Adamem Zagajewskim, Jolantą Brach-Czainą, czy innymi wielkimi umysłami naszej epoki, które odchodzą w ostatnim pandemicznym czasie, który Jerzy Prokopiuk nazwał apokaliptycznym. Tak jak Jerzy nie poddawamy się w nieustannych poszukiwaniach. Trzymajmy się ducha, który przeziara przez „szczeliny istnienia”. Daje poczucie sensu. Zawsze stawia nam wyzwanie, by przekraczać to, co jest jeszcze na drodze intelektualnej do przekroczenia. Tylko w taki sposób możliwy jest intelektualny postęp, światopoglądowy progres, który wyzwoli człowieka i uczyni świat lepszym.

Sylvia Gibaszek

Bibliografia

1. Jerzy Prokopiuk, *Ścieżki wtajemniczenia*, Dom Wydawniczy tCHu, Warszawa 1999.
2. Jerzy Prokopiuk, *Labirynty herezji*, Wyd. Muza SA, Warszawa 1999.
3. Jerzy Prokopiuk, *Luciferiana: między Lucyferem a Chrystusem*, Wyd. KOS, Katowice 2009.
4. Rudolf Steiner, *Teozofia. Wprowadzenie w nadzmysłowe poznanie świata i przeznaczenie człowieka*, tłum. Tomasz Mazurkiewicz, Wydawnictwo Spectrum Grafik, Warszawa 1993.
5. Jerzy Prokopiuk, *Piękno jest tylko gnozy początkiem*, Wyd. KOS, Katowice 2007.
6. Jerzy Prokopiuk, *Herezja znaczy wolność*, Studio Astropsychologii, Białystok 2008.
7. Praca zbiorowa wyd. w 75-lecie Jerzego Prokopiuka, red. Jerzy Prokopiuk, *Mel vitae – Miód życia!*, Akasha, Kraków 2010.
8. Michał Wróblewski: *Chrystus i Lucyfer w poglądach Jerzego Prokopiuka* w „Kultura i historia” nr 33/2018, Uniwersytet Gdański.

Donat Kirsch

Gra bezpamięci

(O powieści Adama Kulika)

Bezpamięć jako zgrzyt nowoczesności

Poniższe asocjacje tematyczne dotyczą powieści wydanej już po roku 1990 (pisanej w latach 70. i 80. XX w.), którą przeczytałem dopiero w roku 2021, po poznaniu (na odległość) jej autora. Jeśli idzie o literaturę polską XX stulecia, to moje pojmowanie, nie nazywałbym go perspektywą, sprowadza się do obrazu iluzorycznej dyskoteki, gdzie błyski stroboskopów, a później i laserów wydobywają z jednostajności kilka jedynie zjawisk i raczej niewielką liczbę pisarzy, którymi zawracam sobie głowę. Jednym z takich zjawisk jest dla mnie prozatorska awangarda lat 70., często uznawana za alternatywną wobec dominujących norm literatury programowej, jeśli wręcz nie zaprogramowanej¹. Powieść *Gra* Adama Wiesława Kulika² jest dziełem należącym do tego nurtu.

Dlatego moja dzisiejsza reakcja nie może być literacko kontekstualna, bo jedynymi źródłami informacji jest sam tekst, kilka recenzji i pamięć o wydarzeniach, a specjalnie straconych szansach. Mam nadzieję, że moja pamięć pozostanie nieuległa wobec rozszerzającego się skażenia cenzurą i propagitem, wyznacznikami, jeśli już nie fundamentami ery informacyjnej³. Gdybym przeczytał tę powieść parę lat wcześniej, to zaprzeszłyby tu dzieł modalny odpowiednik poniższego tekstu znalazłby się w opracowanej przez Andrzeja Śnioszka publikacji *Eliminacja episteme*⁴. Pamiętając PRL z lat 70., doskonale też rozumiem, dlaczego powieść Kulika nie mogła

1 Zob. P. Kaliszuk, *Wyczerpanie i odnowa. „Nowa” polska proza lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wobec późnej nowoczesności*, Lublin 2019, s. 337.

2 A.W. Kulik, *Gra*, Lublin 1993.

3 Zob. *The Good Censor*, wewnętrzny okólnik korporacji Google z 2018 roku: <http://www.breitbart.com/tech/2018/10/09/the-good-censor-leaked-google-briefing-admits-abandonment-of-free-speech-for-safety-and-civility> [dostęp: 11.01.2021].

4 D. Kirsch, *Eliminacja episteme. Pisma krytyczne*, oprac. A. Śnioszek, Katowice 2019.

się ukazać przed rokiem 1990⁵, dopiero w którym została wydana i przedyskutowana w nielicznych recenzjach⁶.

Wiedziony wrodzonym optymizmem zakładam, że tekstów tak ważkich jak powieść Kulika mogło być więcej. Z drugiej strony, paroksytyczny trans żywotności socrealistycznej cenzury zapewnia, że wymagałoby to peregrynacji wręcz odyseuszowych⁷, aby dotrzeć gdzieś po kresy odurzenia projektami utwierdzania nowoczesności. Jedynie na tych rubieżach, daleko od poryków wirtualnych politruków, możliwe byłoby przynajmniej skatalogowanie efektów ekstrapolacji tradycji, uważanych dzisiaj za zagrożenie dla liturgii usprawiedliwiających informatyczną i biologiczną inżynierię społeczną, na usługach projektantów od utwierdzania nowoczesności⁸.

Repertuar gier

Powieść Kulika manipuluje skromnym repertuarem doświadczeń codzienności, jakie zwolniły do codziennego życia w PRL-u ówczesne elity inżynierii społecznej tudzież unoszące się cienie krasnoarmiejskich czołgów, reprezentowanych przez te elity⁹. Te ściśle kontrolowane przez partię aktywności pozwalały jedynie na bezsilne odczuwanie echa dyskursów, osobistych ekstrawagancji, historycznych wydarzeń, wszystkiego, czego wczesne i archaiczne aplikacje „cancel culture” w wydaniu PZPR nie zdążyły jeszcze wyeliminować¹⁰. Nie było też dozwolone, aby nawet próbować utrzymać swoje człowieczeństwo na kulturowym poziomie znanym z lepszych i nieodległych czasów.

Dlatego odzwierciedlające efektywność cenzury jako takiej rozważania Kulika, osobiste i kulturowe, nie mogły być dogłębne. Nader skromna tekstualnie powieść sprawia wrażenie odręcznie pisanych fragmentów, stron

5 Oczywiście zaawansowani politycznie recenzenci odważnie wywelekli na światło dzienne nieczne machinacje Kulika, który jako rzekomy epigon nie zdążył „wpisać się na czas w szerszy kontekst literacki chroniący go przed posądzeniem o schyłkowe, wtórne praktyki”. D. Nowacki, *Spóźniony gracz*, „FA-art” 1994, nr 2, s. 64.

6 Dzięki pomocy Andrzeja Śnioszka udało się zlokalizować kilka takich tekstów.

7 Por. S. Lem, *Kuno Mlatje: Odys z Itaki*, w: Idem, *Doskonała próżnia. Wielkość urojona*, Kraków 1974.

8 Por. D. Kirsch, *Prounowa eksmisja Henryka Berezy*, Katowice 2020.

9 „Rozłożone rolnictwo, po co: żeby wygłodzony naród wpędzić w najprymitywniejszą, najdosłowniejszą walkę o byt”. A.W. Kulik, op. cit., s. 58.

10 Na temat *cancel culture* zob. Ch. Rosen, *Oh, Really? There's No Cancel Culture? Come On*, „Commentary”, 07.07.2020, <http://www.commentarymagazine.com/christine-rosen/oh-really-theres-no-cancel-culture-come-on> [dostęp: 14.01.2021].

wyrwanych z notatnika (co jest wzmocnione włączeniem charakteru pisma i rysunków). Na tym poziomie odczytania wydaje się, że odręczne notatki to niejako biologiczna nisza, z której wyrosła kolekcja poezji, obecna na kilkudziesięciu ostatnich stronach *Gry*. Wiersze w tej kolekcji są ułożone chronologicznie, zdają się spełniać rolę kalendarza w relacji do pierwszej części.

Na takim poetycko-zapiskowym poziomie autor opisuje próby gry o niezależność, koniecznej, aby przeżyć, ale naruszającej podstawowe wymagania gier i zabaw:

*[...] gra czy zabawa z natury rzeczy odbywa się z naruszeniem skrytości i tajemniczości. W trakcie gry czy zabawy wystawia się tajemnicę na widok publiczny i niejako się ją wydatkuje. Krótko mówiąc, gra czy zabawa ma tendencję do odzierania tajemnicy z właściwego jej charakteru. Wtedy natomiast, gdy tajemniczość, maska, przebranie pełnią funkcję sakramentu, z wszelką pewnością mamy do czynienia nie z grą czy zabawą, lecz z instytucją*¹¹.

Interpretacja jako dosłowność słów

Pod rządami ZSRR i PZPR w Polsce, tak jak dzisiaj pod rządami Rzeszy Europejskiej w Europie¹², nie było wiele miejsca na „wystawianie tajemnicy na widok publiczny”, przeto w opozycji choćby do czasów Leśmiana czy La Belle Époque gry i zabawy stały się dla rządzących oligarchii objawami niebezpiecznej ułomności umysłowej, nigdy zaś pragnieniem wolności od chamskiego prokrustyzmu, typowego dla oligarchów i rzesz uległych im kleptokratów. Innymi słowy, przynajmniej dla Polski czasy PZPR-u były początkiem dziś coraz bardziej powszechnego na Zachodzie modelu społeczeństwa rozumianego wyłącznie jako postępową megainstytucję, rządzoną przez nieuniknioną oligarchię: „To organizacja pobudza do życia dominację; wybranych nad wyborcami, posłów nad uprawnionymi do głosowania, delegatów nad delegującymi. Kto mówi organizacja, mówi oligarchia”¹³.

Dosłowne rozumienie prozy i poezji zawartych w *Grze* prowadzi do spontanicznej identyfikacji wszechmolocha marksistowskiej kleptokracji

11 R. Caillois, *Ludzie a gry i zabawy*, w: *Idem, Żywioł i ład*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1973, s. 299.

12 Wypadałoby zauważyć, że w roku 2021 znamy odpowiedź na pytanie Kulika: „Jaką wyporność musi mieć tutaj człowiek. Pyszałkowaci Anglicy, inteligentni Francuzi, przesadnie porządni Niemcy, jak by sobie radzili na naszym miejscu”. A.W. Kulik, op. cit., s. 62.

13 R. Michels, *Political Parties. A Sociological Study of the Oligarchical Tendencies of Modern Democracy*, Ontario 2001, s. 241, tłum. D.K.

jako źródła cierpień autora, tak psychicznych jak i fizycznych. Oficjalne usprawiedliwienie dla molocha było w latach 70. i 80. dokładnie takie samo, jak standardowe krytyki polskości wychodzące z kręgów dookoła „Gazety Wyborczej”¹⁴: „Nawiązując do ostatnich zarządzeń powinniśmy wzmocnić nasze działania, aby wielowiekowe opóźnienia także w płaszczyźnie kultury...”¹⁵.

Zajęło jedynie kilka lat, aby te PZPR-owskie tęsknoty za nową kulturą znalazły swoje dużo bardziej precyzyjne sformułowanie ze strony sił postępu¹⁶. Stanisław Piskor rozpoznał nieomal natychmiastowo naturę tego zwrotu polskiej lewicy ku formującej się Rzeszy Europy, i to w kontekście dominującego dzisiaj globalizmu:

*Mit globalizacji jest psychologicznym przygotowaniem do utrwalonego przekonania o konieczności i nieuchronności zmian w pożądanym kierunku [...]. Aby zmniejszyć opory, wyeliminować krytycyzm w użytkowej humanistyce i propagandzie, żongluje się zagrożeniem ze strony ksenofobii i nacjonalizmu [...]*¹⁷.

Polityczne realności wczesnych lat 90. zostały też rozpoznane przez Henryka Berezę, który w swojej recenzji *Gry* skoncentrował się bardziej na świadomościowych aspektach językowej „bylejakości”, wynikającej z „doświadczenia życiowego, które w *Grze* kształtuje w całości walec narodowej historii”¹⁸. Bereza precyzuje taką relację między „walcem historii” a polityką: „publicystyka społeczna i polityczna musiałaby zniszczyć literaturę, jak to robiła i robi zawsze, gdy uda się jej do niej wedrzeć”¹⁹.

W tym momencie można by *Grę* łatwo sklasyfikować jako mieszaninę publicystyki i „liturgii słowa”²⁰, charakterystyczną dla publicystyki i pedagogiki, z literaturą typową dla produkcji dominacji nowego reżimu ideologicznego. Tak się jednak nie stało. Kulik „ocalił literaturę” w swoim

14 Zob. np. *Polacy to nie jest naród zły ale rozlazły* [z Januszem Andermanem rozmawia Donata Subbotko], „Gazeta Wyborcza”, 17.10.2015. <http://wyborcza.pl/1,75410,19034400,janusz-anderman-narod-jest-rozlazly.html> [dostęp: 14.01.2021].

15 A.W. Kulik, *op. cit.*, s. 19.

16 „[Program realizmu zaproponowany w Świecie nie przedstawionym] może nam wydać się anachroniczny – wszak autorzy usiłowali pisać kolejny rozdział marksistowskiej metaopowieści, która dramatycznie się wówczas – w PRL-u właśnie, na ich oczach – dekomponowała”. L. Burska, *Awangarda i inne złudzenia. O pokoleniu '68 w Polsce*, Gdańsk 2012, s. 333.

17 S. Piskor, *Strategia kultury*, Katowice 2000, s. 89.

18 H. Bereza, *Wysławienie*, „Twórczość” 1990, nr 1, s. 139.

19 *Ibidem*.

20 *Ibidem*, s. 140.

utworze, ponieważ jego publicystyka to „publicystyka w takim kształcie formalnym, w jakim dla potrzeb publikacji użytkowej nigdy i przez nikogo nie mogłaby zostać zaaprobowana”²¹.

Z kolei Irena Kukuszka-Glinka w swoim omówieniu *Gry*²² zasugerowała bardziej precyzyjną analizę „kształtu formalnego”, który uchronił powieść Kulika przed publicystyczną trywializacją. Po pierwsze, dostrzegła ona, że „s t r u k t u r a *Gry* stanowi erzac fabuły: forma tej książki oraz jej kompozycja”²³. Więcej, taka „struktura gry” oparta jest na relacji między kolekcją raczej statycznej poezji zawartej w powieści a „dekoherencją rzeczywistości”²⁴. Wypada podjąć próbę kontynuacji tych uwag i dociec, jak Kulik osiągnął, poprzez inwersję fabuły i struktury, ostateczną formę przekazu, sugerowaną przez Henryka Berezę i Irenę Kukuszkę-Glinkę.

Nienaganna zabawa w inwersje

Inwersje w powieści Kulika efektywnie przenoszą jego przesłanie w bardziej pierwotną sferę metatekstowej gry, podobnej do łagodnych antylogii, w których lubował się Edward Stachura:

Będziemy smucić się starannie!

*Będziemy szaleć nienagannie!*²⁵

Pomimo ciągłej obecności zabaw i gier w życiu, pomimo opasłych dzieł historyków²⁶ nie było, nie ma i nie będzie (w przewidywalnej przyszłości)

²¹ *Ibidem*.

²² I. Kukuszka-Glinka, *Piramidalna złożoność recepcji* (powstały w latach 2008-2010 niepublikowany tekst, który otrzymałem od Adama W. Kulika).

Notabene „Podgląd” opublikował ten artykuł w poprzednim numerze, tj. 2(25), 2021, na str. 47-56. Numery do pobrania tu: <http://podglad.com.pl> [przyp. red.].

²³ *Ibidem*.

²⁴ *Ibidem*. „Wiersze są sztuką triumfującą nad wynaturzoną mową systemu, która okalecza człowieka i próbuje go uczynić zdehumanizowaną ofiarą. Wiersze te są świadectwem wejścia bohatera na poziom metatekstu, a zatem obrazują wręcz prometejską próbę zapanowania ludzkiej istoty nad chaosem i dekoherencją rzeczywistości”. Ponadto „[...] bohater *Gry* nie występuje na koniec jako potencjalna ofiara systemu, lecz jako autonomicznie myślący poeta”.

²⁵ E. Stachura, *Nie brookliński most*, w: Idem, *Wybór wierszy*, Warszawa 1982, s. 166. Powyższy fragment był także użyty w prozatorskiej książce Stachury, zob. E. Stachura, *Wszystko jest poezją. Opowieść – rzeka*, Warszawa 1975, s. 33.

²⁶ Zob. J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, przeł. M. Kurecka, W. Wirpsza, Warszawa 1967.

miejsca na niepoważne gry i zabawy²⁷. Jest świadectwem poznawczej wartości literatury to, że Kulik zdołał jednak, tragikomicznie, zakwestionować ducha nadchodzących (40 lat temu) przemian, czasów śmiertelnej powagi.

Tak jak dzisiaj na cywilizacyjną skalę, lata temu w formatywnej epoce PZPR-u doświadczenia bohatera uwięzionego w bezsensownej rzeczywistości PRL-u nie miały wielkiego znaczenia, ważne przecież były programy sprokrustowania niesłuchanie nieodpowiedzialnych mas. Doświadczenia życia we wczesnomarksistowskich totalitarnych reżimach mogą nabrać uniwersalnego znaczenia dopiero, gdy podda się je wręcz czasoprzestrzennej ekwilibryście w relacji do modalnych inwersji tego, co jest i tego, co mogłoby być.

Znaczenie powieści Kulika polega więc na tym, że udało mu się znaleźć miejsce wolne od poryków politruków. Podobnie jak aktualne teksty tamtych czasów, na pierwszy rzut oka, proza i poezja zawarte w *Grze*, były lokalne i szczegółowe z natury, poetycko sztywne a prozatorsko banalne. Kulik, nie bawiąc się w nadmierne subtelności, uciekł się do inwersji (analizowanej poniżej). Taka transpozycja katapultowała ułomną perspektywę tu i teraz w monumentalną sferę metaprzesłań, strukturalnych analiz załączków nadchodzącej przyszłości.

Podstawowa inwersja zastosowana przez Kulika polegała na wymianie ról i odczuć pomiędzy filozoficznym diurnalizmem i nokturnalizmem²⁸, kiedy prawo i porządek opuszczają domenę dnia, a zmory i majaki nocy przemieszczają się w sferę dzienną, w kaleki racjonalizm na co dzień²⁹.

Poezja, tradycyjnie bardziej kojarzona z nocą niż dniem, spełnia w powieści Kulika rolę rutynowo zarezerwowaną dla prozy, światła nie nocy, ale właśnie dnia. Poezje narratora są szablonowe, nieomal sugerują, że spełniają jedynie rolę diurnalnego kalendarza dla mrocznych wydarzeń codzienności. Ich język wydaje się uproszczony, pod ścisłą kontrolą i podstawowym celem jego użycia jest zrozumiała jednoznaczność i szybkość komunikacji. Nieomal automatycznie można by powiązać taką formę komunikacji

27 W czasach PZPR-u trzeba nam było walczyć o wolność uciemżonych przez kapitalizm społeczeństw, osiągnięcia takiej walki wyzwolenczej są niezaprzeczalne, dlatego dzisiaj, w czasach Rzeszy Europejskiej, trzeba już nam walczyć o wolność uciemżonych przez kapitalizm społeczeństw (tudzież uciemżonej planety).

28 Zob. K. Jaspers, *Antynomia dnia i nocy*, w: *Panorama myśli współczesnej*, red. G. Picon, Paryż 1967.

29 Warto zauważyć, że Władysław Sebyła (pod wpływem „woli nocy”) był pierwszym polskim pisarzem eksplorującym relacje między „Normą Dnia” i „Pasją Nocy”, tak jak je rozumiał Karl Jaspers. Zob. W.P. Szymański, *Ciemny nurt mego życia. (O poezji Władysława Sebyły)*, „Poezja” 1969, nr 1.

z utylitarным i raczej linearnym modelem Shannona³⁰. Nie jest to dokładnie to, co na co dzień (w czasach przed źle zrozumianą frazą Williama Carlosa Williama: „Say it! No ideas but in things”³¹) kojarzyło się z poezją³².

Natomiast proza Kulika pisana jest z uwzględnieniem całej złożoności znaczeń, ich zaprzeczeń, kwestionowania przekazu i wreszcie samozwrotności tegoż. Jest to przekaz nocy, a nie dnia, nic nie jest oczywiste, kalejdoskopowe rozdygotanie obrazu zastępuje precyzyjną optykę kontroli nad przekazem. Taką formę komunikacji można łatwo powiązać z sześciowymiarowym modelem Romana Jakobsona, który chociaż graficznie podobny do Shannona, wychodzi poza semantykę i składnię³³. Dlatego właśnie proza Kulika jest skomplikowana (niektórzy woleliby powiedzieć „chaotyczna”), specjalnie w jej poetyckim i estetycznym wymiarze, kiedy autor z własnej woli gubi się wśród znaczeniowych wyborów i kombinacji. Takie właśnie awanturnicze rozumienie prozy zdawało się dominować awangardę zeszłego stulecia.

Nie jest to odosobniona opinia. Stefan Chwin jeszcze w latach 90. zwracał uwagę na taką transpozycję metod prozy i poezji. Sam wrócił do tych uwag kilka lat temu³⁴.

Taka inwersja była koniecznym warunkiem przeciwstawienia się postępowym stereotypom wielu literackich produkcji tamtych czasów, które, jak historia kultury pokazała, były motywowane raczej marksistowskim

30 C. Shannon, *A Mathematical Theory of Communication*, „The Bell Systems Technical Journal” 1948, vol. 27.

31 W.C. Williams, *Paterson*, pierwsza wersja z roku 1927.

32 O zasadzie, którą kierował się w poezji Williams, tak pisała Julia Hartwig, jego tłumaczka: „Miał to być język codzienny, bezpośredni i wyzbyty wielosłownia, ekspresja poetycka oparta na leksyce autentycznie amerykańskiej, dążąca do konkretności, do przywrócenia przedmiotowi jego pełnego i symbolicznego znaczenia – «Składaj / nie idee / ale rzecz do rzeczy» (no ideas but in thing) [...]”. J. Hartwig, *Nota o Autorze*, w: W.C. Williams, *Spóźniony śpiewak*, przeł. J. Hartwig, Wrocław 2009, s. 86.

33 Zob. R. Jakobson, *Poetyka w świetle językoznawstwa*, przeł. K. Pomorska, „Pamiętnik Literacki” 1960, z. 1–2.

34 Niestety nie jestem w stanie odnaleźć tekstu Stefana Chwina z lat 90., niemniej jego późniejsze komentarze są wystarczająco oczywiste. Zob. np.: „Sławny pomysł prozazacji wiersza, na który wpadli poeci XX wieku, to było prawdziwe samobójstwo poezji na raty. I nie chodzi wcale o odrzucenie wątpliwej ozdoby dawnego pisania. Chodzi o pozbawienie poezji tej szczególnej cechy, jaką jest sprzyjanie sztuce pamięci. [...] Wiedział o tym Leśmian, który, gdyby dożył, miałby pewnie pretensje do Przybosa, Różewicza, Krynickiego, Barańczaka, Poświatowskiej i Szymborskiej. Nawet Zagajewskiemu by się dostało”. S. Chwin, *Samobójstwo poezji polskiej – na własne życzenie*, „Kwartalnik Artystyczny” 2014, nr 2, s. 160–161.

rewizjonizmem niż buntem przeciwko marksizmowi-leninizmowi jako takiemu³⁵.

Coraz bardziej skostniały, narzucony w latach 90. postęp trwa po dziś dzień, nie ma już PZPR-u, ale wytyczne okólniki są wprowadzane w życie pod egidą komisarzy od kultury i organicznych intelektualistów³⁶ (czytaj politruków) na usługach Rzeszy Europejskiej. Innymi słowy, w takiej skostniałej episteme nie ma miejsca dla zbuntowanych pisarzy jak Kulik.

W roku 1994 na łamach „Twórczości” Krzysztof Uniłowski zakończył swoją wnikliwą recenzję powieści Kulika uchYLENIEM się od ostatecznej oceny i zadeklarował gotowość czekania na następne powieści autora³⁷. W roku 2021 wydaje się, że ponieważ tak niewiele się zmieniło, już wtedy można było ferować wyroki, ale kto by wówczas (poza nielicznymi) podejrzewał, że marksizm-leninizm, jedynie podmalowany na zielono i tęczowo, będzie nadal redukował sztukę do propagitu, zbrodni i kary, redystrybucji, no i retribucji.

Dlatego właśnie awangarda prozatorska tamtych lat była jedyną znaną mi możliwością zbudowania, poprzez uwalniające od politycznej zmo-ry wielokrotne transpozycje, narzędzi poznawczych w badaniu struktur intelektualnych, generujących światopoglądową codzienność roku 2021, slalomu pomiędzy wykluczającymi się nawzajem fałszami³⁸. Poznawacza i magiczna ekspertyza, nieomal dezynwoltura zaprzeszłej awangardy literackiej, została administracyjnie zdyskwalifikowana, nie przez otwarte dyskusje na temat marksizmu-leninizmu, ale przez prostą eliminację w obronie monopolu na prawdę, zarezerwowanego dla ideologii rujnującej ludzkość od prawie 170 lat.

Adam Wiesław Kulik nie był przecież jedynym pisarzem, który zamilkł.

Donat Kirsch

35 „»Model« postępowego państwa istniał poza konkretną PRL-owską rzeczywistością – w optymistycznej narracji marksistowskiej”. L. Burska, op. cit., s. 279.

36 Por. A. Gramsci, *The Intellectuals*, w: *Idem, Selections from the Prison Notebooks*, ed. Q. Hoare, G.N. Smith, New York 1971.

37 K. Uniłowski, *Od pililogu do politekstu*, „Twórczość” 1994, nr 7.

38 Na temat sprzeczności w traktowaniu wolności słowa w USA i Ugandzie przez Twitter zobacz w: <http://www.breitbart.com/politics/2021/01/12/twitter-strongly-condemns-internet-shutdowns-in-uganda> [dostęp: 12.01.2021]

Piotr Müldner-Nieckowski

Wacław Holewiński: Krew na rękach moich

Kolejna znakomita książka historyczna Wacława Holewińskiego. Od czasu, kiedy ukazały się trzy powieści cyklu, opisującego pogromy warszawskie (*Pogrom 1905*, *Pogrom 1906* i *Pogrom 1907*), stał się Holewiński zauważalny jako twórca unikalnego stylu budowania powieści. Powstają formy przejrzyste, zrozumiałe, czytelne właściwie dla każdego średnio czytanego czytelnika. Skutecznie wprowadzają w zawirowania i nawroty czasu, zdarzeń, myśli, postaw ludzkich, co pozwala na precyzyjniejsze niż kiedykolwiek i jednocześnie strawniejsze definiowanie dziejów. Posługują się techniką „kawałków stłuczonego lustra” i zarazem pomysłów stylistycznych antypowieści, ale „uczłowieczonych” (tj. o rozjaśnionej treści), nie rezygnując ze sprawdzonych „wysokich” modernistycznych metod literackich.

Pozwala to pisarzowi skutecznie stosować niejedność czasu, zmienność miejsca i rozczłonkowanie akcji, tak aby wielowątkowa opowieść stała się lepszym źródłem doznań niż dotychczasowe próby prozatorskie, i tym bardziej lepszym niż jakikolwiek film. Ten ostatni okazuje się wobec takiej powieści wręcz atrapą, szybko starzejącą się serią obrazków, z których niewiele wynika poza rozpoznawaniem sekwencji zdarzeń i mimiki aktorów oraz w miarę dowcipnych dialogów. Myślę, że film, jeśli któraś z powieści Holewińskiego zostanie zekranizowana, może tylko ją spłyć. Chyba że znajdzie się reżyser taki jak Filip Bajon czy Janusz Zaorski, który chwyci rzecz za gardło.

Powieść *Krew na rękach moich* opowiada o kilku postaciach powstania styczniowego (1963-1964), ale jakże znaczących. Zostały przez pisarza wybrane nieprzypadkowo. Jedną z nich, tu najważniejszą, jest Emanuel Szaferczyk. Inni mu towarzyszą z bliska i daleka. Dopełniają obrazu bohatera, który bynajmniej we własnym mniemaniu nie bywa bohaterem. On się tym nie napawa, robi swoje. Mawiał: „Wszystko, co podłe, złe, wszystko, co każe nam nawet po rusku oddychać, bieda, z tym trzeba walczyć, nie godzić się”.

Kto tak myśli, ten żaden zbój ani morderca. Chyba uważa się jedynie za wykonawcę posłania, którym został obdarzony.

Szafarczyk, dziś całkowicie zapomniany, zasługuje na mocne przypomnienie, bo jest osobą właściwie dla historii symboliczną. Także dla nas. Nasz czas pokoju nie jest dany na zawsze. Chodzi więc nie tylko o konieczność przypominania dziejów i związanych z nimi ludzi, ale o to, co się dzieje dziś, współcześnie w materii w zasadzie porównywalnej. Młodzieniec ten w chwili śmierci przez powieszenie z rąk carskich katów na Stokach Cytadeli (zginął wraz z ostatnim naczelnikiem Warszawy w powstaniu, Aleksandrem Waszkowskim) miał ledwie 30 lat, a mimo to stała za nim potężna działalność, wielka sprawa. Można nawet mówić o etosie naczelnika „żandarmów-sztyletników”, którzy likwidowali zdrajców Polski, a także organizatora zamachów, m.in. na Aleksandra Wielopolskiego i Fiodora Fiodorowicza Trepowa. A to mimo wątpliwości moralnych, które także nigdy nie powinny zniknąć z naszego obszaru myślowego.

Książka ta, beletrystyczna w swej okazałości, jest po to, żeby można było zrozumieć mentalność tego człowieka, jego sposób życia i bycia, jego projekcję przyszłości Polski i na tym tle własnej osoby; aby zrozumieć funkcjonujące systemy wartości, atmosferę miasta i wsi, obecność zwolenników i przeciwników istnienia państwa polskiego; wreszcie czym jest wolność i w związku z nią działanie przeciw niewolnictwu. Każe też sięgnąć do narosłych już dzisiejszych konfliktów ideowych, intelektualnych i artystycznych. Do co chwila zaciskanych pięści. Tego zadania nauka jak dotąd nawet nie próbowała dokonać. Naukę interesują tylko fakty, informacje potwierdzone źródłowo, a to, czego nie udokumentowano, nie może być przez nią brane pod uwagę. Fikcja, odtwarzająca rzeczywistość, w tym względzie zastępuje, dopełnia, a nawet wyprzedza naukę, i właśnie tak to pojmują zdolni pisarze.

Czyż, czytelniku drogi, nie czujesz, że pisarz nie tylko zajmuje cię ciekawą opowieścią, ale także wprowadza w tajemnice dziejów, które w dodatku mogą ci się przydać nie tylko jako rozrywka umysłowa? Nie ma w tym cienia dydaktyzmu, a jednak tak to działa. Może ty też powinieneś zacząć się zastanawiać, czy nazywany „terrorystą” albo wręcz „zbrodniarzem” bojownik o swój naród nie jest ani jednym, ani drugim, tylko wybawcą, który chce uczynić z ciebie człowieka pierwszej, nie zaś służebnej, niewolniczej kategorii? Odpowiedź trzeba umieć jednak udowodnić. Faktami, ale także przemyśleniami i wyobrażeniami faktów. Sprawę tak stawiają nie tylko

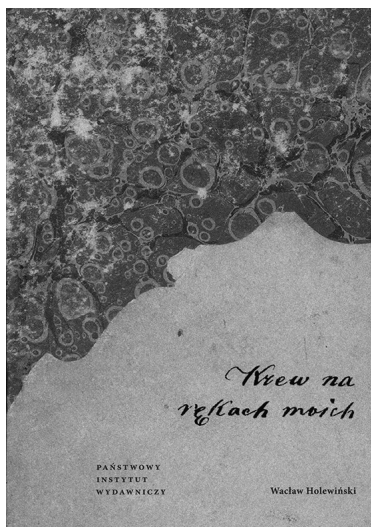
pisarze, publicyści czy filozofowie. Występuje ona bowiem, wraz z doktrynalną odpowiedzią, choćby w Katechizmie KK.

Taka jest powieść Holewińskiego. Rzecz do czytania jednym tchem, a potem do powracania do jej subtelnych atrakcji, których nie brakuje na niemal żadnej karcie tomu.

Piotr Müldner-Nieckowski

Pierwodruk w <https://Pisarze.pl>, 2021

Wacław Holewiński
Krew na rękach moich
 Państwowy Instytut Wydawniczy
 Warszawa 2021. Stron 320
 ISBN 978-83-64708-59-6



Piotr Müldner-Nieckowski

Małgorzata Strękowska-Zaremba: Lilana

To druga, obok *Domu nie z tej ziemi*, przejmująca powieść, przypowieść, a może przepowiednia, która zesłała z warsztatu pisarskiego autorki jako książka dla dzieci, a którą powinni przeczytać przede wszystkim dorośli. Nie ze względów dydaktycznych, ale moralnych, tych które wiążą się z ich odpowiedzialnością za istnienie, życie, losy ludzi zależnych. Za kwitnienie i więdnienie na świecie, na którym znajdują się ludzie młodszy, zależni od starszych i za ich przyczyną nierozumiejący swego losu, przerażeni życiem. Tacy, którzy opuszczeni, muszą się ratować własnym sposobem, jak choćby Natalia.

Zło działa podstępnie, z ukrycia. Ma liczne maski. Dziecko dobrze wyglądające i uśmiechnięte może być głęboko nieszczęśliwe.

Lilana tylko trochę przypomina *Dom nie z tej ziemi*. To odmienna książka, lepsza, choć istotnie dotyczy podobnego problemu – między innymi trudno dostrzegalnego rozpadu więzi międzyludzkich, ale niekiedy i osobowości. Też takich stanów, które znajdują się na pograniczu normy, patologii, smutku, radości, kwitnienia i umierania. To rozwinięcie koncepcji psychologicznej i literackiej, z którą czytelnicy zetknęli się w innych książkach pisarki, jednak *Lilana*, taka swoista niepewna, śliczna kraina dobra i zarazem cierpienia, pojawia się tu po raz pierwszy. Funkcjonuje nie tylko w wyobraźni bohaterki. Także w twórczości jej mamy, w pewnym scenariuszu scenicznym, w świadomości kolegów i koleżanek, którzy chcąc nie chcąc dają się wciągać w czyjś świat. Ten istotny składnik powieściowej scenografii niejako w nich drzemał, czekając na uruchomienie, na rozwinięcie, realizację. Bohaterka jest dojrzalsza niż w innych utworach Strękowskiej-Zaremby, ale nadal jeszcze niedorośła. Zbudowała sobie świat według atrybutów, z którymi zetknęła się w krótkim życiu, a który, cytując, „miał uszczęśliwić ich wszystkich”, to jest mamę, tatę, psa, braciszka Kajtka i ją, której imię zapamiętujemy dopiero od połowy powieści – Natalię. Dopiero wtedy zaczyna znaczyć coś dramatycznego. Dom prawie cały ze szkła, ale po to, żeby słońce mogło w nim tańczyć walca. Tak, lecz igrając z ludzkimi uczuciami. Dom, którego istnienie potwierdzają kolejne oglądane przez bohaterkę fotografie i związane z nimi zdarzenia, przeżycia,

odkrycia i – przełomy. Ale też dom niepewny, niedoskonały, na glinianych nogach. Sączą się sygnały, że nie wszystko dzieje się tak, jak powinno, choć pozornie wygląda zwyczajnie i normalnie. Czytelnik czuje nawiązania do lektur, choćby do słynnej Pippi Pończoszanki, któż jej nie pamięta, albo do niedawno zmarłej a tragicznej postaci pisarki Barbary Rosiek, też do znanych wszystkim wydarzeń szkolnych czy wakacyjnych.

I to wszystko jest przetworzone przez wyobraźnię i odpowiednio do potrzeb emocjonalnych bohaterki. To jej świat intymny. Przetworzone na tyle atrakcyjnie, że poddaje się w tej opowieści tropieniu i układankom na sposób, który pozwala się czytelnikowi z tym sztafażem identyfikować. Skomplikowana literacko materia utworu nie sprawia więc kłopotów z rozumieniem treści. Rzadkie w dzisiejszej literaturze zjawisko – nie waham się nazwać go sukcesem artystycznym.

Opowieść, jak zwykle u tej pisarki, wiedzie pozornie przez manowce, zakręty, wygina ścieżki, aby je na powrót przekształcić już to w przestrzenie wyobraźni i fantastycznych interpretacji, już splecionej z tymi zdarzeniami rzeczywistości, twardej, bolesnej, czasem zaskakującej. Choć opowieść jest mroczna, potrafi pobudzić w bohaterach i czytelnikach uczucia ciepłe i budzące nadzieję. Nigdy wszystko nie jest stracone. Lilana to kraj, który warto odwiedzić. Czyta się szybko i całym sobą.

Piotr Müldner-Nieckowski

Pierwodruk w <https://Pisarze.pl>, 2021

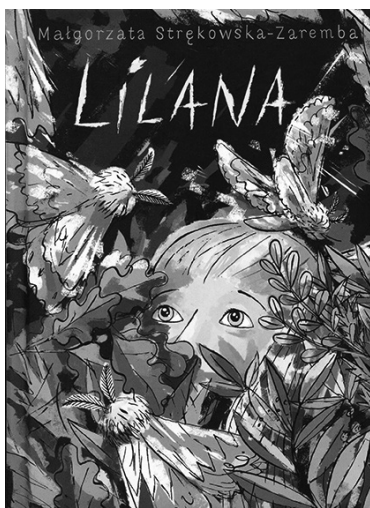
Małgorzata Strękowska-Zaremba

Lilana

Nasza Księgarnia

Warszawa 2019. Stron 192

ISBN 978-83-10-13553-3



Piotr Müldner-Nieckowski**Piotr Wojciechowski:****Chleb z deszczem**

Tom, jak na zbiór poezji współczesnej, dość opasły. Inny jednak stać się nie mógł, ponieważ Piotr Wojciechowski, powszechnie znany jako wybitny prozaik i dotychczas właściwie nieistniejący jako poeta, od początku swego twórczego istnienia poezję pisał. Odkładał je jednak na bok, na później. Jeśli publikował, to z rzadka w listach do przyjaciół, w drukach okazjonalnych (najczęściej okoloświątecznych), wyjątkowo w czasopiśmie kulturalnych. Przeważnie jednak wrzucał do szuflady. Przez dziesiątki lat zajmował się bowiem prozą artystyczną lub eseistyczną z tak dobrym skutkiem, że poezja do funkcji kreowania istnienia pisarskiego (przecież niezbędna w tym zawodzie) nie była niezbędna.

Do czegoś innego jednak potrzebna była, skoro wciąż obok próz i dramatów powstawała. A może je poprzedzała? Wydaje się też, że niekiedy służyła jako ćwiczenie intelektualne i estetyczne, jako magazyn sensów, zbiór metafor, skrótów lub syntez myślowych, definicji, znaków emocji, które albo czekały na realizację prozatorską lub dramaturgiczną, albo po wykonaniu zadania doskonałego myśl prozatorską, były skazywane na archiwum, przynajmniej do czasu podjęcia decyzji co do ich losu jako wierszy. Na szczęście – jak widać – doczekały się wyroku pozytywnego. Kiedy się ukazały w formie tomu, od razu spostrzegliśmy, że pełniły rolę ładunków oczekujących, takich które miały wybuchnąć niczym race wystrzelone w niebo.

Pewnego dnia Piotr Wojciechowski przejrzał bowiem na oczy. Zauważył, że istnieje jako poeta, że jest poetą, kto wie, czy nie ważniejszym niż prozaik. Najpierw trochę starych i nowych wierszy opublikował w mediach, a ponieważ to się doskonale sprawdziło, zdecydował się na tom. Ku naszemu szczęściu, bo jest to książka znakomita. Zawiera wiersze-komentarze, wiersze odkrywające prawdę, docierające do sedna rzeczy, zastanawiające się nad autorem i jego otoczeniem, ale i na drugim krańcu rozprawiające o Panu Bogu i związkach z Nim; wiersze rejestrujące chwile, zwycięstwa, porażki, oczekiwania, normalność i jej przeciwieństwa... Nie ma tu jednej

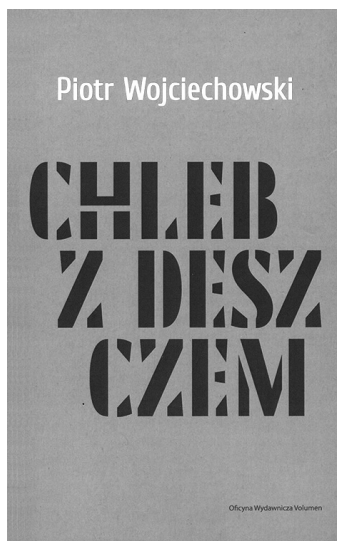
dostrzegalnej, wspólnej dla wszystkich tekstów linii intelektualnej, takiej jaką się widuje u innych poetów, zwłaszcza u tych, którzy to sobie solidnie pielęgnują jako „wykładnię samego siebie”. Jest natomiast rejestracja kosmosu myśli, psychiki, obserwacji i zdumienia ubrana w szaty własnej, wcale nie prozatorskiej, ciekawej estetycznie poetyki.

Jakże często jest to po prostu zaduma – jak by przenikliwie powiedziała Anna Kamieńska – „nad dziwnością świata tego”.

Piotr Müldner-Nieckowski

Pierwodruk w <https://Pisarze.pl>, 2021

Piotr Wojciechowski
Chleb z deszczem
 Oficyna Wydawnicza Volumen
 Warszawa 2018. Stron 236
 ISBN 978-83-64708-59-6.



Janusz Termer

O spektaklu *Roznamięty* czyli o *Satyrowych pieniąd* Grzegorza Walczaka

Roznamięty – o żartobliwym podtytule „poetycko-groteskowa płasawica erotyczna” – to niezwykła propozycja oryginalnej, dowcipnej, a przy tym obyczajowo śmiałej poezji erotycznej Grzegorza Walczaka, odnoszącej się do trudnego uniwersalnego tematu, jakim są miłość i gry miłosne.

Roznamięty to zbiór erotyków, których „siła rażenia” wynika ze specyficznego operowania oryginalnym językiem poetyckim – swobodnym, dosadnym, zmysłowym, a zarazem humorystycznym. Nielatwo jest zmysłowość połączyć z humorem.

W konstruowaniu żartobliwego języka ekspresji miłosnej autor sięgnął do metody poetyckiego słowotworzenia, całkowicie unikając leksykalnych wulgaryzmów. Cały swój arsenał chwytów artystycznych Grzegorz Walczak podporządkował radosnej erotyce, gdzie bohaterowie „do zachłystu wniebowzięci”, funkcjonują w swym nieco groteskowym zapamiętaniu miłosnym, do momentu,

*kiedy słońca skon i przechył
nad horyzont pociemniały
porozcieńcza niedogrzechy
niedorobne twoim ciałem,
siądziesz w sobie zanurzony,
spojrzysz w przeszłość beznamiętnie
i zrozumiesz, że to koniec,
bezmiłosne serce pęknie*

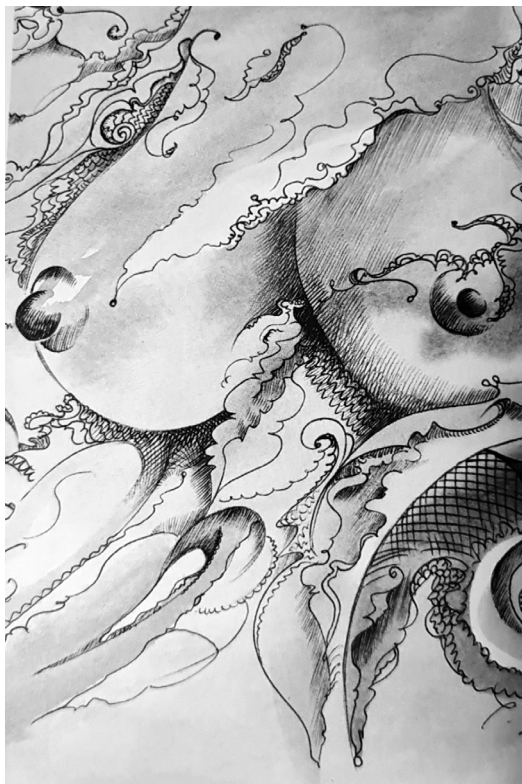
Poza bezsprzecznie żartobliwą warstwą językowego i sytuacyjnego dowcipu *Roznamięty* niosą też poważniejsze przesłanie, jakie stanowi kpina ze zbyt powierzchownego, „pornograficznego” erotyzmu, a także świadomość mizerności naszej cielesności, jej skończoności, przemijania

zewnątrznego piękna, brutalności czasu, który tę zabawę ciałem przemienia w karykaturę i groteskę.

Utwór ten – niby to solidnie osadzony w polskiej tradycji poetyckiej, w której można odnaleźć nawet źródła barokowe, nie tylko leśmianowsko-skamandryckie; o urodzie stroficznego, harmonicznego wiersza, czy też całkiem współczesne, oddające ostre barwy zmysłowości – w istocie swej nie ma odpowiedników w naszej literaturze, jest czymś wyjątkowym, językowo całkowicie oryginalnym.

Widziałem kilka inscenizacji tych erotyków w świetnym wykonaniu śp. Wojciecha Siemiona i sekundującego mu dzielnie Autora, które nieodmiennie podbijały warszawską publiczność.

Janusz Termer



Mal. Per Dahlberg



Mal. Per Dahlberg

Grzegorz Walczak

O malarstwie Pera Dahlberga

Per Oscar Gustaw Dahlberg (ur. 7 lipca 1953 w Torshälla, Szwecja) jest grafikiem i rzeźbiarzem od lat zamieszkałym w Sopocie, a czasem w Paryżu, studiował grafikę w Cambridge, doktoryzował się w Royal College of Art w Londynie.

Ma tak osobistą, wyjątkową kreskę, że natychmiast jest stylistycznie rozpoznawalny. Malarski książę Sopotu fantazyjnie sportretował to miasto rysunkiem perwersyjnie przekornym – przekreconym, sfalowanym, wznosząco-opadającym. Słynne budowle zdawać by się mogło, że już przechylone, szykują się do lotu, zaraz odfruną, a może odpłyną, a jednak masywnie są stabilne.

Ta poetycka sprzeczność mnie raduje, nie lubię małostkowych, odtwórczych fotografii bez kreacji, a u Pera – prawdziwego artysty – czuję jej twórczą siłę, może trochę groteskowej przesady, może nieuświadomionego humoru, ale chyba raczej samoświadomego, bo – on, a znam go osobiście – ma poczucie humoru. Z całą pewnością ma też rozbuchaną w sposób zdyscyplinowany (znów zbitka niby absurdalna) wyobraźnię, tak dla mnie ważną, i tę „dusiółkową”, i tę erotyczną, którą m.in. można odnaleźć w intrygujących ilustracjach w tomiku moich dość śmiałych *Roznamiętów*. Jest to zbiór żartobliwych erotyków, napisany dla uciechy duchów wolnych, a oburzenia świętoszkowatych, bez zbytecznych wulgaryzmów, zastępowanych filuternie neologizmami, w których kiedyś tak się rozsmakował Wojciech Siemion, że zawsze z prawdziwą ochotą gotów był wraz ze mną przeistaczać się na scenie w pożercę niewinności.

Grasowaliśmy tedy w scenicznym lesie pełnym niewieścich uroków jako dwa zajadłe Satyry. Cykl ten, niestety już tylko w moim wykonaniu, mogą państwo odnaleźć na Youtube i w wiosennych moich zesłorocznych wybrykach na Facebooku. Per Oscar Gustaw doskonale wpasował się w ten mój nieskromny a pociągający świat *Roznamiętów* swoimi wytwornymi bezwstydami w malunkach. Zapraszam do prześledzenia fragmentu jego twórczości w połączeniu z moim wierszami (zob. str. 91-98 – przyp. red.).

Grzegorz Walczak

Janusz Andrzejczak

Dzwonek leśny

Ale jeszcze nie wszystko,
nie wszystko stracone.
Przecież jest jeszcze
leśny dzwonek.

Na mszę wydzwania
i już wyrastają
ministranci leśni
z otwartym mszałem.

Przy kani kania
intonują pieśni
na chwałę

Dopóki choć jeden,
jeden dzwonek,
jeszcze nie wszystko,
nie wszystko stracone.

Gdyby tak

Gdyby tak była tylko jesień,
zbrakłoby liści do spadania,
traw by zabrakło do płowienia,
z każdym dniem świt by później raniał.

Lecz jest inaczej: dzisiaj spadłe
na pewno jutro się podniesie.
Gdyby tak ciągle była wiosna,
lub ciągle lato
i znów
– jesień...

Klucz za kluczem

Poddaje się. Nie rozumiem
i już się nie nauczę.
Dlaczego ciągnie smutek
żurawi klucz za kluczem?

Nie ma już ich. Wciąż są we mnie.
Bez nich się z nimi włóczę.
Otwieram i zamykam,
żurawi klucz za kluczem.

Wyłania się znów na wiosnę
ich wiersza ledwo druczek.
Nic nie rozumiem. Patrzę,
w żurawi klucz za kluczem.

Jerzy Binkowski

Ojciec Wenanty Katarzyniec

Rozpoznałem ciebie po sposobie wznoszenia monstrancji.
Wpatrzony w cielesną biel Zbawiciela – sam byłeś jak biały opłatek.

Jezus był twoim Krzyżem, twoją Męką, twoim Szczęściem.
A Niebo otwierało się z Maryją Niepokalaną a przecież Bolesną.

Doliną Jozefata płynie Wiara między Oliwną i Golgoty górą.
Pałacowskimi kalwaryjskimi drózkami szedłem za Wami jak cień.

Nie patrzyłeś pod stopy, pewien, że prowadzą Was Serafinowie.
Ministranta nie dostrzegałeś, mając ciężar Najświętszy w ramionach.

Przeszedłeś z Chrystusem Eucharystycznym daleką, kamienną drogę.
A ja usiadłem obok świętej Anny, gdy nagle usłyszałem zaciekawione:

O pośrednictwo w jakiej sprawie chcesz prosić? Czego ci brakuje?
Nie, nie – niczego mi nie brakuje! Ja tylko tak patrzyłem na Ciebie.

Drząc, zaprosiłem, aby usiadł obok mnie jak ojciec i brat.
Proszę – tak powiedziałem – abyś zechciał opiekować się
umierającymi.

W gwałtowności zarazy nie zdążamy żałować za grzechy.
Dobrze – usłyszałem – i przebudziłem się.

O. Wenanty Katarzyniec (1889–1921), franciszkanin z Krakowa i Lwowa, pochowany w Kalwarii Pałacowskiej. Dzisiaj Sługa Boży, przed beatyfikacją. Zarazony został wirusem grypy „hiszpanki”, która skosiła więcej ludzi niż fronty I wojny światowej, atakując głównie młodych ludzi. Słowo „zaraza” ma w tym wierszu charakter rozszerzony: wszelka zaraza niszcząca człowieczeństwo.

Sylvia Gibaszek

Anankastyna

Beacie Kieras

Przez kok czarnej pomywaczki przyświeca siwizna
 jak talie złotych kart
 przez jesienne chmury
 na szarym płaszczu
 księżycu
 który zawsze głodny
 od ascezy psują mu się złote zęby
 ścierają pioruny z uranem
 w górach sowich
 gdzie podziemne miasta
 wybielone sztolnie straszą duchy bezdomnych górników
 panie świeć nad wyschniętą duszą Dolnego Śląska
 gdzie pożar tylko o włos
 w gotowości twierdza Kłodzko
 a reszta nie jest milczeniem
 tylko zapada się w kotlinę obkurczoną
 jak naczynia włosowate gruźlików
 krwionośnych sierot ssących
 guziki piżam na amen
 o zgrozo od wieków
 Tak samo

Inny wymiar I

Wczoraj odleciały żurawie
 klangor na klucz zamknięty

 przebrzmiał w zbiorniku retencyjnym
 mgła osiadła nad wodą
 zastygła nad bóleniem w locie

w inny wymiar
 gdzie ludzie nie kłócą się o miejsce w pociągu
 numerek do lekarza
 licencję na zabijanie
 nie są jak przepełnione czajniki
 nie nabierają lęku zamiast wody
 w usta nie wkładają płonących petard
 nie ma opowieści o zwyczajnym szaleństwie
 jest tylko szara
 jak mysz, kamień przydrożny
 jak cisza przed świtem
 normalność
 woda paruje z ciekłego czasu
 A statek płynie dalej

Inny wymiar II

Joannie Bator

Um elfe kommen die Wölfe
 um zwölfe bricht das Gewölbe
 czysta fikcja czy naoczność podpowiada tę scenę

kantowska czasoprzestrzeń
 Königsberg
 Waldenburg
 Wałbrzych
 gdzie krytyka czystego rozumu
 istnieje w kilku wymiarach
 pod ziemią w górach Sokołowska
 komnaty
 po których jak w czasie wojny
 płyną senne łodzie
 uran nie wpadł do Styksu ani górskiego jeziora
 wywieźli go Rosjanie
 tańcząc z szablami w uzdrowisku dla lunatyków
 podróżujących na gapę między wymiarami

wewnątrz kamieni
 z zaśniedziałymi gwiazdami aluminiowa luna
 luna bije aż po skalne miasto
 które też opustoszało
 szalenie upewnił wszystkich
 niczym demagogdy o zarazie
 wilki panują nad nami twórcy czarnej
 magii
 um elfe kommen die Wölfe
 um zwölf bricht das Gewölbe
 zdanie zawieszone na sznurze
 po praniu między bajkami
 wilki nie kłamią
 wiedziony instynktem Wolf
 zawsze wolny
 sumienie każe mu
 opiekować się ośleplą wilczycą do końca jej dni
 całe stado leży na wilczym sercu
 pozostaje jedynie wyc
 by przyszły po nas dzikie zwierzęta
 człowiek człowiekowi wilkiem
 niech wilki przybędą
 poza czasem i przestrzenią
 Niech zamkną na wieki
 wypaczone wieko skarbca

Raport z wolnego wybiegu

Rude kury czarne opalizujące na zielono koguty
 wróble
 sroki jedzą mango jak pszenicę
 bez żadnych modyfikacji
 żółte owoce mają zmarszczki
 przebarwienia posłoneczne rysy pleśniawki
 tylko za doskonałość się płaci
 za brak skaz ukrytych wad
 kiedy producent nie może przyjąć reklamacji skarg

na krzywo wyrzeźbione pomidory
 wgniecenia otarcia na gruszkach
 obwisłe pory
 zdeformowane dynie
 rdzawe morele są jak wrzody
 odpady atomowe
 choć żywią się nimi kury przygodne ptactwo
 farmer
 jego matka
 kochanka
 w południe toną w pomidorowym soku
 pogniecionej aronii czarnych porzeczkach
 bakłażanach
 jakby wyszli prosto z obrazów Archimbolda
 farmer jego matka kochanka płyną
 pod jesienną banderą
 wnikliwie studiując czerwoną ciszę
 liście w głębinowej studni
 opada woalka z kasztanowego weluru na taflę jeziora
 kochanka czasem pisze listy

notatki z książek Julii Kristevy
 farmer zawsze ma czas
 jakby był jego włodarzem
 starannie odmierza godziny
 uncjami żelastwa
 które codziennie zanosí na złom
 wtedy jego matka w wełnianej chuście
 wysypuje kompost na łąkę
 gdzie dzień topi się na krzakach bezkolcowych jeżyn
 zostawia złote plamy na liściach
 te aureole już nad ranem
 mgła rdzą prześwietli
 ale jeszcze jest czas
 można pić herbatę pisać
 oglądać rzeczywistość przez szkło kontaktowe
 plazmę
 albo bezpośrednio

świat mutuje
Emituje obrazy w nieskończoność

Jesień nad morzem

Jeszcze wieczór choć 6 rano

słońce dopiero otwiera spadochron
nad kominami
rusza się po nieboskłonie jak mucha w smole
jeż w liściach albo liszaj na twarzy
bo zmrożone różem zorzanym
w glazurze z szadzi
leci para
gdy złota obręcz na świat się otwiera
zimno w Rosario w Gdyni
Neptun też nie błogosławi nam
tylko miota sztormami jak biczem
nad siwymi głowami w porcie
gdzie terminal promowy kontenerów pełen
prosto z Argentyny Bangladeszu
Chin
tej jesieni nie po drodze do Szwecji nam
Karlskrona osunie się cicho do morza
liście nie zawirują nad falami
Bo lasy iglaste w nas

Sylvia Gibaszek

Eugeniusz Kasjanowicz

Fryderyk Chopin

Przez tyle dni
dróg
biegnę do ciebie
do twojej tajemnicy
i powraca cisza
między uniesieniem rąk
a muzyką
ta chwila nabrzmiewa
Otwierasz oczami ranek
wchodzisz po dźwiękach
płyniesz z drganiem serca
nad wierzbami
chatami krytymi strzechą
drogami jak życie
krew zaczyna szemrać
niczym potok ocierający się
o kamienie
opadają palce z całym ciężarem
nocy dni
i lekkością promienia
nagle urywa się ojczysty krajobraz
spada w otchłań
potężniejącym głosem
a za chwilę
dźwięk jak uśmiech dziecka
rozjaśnia twarz
która powoli blednie
zmienia się w mgłę
popiół
aby rozbrzysnąć nutami
pełnymi gwiazd
polonezem
ciszą

Księżniczka Małgorzata gra Chopina

Nad dworkiem
gwiazdy pulsują wpatrzone
w nasze drogi
co nitkami wierzby
ze sobą się splotły
a łzy
które nie są zwykłymi kroplami
z moimi
jak sarny za oknem
się zbiegły
w przyspieszonych oddechach
czułość otwierają
niczym zapomnianą
słodką ranę
już nie może tak boleć
jak stąpająca samotność
po skrzypiącej podłodze
nad ranem
i będziemy nieśli w sobie
widok łąk wierzby polonezy
w kominku ogień
usta dotyk dłoni oczy
i pragnienia
drgający płomień

Żelazowa Wola

Pani Profesor Reginie Smendziance

Z przestrzeni
ze świata
zlatują się tutaj nuty
jak ptaki
szczebiocą gwizdzą
wystukują

wśród wiklin i krzewów
 mazurki polonezy Fryderyka
 Snują się cicho
 w porannych mgłach
 nad Utratą
 O zachodzie słońca
 lecą nad piaszczystą drogą
 by potrącić
 drobne liście wierzb
 zrośniętych z nami
 na dobre i złe
 A kiedy śnieg
 przysypie pola drogi
 drzewa w parku aleje
 z dworku ulatują iskry
Scherza h-moll
 i znowu jesteśmy razem
 pod skrzydłami
 naszego domu

Eugeniusz Kasjanowicz

Andrzej Książek

Aforyzmy

Człowiek za wszelką cenę chce żyć. Jeżeli nie dosłownie, fizycznie to przynajmniej w pamięci innych. Tylko pamięć zbiorowa cierpi z wiekiem, na różne choroby np. na amnezję.

W życiu, najwyższą wartością jest życie. Nie jest ono środkiem do wielkich, wzniosłych, wydumanych celów. Jest darem danym nam. Tym bardziej cennym, że nie można jego powtórzyć.

Gdzie są mędracy? W kulturze masowej, w epoce globalizacji zamiast mędrców są eksperci którzy w swoich ekspertyzach przeczą sobie wzajemnie, zaślaniając się tytułami naukowymi nadanymi im przez kolegów z branży.

Przy ciągłym obniżaniu poziomu zdrowia psychicznego to, co było nienormalne, staje się dziś normą. Według kryteriów zdrowego rozsądku „normalność” staje się przypadłością coraz bardziej cenioną, poszukiwaną. Z trudem odnajdywaną w chaosie ciągłych przewartościowań i pytań co jest, a co nie jest normą etyczną, obyczajową, a nawet prawną.

Chcemy być wolni. Tak wolni aż paradoksalnie, zniewoleni wolnością. Wolność przechodzi w swoje przeciwieństwo.

Ze sławą w sieci, z kontem w banku, piastowanym stanowisku „jestem kimś” – przedmiotem zazdrości, podziwu samozadowolenia. Z perspektywy końca jestem nikim. A może nigdy mnie nie było?

Rzekoma tolerancja w skrajnym wydaniu bardzo łatwo przechodzi w obojętność. Obojętność jako brak wrażliwości (społecznej), sprowadza się do formuły „wszystko mi jedno”, „wszystko mi wolno” bądź „róbta co chceta”, co wam ktoś do ucha szepnie – (bez odrobiny krytycyzmu).

Tłumy były, tylko ludzi zabrakło – głosił 2500 lat temu Diogenes z Synopy. Dygresja jakże trafna w dzisiejszych czasach. Tak nowo-czesnych, aż wybrakowanych.

Ci którzy dużo gadają, mało mówią, jeszcze mniej myślą.

Żywimy się chemią, leczymy się chemią. Odeszliśmy daleko, w kierunku sztucznego środowiska nazywanego szumnie cywilizacją. Bez matki natury i ojca „wszechświata”, których jesteśmy dziećmi, jesteśmy zagubieni, wyobcowani, bezradni.

Granica między prostotą a prostactwem jest celowo rozmywana przez środki masowego przekazu. Można zaobserwować moment, punkt, w którym zachowania chamskie stają się zachowaniami „arystokratycznymi”.

Logika, która jest domeną intelektu, prowadzi zgodnie ze swoimi prawami, do poprawnych wniosków. Dopiero doświadczenie, praktyka życiowa, intuicja koryguje jej kardynalne błędy.

Świat jest zakręcony, pokręcony. Jak w takim świecie, odnaleźć coś stałego, pewnego, niezawodnego? Pozostaje pytaniem otwartym – retorycznym.

„Widmo marksizmu krąży po Europie”. Zatacza coraz szersze kręgi. Pytanie: czy tylko widmo i czy tylko marksizmu?

„Nie pomogą płatki róż, kiedy nadziei nie ma już.” Choć nadzieja po „wszystkim”, po „wszystkich”, ponoć odchodzi ostatnia.

W pewnej koncepcji rzeczywistości nie istnieje realnie przeszłość i przyszłość. Istnieje tylko teraźniejszość, która jest sumą chwil, momentów. One były, ale ich realnie nie ma. One będą, ale ich również teraz nie ma.

Jakie są relacje między przypadkiem a przeznaczeniem? Wierzymy w przeznaczenie, które jest przypadkiem. Albo odwrotnie. Wierzymy w przypadek, który jest przeznaczeniem.

Wszystko co nas otacza, jest dla ludzi, zorganizowanym, zbudowanym przez ludzi. Pogląd, że człowiek stanowi centrum wszechświata, jest

błędnym poglądem. Nie jesteśmy centrum ani w centrum. Jedynie na jego obrzeżach.

$1+1=2$. Tak jest w matematyce.

W teorii poznania świata $1+1+1+1$ itd... = 1. Jedna jest prawda. Wbrew powszechnym poglądom, nie ma ich nieskończenie wiele.

Im mniej oczekiwań, wyobrażeń, tym mniej żalu, pretensji, cierpienia i innych negatywnych emocji i myśli.

Niemal powszechnie uważa się, że życie polega na aktywności, „robieniu czegoś”. Powstaje pytanie: jeśli nic nie robię, np. wypoczywam na plaży nad morzem, to życie moje jest bezsensowne. Odpowiedź nasuwa się sama.

Wartość argumentów nie mierzy się siłą głosu ludzkiego. A subtelnością, wewnętrzną logiką przemawiającą do rozumu.

Szacunek do drugiego człowieka, powinniśmy przenieść i rozszerzyć na wszystkie istoty żyjące. Te które nazywają się pogardliwie robakami, jak i te pożyteczne, które są pożyteczne dlatego, że służą człowiekowi.

Życ – iść na całość z wielobarwną paletą uczuć, odczuć, dramatów i rozstań. A nie przeżyć to życie w ciszy i samotności w sposób jednostajny i monotony.

Wiersze

Pusty umysł (zen)

Wyobrażenia szaleje.
Skojarzenia też nie stoją w miejscu.
Myśl za myślą.
Obrazy mijają się.
Ścieżki prowadzą do Jednego
pozbawionego treści i formy.

W pustym umyśle jest miejsce na Nic
które dominuje nad wszech –
władną materią.

Ciało astralne

I tak z dnia na dzień
z godziny na godzinę
zbliżam się do punktu
w którym motyl przeobraża się
w owada. A owad
w motyla.
W kole narodzin chorób starzenia się
cierpienia i
śmierci.
Nowa jakość istnienia.
Odwieczna forma egzystencji.

Perspektywa

To tak jak kiedyś.
Tak i teraz.
Na niezmiennych i niezmiennych
fundamentach.
Wszystko dookoła się zmienia.
Nie do rozpoznania.
Nie do rozróżnienia.
A zarazem trwa.
W niezmienionej postaci.
Życie rozrasta się jak dzikie wino.
Pnie się.
Ku górze.
Białko nie ginie.
Materia również. Zatacza
Koło –
boską figurę geometryczną.

Nie rzeczywiste

To tak jakby.
Na pozór.
Na wyobrażenia
projekty
które wyprzedzają.
Są tuż.
Przed faktami
To tak jakby.
Nie do końca tak
było. Tak
jest.
Rzeczywistość się miesza.
Ze stanu stałego
w stan płynny.
Zawieszony między.
Trudno odróżnić.
Tył i przód.
Górę i dół.
Postać od tła
które zlewa się
z bezbarwnym powietrzem.

Niepewna pewność (wersja nowsza)

Jesteśmy jak kwiaty
ozdobą istnień.
Wyhodowani na sztucznym nawozie.
Z władzą nad tym co w powietrzu.
W wodzie.
Na lądzie.
Ze świadomością która jak miecz
obosieczny.

Z perspektywy końca jesteśmy ale...
naprawdę nas nie ma.

Może nawet nigdy nie było.
Smugę mgły nad łąkami.
Wiatr rozwiewa.
Nie zostawia żadnych złudzeń.

Zasadnicze trudności

Wszystkie ścieżki prowadzą do
Jednego.
Nie ma powodu się spierać o to
kto był pierwszy.
Kto lepszy...
Przed kim chylić głowę.
Uklęknąć.
Wszystkie rzeki płyną w jednym kierunku.
Ze stromych gór.
Spotykają się w wodach mórz
i oceanów.

Być znaczy istnieć

O Allachu. Jahwe. Buddo. Jezusie.
Niewyobrażalny.
Przewyższający wszelkie
wyobrażenia.
Jednodniowy robak
(z pewnej nieobcej mi perspektywy)
wydostaje się z Dołu na powierzchnię.
Rozkłada skrzydła i
unos się Ponad.
Najśmielsze oczekiwania
odważne zamiary które jeszcze
wczoraj były w stanie
uśpienia.

Komentarz

„Niezliczone są czujące istoty
lecz ślubuję wyzwolić je wszystkie”.
Od cierpienia jakie niesie istnienie.
Od upokorzenia jakie niesie życie
bez zrozumienia.

„Niewyczerpane są pragnienia
lecz ślubuję uśmierzyć je wszystkie”.
Pragnienie pragnienia.
Nie.
Pragnienia życia pełnego. I...
rozumienie.
Wszystkiego co żyje.

Andrzej Książek

Gabriela Kurylewicz

Ćwiczę pływanie pod prąd

Ćwiczę pływanie pod prąd
 permanentnie.
 Uprawiam niepopularne zagony sztuki
 namiętnie.
 Staram się postępować niezależnie
 i odrębnie.
 Wiem, że mam chwiejnych przyjaciół
 i zawistnych wrogów,
 lecz się ich nie boję
 zupełnie.
 Z otwartymi oczami pływam
 w ukochanym morzu w Karwi,
 uwielbiam jego dźwięk, zapach,
 kolor, rysunek –
 i nie odstępuję mnie
 poczucie wdzięczności
 za dar myślenia
 o pięknie.

22 VIII 20, Karwia

Fraszka sobie

Morsko leśnym
 jestem stworem.
 Śpię dość długo,
 dużo czytam.
 Płacę rachunki,
 załatwiam sprawunki
 i – wiatr chwytam
 z morza, z lasu.
 Dla myśli,

żeby przędły
dobry czas
i muzykę
współczesną, moją,
z rozumu i serca.

13 IX 20, Karwia

Pływałam dzisiaj

Pływałam dzisiaj
w przerwie słonecznej między
deszczami, wichurami i trąbami.
Fale były zielone, niebieskie, białe,
horyzont granatowy i nieskończony.
Z ciszy słyszałam wyraźnie
muzykę morza,
każde jej słowo słyszałam.

9 IX 20, Karwia

We wrześniu w Karwi

We wrześniu w Karwi
po pierwszym sztormie
wypogadza się.
Pachnie chlebkiem,
dymem z kominków,
łąkami, lasem,
a nade wszystko morzem.
Ludzie lokują swoje domostwa
za wydmą, szczelnie przy ziemi,
w bogactwie i depresji.
Burzą stare chatki rybackie,
zbroją, przebudowują,
oszczędnie i opłacalnie.

A jednak etycznie i estetycznie
 morze jest wciąż wyżej.
 Staram się dorosnąć myślą
 do morza.
 Od dawien dawna staram się.
 Nie zburzyłam mojej chatki.
 Przechodzę podwórko
 życzliwych sąsiadów,
 przecinam ulicę
 po nitce słońca,
 czuję drzewa, chmurki, wiatr
 i ogarnia mnie wzruszenie
 i wdzięczność
 za darowany
 morski, boski świat.

9 IX 20, przejście 44, Karwia

Gabriela Kurylewicz

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Miałem sen przedziwny...

Ja w mym śnie dziwnym, srogim
widzę Kraj ten sercu miły, drogi
mgłą przykryty gęstą, chłodną,
wczoraj smutny niemy z trwogi.
Dziś skłóconych mały punkcik we wszechświecie,
nie bynajmniej strefa ciszy,
jedni patrzą, drudzy krzyczą, trzeci siedzą
inni milczą, wołą klatkę w starej kliszy.
Ogłupiali, choć o tym nie wiedzą.

Ci, co z kufla zimne piwo pili,
lżyli, wyśmiewali, ciągle szydzą,
radość mają wielką, bo na głowie...
nie ten beret, nienawidzą...
Ci, co w prawdzie stając,
za nią tęsknią, wszędzie jej szukają,
Kraj zepsuty chcą naprawiać,
na sztandarach Orła mają.

Cóż z mądrości?
Gdy wszyscy przed ścianą stają,
i rów głęboko wykopany,
bez mostów, bez nadziei,
pajęczą nicią omotany...
Nie mariański, on w szkle malowany.

W otchłanią ciągnący, wirem straszący,
serca zatruwa słodkimi słowy,
ogniem diamenty w pył zamienia,
fałsz sączy do zmęczonej głowy,
pod korę zagląda, hipnotyzuje,
maski na twarz nowe przywdziewa,
od morza po góry opada, faluje,

dobroć udaje, a zło rozsiewa...

Szczodrością obietnic się chełpi, wypełnia.
Frazesów po brzegi pełen, niegodne usta nimi syci.
Próżni... bez zasad, bez godności,
Nie widzą, sami wpadają do niego, stają jak wryci!

Zepsuci, trędowaci, bez wartości...
Tu starszym się jeszcze chce coś zmieniać, budować,
na nowo powstawać z obolałych kolan.
Młodzi bez wiary, z walizką nadziei rzucają wszystko,
ten Kraj nad Odrą, nad Wisłą.
Nikt już nie chce pamiętać chłopaków z Odolan...

Któż zostanie? Najemni, masa bezkształtna, zagoniona
w kreci zaułek kart i czeków, pustych bez pokrycia?
czy... „jak ława z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa...
plunie na tę skorupę...”, by ratować sens życia?

Ja w mym śnie dziwnym i srogim
Tobie zawierzam Kraj ten sercu miły, drogi...

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jerzy Marciniak

odlatujące łabędzie

*pani soltys Soboty
Iwonie Delinowskiej*

wiersze
pisane nad brzegiem jeziora
są jak trwała cisza
biała
dużo cichsza niż milczenie
lub
jak cykanie świerszcza
nad ranem ginące

patrzyłem
na daleki horyzont
zamglony
jak zabierał mi z oczu łabędzie
odlatujące

niczym
mrok białe kwiaty w naszym dawnym
ogrodzie
za łabędziami podążał wiatr
chłodny
zbierając kręgi z kropel deszczu rozsiane
po wodzie

poezja
to też dnia cień
skrzydlaty
daleko dłuższy od miesiąca

to krzyk i szept łabędzi
co
coraz bardziej chcą być sobie oddani

to
łódka na pełnych żaglach wracająca z dala
na którą stary pisarz czeka
w dawnej przystani

jesień nad jeziorem Pilchowickim

śnieżyca

*pani sołtys Dłużca
Weronice Wojno*

zamieć

wiatr wpadał między drzewa
i gnał gnał płatki śniegu
przed siebie
przed siebie
od Dębowego Gaju do Soboty
do Dłużca Dłużca
wszystko było w biegu w biegu

wirujące

kręcił i rzeźbił ze śniegu figury
postacie
wyglądające jak nagie panienki
tańczące na śniegu

pędził poganiał
po krętych ścieżkach
zakamarkach zaułkach
by drogę gubiły
a one i tak
odwracały się do niego plecami
i wlokły wlokły
w stronę naszego domu
i sadu

mimo iż od dawna nie miały
siły

każdego wieczoru były jednak
z powrotem

na pewno kochały
jak i ja
ten nasz stary dom i sad
z uschniętymi drzewami
otoczony

mojej pamięci płotem

zimną nad Bobrem w 2020 r.

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Pierwsze honorarium

Czy to naprawdę ten wczesny poranek?
noc odeszła tak szybko a jeszcze się nie skończyła
i dzień jest tak deszczowy że dnia nie widać
To chwila kiedy spod koca budzi się ręka spocona od wzięcia
i ślepo sięga do skrytki pod spracowanym blatem stolika
Jeszcze oczy sklezione wieczorną myślą o łatwych kobietach
nie otwierają się na tę radosną rzeczywistość

a to koperta to pierwsze prawdziwe banknoty w życiu
listki urwane z drzewa snów o ucieczce z dzieciństwa
spora ich biblioteczka wszystkie historie spisane w Biblii
za które można zdobyć dosłownie wszystko a jeszcze
nic nie zrobiłem takiego nic ważnego jeszcze
jeszcze przecież na żadnej niwie mnie nie ma

Plecy

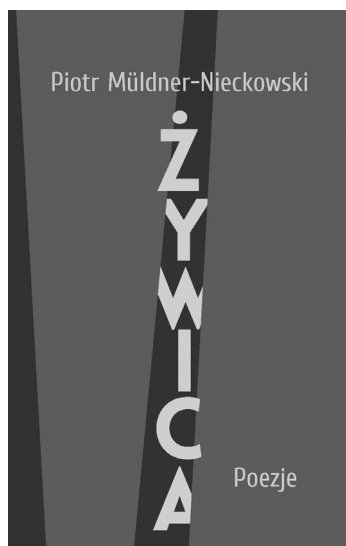
A cóż to, nagle odwraca się osoba, która przede mną stoi,
patrzy mi prosto w twarz, widzę jej mocne oczy.
Jej uśmiech od brzucha, piersi, biegnie przez wargi
aż do szczytu głowy, gdzie wszystko można sobie wytłumaczyć,
by potem wrócić do stanu niewiedzy, że stoi ta kobieta
plecami przed tobą i chce z tobą coś zrobić,
coś chce załatwić, a może to tylko twój taki pomysł,
bo piękna jak mało kto w tym tłumie, a może tak ci się
wydaje, ale ona robi jedną nogą milowy krok do tyłu
i dotyka twojego buta, tak że chcesz wiedzieć,
co zrobi jeszcze.

Jestem szczęśliwy

Jestem szczęśliwy że się urodziłem na tej ziemi
 ale nie wiem czy lepsze jest urodzenie czy ziemia
 a kto do mnie podchodzi i wkłada mi coś do wózeczka
 (jeden smoczek drugi wiatraczek trzecia zoškę z ołowiu i włóczki)
 ten uważa coś zupełnie innego i jeden mnie całuje
 w ucho drugi w usta trzeci w pępek niebezpiecznie
 każdy dotyk ich ust niesie coś zaskakującego
 każde usta są inne jedne bezduszne przynoszą głuchotę
 drugie bakteryjne trzecie iluzorycznie ludyczne
 sam nie wiem w którą stronę się obrócić
 żeby mnie dotknęło szczęście urodzenia
 na tej ziemi która przytuli
 czuję że mnie opuszcza pewność siebie

Wiersze z tomu „Żywica”, 2021

Piotr Müldner-Nieckowski
Żywica
 Oficyna Wydawnicza Volumen
 Warszawa 2021
 Stron 214
 ISBN 978-83-64708-92-3



Alicja Patey-Grabowska

Ofiara błagalna

Gdy żona w ramionach męża cudzołoży
Gdy mąż w ramionach żony inną w myślach gładzi
Gdy zamiast deszczu słońce zamiast słońca deszcz

o sprostowanie drogi
w niebo gołębie białe

Gdy niepokój mysim pyszczkiem
żeruje na wargach
gdy kolory blaskiem przywołują ślepcą
gdy dźwięk usiłuje wtargnąć w uszy głuche

o światło dla zbłąkanych
w niebo gołębie białe

Aby z mgły wyluskać łakę
i ziarenka ziemi zasadzić na skale
natchnąć wiatrem skrzydła do lotu niezdadne
I źródło zaprowadzić gdzie cel przeznaczenia

W ofierze w niebo gołębie białe

Z tomu „Poezje wybrane” (LSW, 2020)

Pod pomnikiem Chopina

Tu
pod pomnikiem Chopina
nauczę cię
synku
Polski
Słyszysz etiudę C-dur?
Rozbrzmiewa w niej

Historia
Widzisz płonące znicze?
Słyszysz w nokturnach płacz matek?

Tu
pod pomnikiem Chopina
zrozumiesz
że jesteś
Polakiem

Skało kamienna

I

W Tobie ukryte
miliard lat
Skało
A moje ciało
skamienieje
rozpadnie się w proch
zasili gwiazdy
gdy słońce skurczy się
jak czerwony karzeł

II

W tobie CO BYŁO
Skało
skamieniała
wyrośłaś z ziemi
z galaktyki spadłaś
której ramiona
oplotły materię
naszą widzialną
i czarną
która jest
a której nie ma

III

Skało
 skamieniała
 wolę liść z drzewa
 Oddycha kroplą
 tak jak ja
 płucami
 i serce bije
 w korzeniach
 i w ptaku
 który szybuje
 pomiędzy chmurami

IV

Ja wolę Życie
 choćby krótkotrwałe
 niż trwać w kamieniu
 w miliardach bezczasu
 Nie zazdroszczę
 Skało
 twej starczej młodości
 wolę siłę wody
 bo niosę ją w sobie
 z oceanu życia
 jak mówił Heraklit.
 Z wody i Słowa
 jak w Księdze Rodzaju

V

A jednak
 Skało
 gdy dotykam Ciebie
 dreszcz mnie przenika

Groźna i milcząca
kryjesz tajemnicę
Początku
i Końca

8 IX 2021

Alicja Patey-Grabowska



Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Paweł Podlipniak

Synchronicity 3 [pieska kolęda]

pięknie kraj krwawi z kroku pomiędzy rzekami
i pełnie coś brzydkiego do świętej miłości
kochanej najojczyściej i czai się małość
w umysłach przepocziwych przed płaskim ekranem
bo kiedy kłamią wszyscy wtedy nikt nie kłamie

podnoszę rękę skośnie wysoko do góry
zamawiam piąte piwo od byłego księdza
i wtedy wiem że prawda to tylko paradoks
sprzedawany naiwnym przed płaskim ekranem
bo kiedy kłamią wszyscy wtedy nikt nie kłamie

jest w kranach ciepła woda a wódka w lodówce
zamarza najsztelniej naśladować zimę
dobra nowina spływa wprost z pańskiego żłobu
więc sam się uspokajam przed płaskim ekranem
bo kiedy kłamią wszyscy nawet ja nie kłamie

Najntinejtyfor [Paulinie na pocieszenie po prezentacji z Orwella]

Wojna to pokój. Wolność to niewola.

Ignorancja to siła.

George Orwell „1984”

powiem ci córeczko, jak bardzo samotna
będziesz czytając Pounda, Prousta i Orwella,
gdyż wszechświat się wydurnia, a między półkami
rośnie ciemna materia i kłębi się próżnia.

zanika alfabet, język już przyrasta
do podniebienia sytym, wszędobylskim osłom,
dla których emotikon to obcięta głowa

żołnierza zabitego tuż przy stacji metra.

przemija postać świata stworzonego słowem,
gdzie początkiem alfa, a końcem omega.
wracamy do jaskini z cyfrowym pięściakiem,
malować tępe buźki na zbrojonych ścianach.

kiedy masz do wyboru: albo być jak wszyscy,
czyli wcale nie istnieć, albo w pojedynkę
przemierzać lata świetlne pomiędzy półkami,
to idź wyprostowana i daj głupcom zdzierać

gardła w żabim rechocie, aż do pierwszej krwi.

Nie ma [ość]

Brodskiemu i ciemności

te rozbłyски smartfonów w ciemnym autobusie
jak ślady po kolizji odległych galaktyk
wciąż docierają do nas z takim opóźnieniem
że dawno już ich nie ma nie istnieje droga
i nie ma po co wracać nie ma i do kogo
nikogo wokół nie ma gdy zapada ciemność

każdy ma własny kosmos wyrzeźbiony w krzemie
który się kurczy nagle do rozmiarów punktu
najlepiej widocznego gdzieś na końcu prostej
lecz nawet prostej nie ma kiedy mięknie droga
skrapiana rzadkim deszczem dalekim do wiosny
i dźwiękami sygnałów że ktoś ma wiadomość

osobność tej podróży w nicość i bez celu
jest okrutna jak rozbłyски na małym ekranie
a pięć cali to dystans nie do pokonania
nawet przez wiązkę światła więc nas wcale nie ma
i nie ma po co wracać nie ma i do kogo
przez wypełnioną niczym najlepszą rozdzielczość

Martwa natura z literą „P” [rwany]

to jest krajobraz z widokiem na kościół
– w tle jakieś dymy i zmętniała rzeka,
a za nią drzewa leżące pokotem
wzdłuż linii prawa (polski w to nie mieszaj).

tam jedzie pociąg do umarłych stacji
z palcem na wargach, przez wymowną ciszę,
bo lepiej milczeć pośród słów wytartych
(nie mieszaj polski) lub zgubionych liter.

siny krajobraz i dymy jak kreski,
więc się nie mieszaj w zupę pełną krzyku,
(nie tykaj polski) tajemnic bolesnych
w różańcu z ostów i bryłek bursztynu.

tu tkwi madonna z grudą ziemi w ustach,
z kościelnych wieży spływa w dół muzyka
i dal się szczyrzy, tnie się w drzewie pustka
– dziura po sęku (polski tam nie wtykaj).

Paweł Podlipniak

Maria Jolanta Piasecka**Haiku**

* * *

stary ogród
gotowy na otwarcie
pączek piwonii

* * *

kap kap kap
za miarkę oskoły
tuli brzozę

* * *

siewki marchwi
na kolanach przed nimi
wrywa chwasty

* * *

w upalny wieczór
podlewanie grządki
ona trzyma wąż

* * *

czerwcowy wiatr
przez cienką sukienkę
poznaje mnie

* * *

tracąc buty
kleję się do niego
mięciutki asfalt

* * *

jej pocałunek
pachnący żywicą
świerkowy przyrost

* * *

różowy księżyc
och jak bardzo figlarny
kolor pełni

* * *

ostatni płatek
co rok nowej piwonii
ten sam blef

Maria Jolanta Piasecka

Jan Krzysztof Piasecki

Lizbona 2017

Ponad gardzielą Tagu,
na krańcu Europy opartym o Atlantyck,
ze stromych uliczek schodziłem na nabrzeża.

Rzeka umyka Lizbonie do oceanu.
Blisko Wieży (Torre), skąd Vasco odpłynął do Indii,
stoi kamienna łódź z rzeźbami odkrywców –
Padrao des Descubertos.

Padrao wbijali w odkrywane ziemie –
tak zajęli Brazylię. Zaczęło się od słupów,
dzisiaj po portugalsku mówi dwieście milionów.

Wielki mały Narodzie, wcale cię nie poznałem,
nie zrozumiałem (przez tydzień?).

Dziewięć wieków u brzegu Atlantyku
w granicach niezmiennych od rekonkwisty.
Przedtem Iberowie, Celtowie, Fenicjanie, Grecy, Kartagina,
Rzym (Luzytania), Germanie, Maurowie.
Po rekonkwicie zawsze szczypta Maurów i Żydów.

Wielki mały Narodzie,
u szczytu potęgi możni nie chcieli się dzielić.
Kościół zdołał świątynie, urządził auto da fe.
Pęczniały latyfundia, chłop czmychał do nowej Brazylii.
Trzęsienie ziemi zburzyło Lizbonę, przerwało złoty wiek XVI.
Na początku XX zabito króla; 60 lat dyktatury,
wreszcie goździki w lufach karabinów.

Uliczki starej Lizbony oblegają turyści.
„Lokalsi” suszą bieliznę w oknach,
gawędzą na schodkach i progach,

wożą przyjezdną gawieź trójkołowymi autkami.
„Mass tourism kills Lisboa” – w zaułku Alfamy
tramwaje mijają graffiti.

Poeta Pessoa zastygł na małym largo z mosiężną głową-książką;
atmosferą przypomina pomnik Kafki z Pragi.
Młodzież oblega plac Camoesa, ojca poezji co królowi odbił kochankę.

Z Miradouro de Santa Justa oglądam Alfamę,
katedrę Se i Tag rozlany u stóp miasta.
Po zmroku uliczki centrum jak wielka kawiarnia,
kelnerzy cię zapraszają, słysząc muzykę fado,
w Se infantka Anna czyta kamienną książkę,
pies leży u nóg Lopo Fernandes.

Dzielnice biznesu jak wszędzie, bezduszne biurowce, promenady.
W wianuszkach aglomeracji sterczą grona bloków,
z kolejki oglądam ogródek warzywny przy torach do Cascais.
Na plaży nad oceanem młodzi pływają na deskach.
Przemierzam miasteczka, ogrody tropikalne,
zamek Maurów w Sintrze i pałac, skąd w 1910 umknęła szlachta...

Dla mnie wszędzie tu pusto, z nikim się nie dzielę tym pobytem.
– „Pan jest chyba Litwinem?” – (Litwin na miradouro¹).
– „Ludzie podczas snu brzydko pachną. Okno w nocy trzymajmy
otwarte”.

(turystka z górnej pryczy w hostelu).
– „Daj przejście kobiecie z wózkiem” – młody Portugalczyk
w marcecie odsunął mnie jak przedmiot.
W hostelu długo rozmawiałem z Niemką.

Wypluł mnie tutaj airbus.
Podobnym odleć z ciepłego miasta w chłodny październik Mazowsza.

¹ Miradouro – w języku portugalskim: punkt widokowy.

Praga Monachium Paryż 2006

Praga jest jak wyważony wiersz, prawie doskonała. Dzielnice starych kamienic jak przeniesione z dziewiętnastego wieku. Tu nie niszczone, nie burzone, tu się chroni, odnawia. Lecz czasem Wełtawa wylewa i trzeba miasto suszyć.

Od rzeki wchodzisz na wzgórze Hradczany z perłą ciemnej Katedry i Zamkiem, Małą Straną przy ogrodach schodzisz do Mostu Karola za Wełtawę,

na Starym Mieście bierzesz dorożkę.

Pełen przestrzeni trakt Vaclavskich Namesti obejmują ogromne kamienice.

Secesja aż kapie.

Przy deptaku wśród bukszpanu w małej niszy stoi brzozy krzyżyk ze wstążką czeskiej flagi, a przed nim bazaltowa tablica pamięci dwóch Janów –

Palacha i Zajíca.

Właśnie ktoś kładzie róże.

Wśród Josefowskich kamienic śpi Cmentarz Żydowski. Macewy wyrastają z ziemi stłoczone wśród drzew. Od Synagogi Pinkasa do Domu Pogrzebowego, krętą ścieżką wzdłuż liny, gęsiego, w milczeniu idą turyści z całego świata. Czasem ktoś robi zdjęcie.

W Dzielnicy Żydowskiej domy i synagogi przetrwały – Maisela, Wielka, Hiszpańska... Chodzą po Josefowie ludzie z całego świata, zwiedzają synagogi.

Przy Hiszpańskiej Franz Kafka: postać w kapeluszu wyrasta z giganta o pustym torsie. W gablocie muzeum kennkarta siwego pana ostemplowana zielonym J.

Na dworcu Masaryka w Pradze czarnowłosa dziewczyna kładzie mi dłoń na ramieniu: – Chcete mieć uciechę?

Monachium jest proste jak czytanka, jeśli unikasz labiryntów podziemi.

W piwiarni Hofbräuhaus tysiąc osób ucztuje naraz. Pytasz jaki to hałas? Nie taki, jak w 1919 na pierwszym mityngu Nazi.

Izera liczy mosty.

Pinakoteka serwuje sztukę wysoką w trzech smakach.

Gotyckie wieże Frauenkirche nakryto renesansowymi czapkami i tak zostało. Na Marienplatz, niedaleko, ludzie czekają na grę karylionu i taniec kukiełek z Ratusza.

Z trasy Prinzregenten przy Ogrodach Angielskich ujrzysz kolumnadę Domu Sztuki – Haus der Kunst, prezent Hitlera dla Rzeszy. Obok, chociaż listopad, na fali za prągiem potoku surfują młodzi.

W barokowym Theatinerkirche podziękuj miastu za pobyt.

Paryż jest ciepły i uprzejmy,
chwali się Wieżą, Katedrą, Polami.

Ślizgam się po jego powierzchni, krążę pod ziemią w metro z ludźmi wszystkich ras świata, lecz nie czuję istoty miasta.

Boję się pisać o Tobie, Paryżu, jesteś za wielki,
nie ogarniam Cię, jedynie dotykam.

Jesteś jak nieskończona niespodzianka –
w prześwitach bocznych ulic, w wylotach placów jawi się kościół,
fontanna, obelisk, zdumiewający ogród, kamienica, pomnik, pałac,
następny plac.

Wzgórze Montemartre ze świątynią Sacre Coeur na szczycie jest
inne –

uliczki spięte stromymi schodami,
pracownie Picassa, Degas, domy kompozytorów, poetów, pisarzy,
ulice ich imienia.

Tu, na Butte – Wzgórze – za żaluzjami, narodziła się sztuka
nowoczesna.

Do Sacre Coeur idziesz przez placzyk malarzy du Tertre, schodzisz
lub zjeżdżasz kolejką linową, uliczkami płyniesz z masą turystów, mijasz
kamieniczki, kafejki, sklepiki, metro Anvers, skręcasz w Rochechouart
(dużo Arabów, taniocza, sklepy Tatiego), idziesz na zachód do Pigalle,
Moulin Rouge, na deptak seksu.

Uwiódł mnie Ogród Luksemburski z fontanną Médicis, pałacem,
ludźmi biegającymi dla zdrowia jak w Wersalu czy Ogrodach Tuileries.

A Louvre z piramidą, Nike, „Transportem drewna z Libanu”?

A Invalides ze zdobycznymi sztandarami?

A Łuk Tryumfalny z imionami marszałków i chwałą?

A czarny chłopiec w metro co na wędkę z gumki łowił panią?
(Excusez-moi, madame).

Gdzie jest Twoja dusza, Paryżu?

Czy w brzuchach kamienic Saint Germain, wokół Placu Opery,
w Katedrze Notre Dame, Muzeum d'Orsay, wśród platanów, na dnie
Sekwany?

Czy może w tej panience, która się rozbierała do snu w oknie kamienicy
na Montmartre, gdy stałem vis a vis w jasnym oknie hotelu?

Spotkałem ją na dole na ulicy. Dumnie, z lekką pogardą patrzyła mi
w oczy.

To Paryż przez nią spoglądał; sprawdzał, czy jestem gotowy.

Samolot wychodzi z mgły –
punkcik nad horyzontem nad słoneczną równiną chmur-wydm.
Wracam do Polski.

wiersz napisałem w roku 2007

Jan Krzysztof Piasecki

Krzysztof Rudziński

Siedemnastu

pamięci powstańców 1863 roku

Są noce, kiedy chodzę dawnych czasów skrajem,
oddech w piersi zatajam, by chwili nie musnąć –
i czuję jak opada zapomnienia chusta,
łuski z oczu, i jasność mi wizji się staje:

Oto ogród w mgłach tonie, brodzi późna jesień –
listopad z dniem, co zasnął, zanim w pełni dorósł.
A już chmurnie się zapadł w piernaty wieczoru,
który zjawą posłańca trwożne wieści niesie.

Wnet, pochwycone w sieni, słotą mokrą pluszczą.
Już przytłumionym szeptem zagładają głowy –
ostatnich siedemnastu, z kozienickiej puszczy,
wchodzi rzędem do izby powstańców styczniowych.

Patrzę – twarze zmęczone, a ubrania w strzepach –
ścigani bez wytchnienia kozacką obławą;
Lecz oni raz wybrawszy, zdają się pamiętać,
że śmierć wolnych jest ceną nieśmiertelnych sławy.

Jutro – gdy ich zaborcy, zdrajcy wydawali,
by ciałami ich, dęby ubierał jak w bliznę.
Bóg im oczy zamykał – byśmy pamiętali –
A duszom ich, otwierał już wolną Ojczyznę.

Pożegnanie Kresów

Kiedy noce sierpniowe spadają gwiazdami,
kiedy czas się zapomniał. – Leżąc na balkonie,
odchodzę z tego świata w marzenia, a one
obdarzają mnie hojnie w ciszy wspomnieniami:

I wracam w oka mgnieniu tam, gdzie Zaleszczyki
kawonami brzemienne, morelami wonne,
do porohów dniestrowych, wąwozów muzyki,
gdy pachniała tam Polska; a sny nieprzytomne

brodzą wśród błot poleskich Prypeci moczarów,
po nieświeskich rubieżach. Brną piaszczystym traktem
przez wileńskie zalesia, przez wołyńskie jary,
gubiąc się bezpowrotnie. Byłoby nietaktem

zapomnieć o bocianie, co z szyją przeszytą
grotem murzyńskiej strzały, od bagien nilowych
wolał, co roku wiosnę w burzany spowitą,
by karmić tam swe dzieci i tam złożyć głowę.

Tak mi wciąż napływają obrazy i głosy
z dawnych bająć dzieciństwa zapachy, wciąż nowe,
gdy mi wuj opowiadał legionowe losy
albo gdy uczył pieśni powstań narodowych.

Snuły się dymy stare wonnościami miłe:
Rozmaryny tam kwitły, złościły żarnowce
a w brasławskich zagajach mnóstwo rydzów rosoło,
kiedy nad górną Dźwiną późne lato było.

Całą noc bym tak pieścił na jawie i we śnie
tamtą przeszłość kresową wracającą w skrócie,
jak miłość raz zgubioną, choć się czasem przyśni,
lecz nigdy, tak jak młodość, nie może powrócić.

W Mauthausen

*pamięci mojego wuja Zygmunta Nowakowskiego,
zamordowanego w niemieckim obozie koncentracyjnym
w Mauthausen*

Chciałem, byś wiedział, który przyjdiesz –
mądrzejszy o jutrzejszy hejnał
kogutów, róże powojenne,
kolejny dzień po śmierci mojej,
że w miejscu tym, na którym stoisz
jak niegdyś On; po wiersz ten byłem,
by Jego serce zamęczone
w pamięci wiersza wiecznie biło.

Krzysztof Rudziński

Krzysztof Saturnin Schreyer

Dźwięki fortepianu

Ach jakże opowiedzieć
o dźwiękach fortepianu?

Dalekie ale bliskie
znajomo rozbrzmiewały
gdzieś z okna w obcym kraju
lub obok, z drżeniem serca
gdy siadłaś przy pianinie.

Minęło już pół wieku,
kiedy płynęły rzeką
a ja na brzegu z ojcem
przy starym odbiorniku
nutą Chopina brzmiącym.

Skąd ten kamerton w duszy?
Ze śpiewu w wiejskiej chacie,
który przedziwnie wzruszył
coś w dziecku? I z nasiona
gałązka obudzona
teraz jabłonią pachnie?

Ileż tajemnic w sercu,
a jedną z nich te dźwięki
jak ptaków sznur na niebie.
Wabią tęsknotą rzewną
za czymś, lecz za czym? – Nie wiem.

1 V 2020

Ze zbioru poezji „Człowiekiem jestem” (LSW 2021)

Ty jesteś moim domem

Ty jesteś moim domem
ciepłym w mrozy
mrocznym jak bór świerkowy
w upały
lekkim jak wiatr nad strumieniem
gdy mienia się słońca kryształ..

Ja nie chcę być podróżnikiem
ja chcę być domatorem
twe oczy widzieć w obrazach
miętkość odczuwać w fotelach
i ciche chwile powielać
i głośno śmiać się przy stole
i być
wciąż z tobą
w domu.

15 VII 2021

Liczby

Milion lub tysiąc,
trzy tysiące
jedyńka,
trochę zer.

Patrz:
jedna cyfra
łapie dech.
jak ryba, którą sieć
w palące rzuca słońce.

Pod aparatem
mokra,
sina
leży bez zmysłów.
Cyfra?

Ktoś w gogłach, masce i fartuchu
 słabego bicia serca słucha.
 A w płucach jamy na rentgenie –
 groza, tłumione przerażenie.

Z wahaniem lekarz warzy słowa,
 wypowiedź musi być rzeczowa,
 ruchy oszczędne – ze zmęczenia?
 A wyraz oczu? Czy się zmienia?

Wtem niespodzianie drży powieka.
 Nie cyfra,
Człowiek mu ucieka
 ze świata w rejon statystyki.

Na szczytach wielkiej polityki
 dzisiaj sukcesu zera miarą.
 Krzywe na planszy opadają –
 gdy zer niewiele pozostanie,
 nastąpi dumne świętowanie.

Nocami w ciszy gdzieś grobowej
 leżą cmentarze nadmiarowe,
 a w każdym nadmiarowym grobie
 nie cyfra leży,
 tylko człowiek.

27 IV 2021

*Wiersz nagrodzony w konkursie Okręgowej Izby lekarskiej w Warszawie.
 Temat: Lekarz w pandemii.*

Podręcznik ekonomii

Kiedy pragnienie wprost pali,
 zły los zaś wciąż nie pozwala,
 bo to gniew boski i kara,
 chociaż się już całowali
 i chociaż łoże zaprasza
 i wielkie jest pożądanie,

grzech ciężki piekłem odstrasza,
 więc nic, och nic się nie stanie.
 Jakże dwa ciała odgrodzić,
 jak zwalczyć siłę magnesu?
 I jak się z losem pogodzić,
 kiedy pragnienie bez kresu?
 Nie mają miecza Tristana,
 nie lubią przysięg niezłomnych,
 a musi tu być zabrana
 wolność dwóch ciał nieprzytomnych.
 Więc co położyć w pościeli,
 jaką barierę postawić,
 która ich mocno rozdzieli,
 aby od piekła wybawić?
 Kiedy tak w wielkiej rozpacz,
 z pragnienia wręcz nieprzytomni,
 on na półeczce zobaczył
 tom wielki praw ekonomii.
 Już księga ciała rozdziela
 i pierwsza strona otwarta,
 sentencji w niej zbiór myśliciela –
 ta rzecz poznania jest warta.
 Próbuja, wnet oczy się kleją,
 lecz oni czytają z nadzieją,
 że wielkie w księdze mądrości
 pomogą w trudnej miłości.
 I oto lepszy od miecza
 przez siłę swej monotonii
 tom ich z pragnienia uleczył,
 o nudzie śnią ekonomii.

*Z tomu „Znaki zodiaku – miłość pisana wierszem”
 (Oficyna wydawnicza NTE 2019)*

Wiosna – lato

Jesień życia z chłódami, niebem zachmurzonym?
Oni takiej nie znają. Dla męża i żony
wbrew dawno ustalonym nakazom natury
zniknął czas, co jakoby winien być ponury.

Młodzi jak młoda miłość, co najmniej od roku,
idą wciąż ręka w rękę, przyspieszając kroku,
bo im się spieszy bardzo, gdziekolwiek trakt wiedzie,
byle razem, tanecznie, z księżycem na przedzie

do tancbudy pod dachem pokrytym gwiazdami,
nad brzeg morza w ulewie, pod parasolami,
aby zliczyć dokładnie – tak im kaprys każe –
dziesiątki stopni schodów biegnących na plażę.

Blask świec, dźwięk kryształu, mroczne oczu lśnienie,
smak miłości prawdziwy – to nie jest marzenie
o tym co niemożliwe, chociaż upragnione –
wszak ramieniem nie zjawę otacza, lecz... żonę!

W duszy co w ciele mieszka trudnych lat dziesiątki
wiosna kwitnie w najlepsze i tajne zakątki
zwiedza i zapachami ciężko odorczona
jest jak młoda, ziołami upojona żona.

Mąż zaś, wiosennych soków pełen i zdumienia,
szuka młodzieńczych rojeń mocnego spełnienia.
Pomieszały się pory, wiosna po jesieni
i płyną teraz w lata pożodze spleceni.

22 V 2019

Ze zbioru „W kielichu jego dłoni” (LSW 2020)

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Dlaczego

Specjaliści
mędrcy
biografowie
fachowcy

analizują
dlaczego Witkacy
popełnił samobójstwo
ja to wiem

bo miał 54 lata
bo widział już wszystko
bo wiedział już wszystko
przynajmniej tyle co my teraz

Nowe

*Na nowe patrzę zawsze jak Judasz
ze złością, podejrzeniem,
i przyjmuję niechętnie.*

Witold Wojtkiewicz

Coraz mniej cierpliwości
ile czynności potrzeba
żeby przeżyć jeden dzień
niewiele
po co dodawać

przybywa uzasadnień
jednak nie warto było
to do nikogo
do niczego
nie prowadzi
ubywa wiary

ludzie są niepewni
rzeczom brakuje stabilności
umowy rozwiązują się jak sznurowadła
przyptyw i odpływ

więcej i mniej
to wciąż przecież zmiana
niszcząca zmiana
nie nadąża wzrok nie nadąża serce
co to ze mną robi

Życie

To nie my
żyjemy

to nie my wybieramy życie
to życie wybiera nas

wskazuje palcem
jak przy decymacji
jak na peronie selekcji

temu przydziela kalectwo
tamtej ojca alkoholika
a tamtemu niewierną żonę

rozdane karty
ustawiona szachowa pozycja
ślalom nie do pokonania

co wybrałeś w swoim życiu
co wybrało ciebie

wrzuceni w nie
toniemy

Etapy

*Leave all that you were
C'ause you won't need it where
You are going tonight
Susanne Sundfør*

Nie wiedziałem tego
w wieku trzydziestu lat
teraz wiem
najłatwiej pożegnać się z rzeczami
to co zbierane z takim trudem
składane jak do rodzinnego albumu
kompletowane z dumą
z perspektywy sześćdziesięciu lat
wydaje się zbytecznym panoptikum
nieskuteczną zaporą przed światem
wstępem do wysypiska śmieci
żadnym dowodem istnienia

znacznie trudniej
pożegnać się ze szczątkami emocji
bo nawet jeżeli nie miłość
to przecież były powody do bycia
razem wspólnie solidarnie
a jednak i to się rozpada i kruszy
rozsypuje jak piasek
dopóki dopisuje pamięć trwa
purpurowy ból niespełnienia
porusza się ostra drzazga
w skórze pamiętnego popołudnia
w ranie nigdy nie zbliznionej

najtrudniej rozstać się
z samym sobą
nawet wówczas gdy własne ciało
wywołuje już tylko wstręt
a jego narastająca niesprawność

zachęca do gwałtownego samosądu
coś mnie we mnie trzyma
podpowiada że to ostatnia partia
jedynej i niepowtarzalnej gry
wzbiera bunt przerażonej duszy
która chętnie wyda ciało na śmierć
jeżeli tylko jej zostanie darowane

Jerzy Śleszyński

Sławomir Stalmach

Szkic koncepcji

Na ziemi jest wiele rzeczy,
zbyt dużo dla jednego człowieka,
nawet stu albo tysiąca lub miliona ludzi.
Każdego roku jadę daleko na północ,
kilkaset kilometrów w jedną stronę,
bo chcę dwa razy zobaczyć wiosnę.
Tak robi każdy z nas,
by sprawdzić, czy idee są w materii,
czy są poza nią.

Gorączka

Emocje żyją w lasku olchowym,
wlepiają wzrok i nasłuchują.
W głąb wciągają każdego przechodnia,
który łapczywie pożera drogę:
przeskakuje po dwa takty,
łamie rytm i pędzi na złamanie karku.
Tam bieleją ich miny uciągnięte,
buta i uśmieszek.

Przejścia

Zwykła melodia słów rozpoczyna się od zdziwienia,
które jest wyrazem kultury nad naszym urodzeniem,
pierwszym krokiem cywilizacji.
Zaś kadencja zwraca się ku przyrodzie,
niemej barbarzyńce,
która stała soptem wśród deszczów,
jak skała,
bez płaszcza.

Grzegorz Walczak

Roznamięty

(wybór)

Dialog liryczny

Mochata jesteś.
A ty słuty.
Pastolać chciałbym ciebie.
Spróbuj.
Roztamaj się co nieco przecież.
Ech, tobie zawsze w głowie świrgo.
A ja zaliliać bym cię chciała
i w takie biało ciapkać włóki,
i po rozleniach się przesładzać,
i wśród babiędzia by przycichać.



Mal. Per Dahlberg

Na mchu słodkoleśnym

Zmechałbym się z tobą
na mchu słodkoleśnym,
wabiłbym sękatkiem,
języczulkiem pieścił,
w rozłogach twych kolan
sam bym się rozłożył,
ćwiczył twe zachwyty,
wniebogłosy mnożył.
Sosna by nam była
opoką, gdy w pionie,
a mech by nam sprzyjał,
gdyby tak po skonie
opaść w końcu przyszło
i w nieba poglądać,

przestygąć i dyszeć,
w beżądze pogrążyć.
Ale duch się z ciała
nie wysupłał jeszcze.
On by je przynaglał
nieustannym dreszczem,
który pod korzeniem
wzrusza twoje głębie
i rozkoszną falą
znów się budzi we mnie.
Niemoc wpęzła w lędźwie
twój palczyk przemoże.
On ci się zapłaczę
gdzieś we mnie,
o Boże!
Jakiż on bezwstydnym,
jaki słodkowkrętnym,
czemu mnie przenika,
kiedy jam jest męski?
Ruszają turbiny napowrotnych chuci.
Kto tu kogo drąży,

kogo bałamuci?
Zieleń nas przenika
mchu sprężyn tysiącem.
Znów tryska żywica!
W twoich oczach... słońce.

Kąpiel z księżycem

W wodzie Księżyc ją przyłapał.
Była cała białonaga.
Chciał ją zaraz na róg nadziać,
na róg nowiu serdlowego.
Łechtać począł ją promiennie,
lecz mu w cień się wyslizgnęła
drzewa wielce sękatego.
Księżyc rzucił się na przełaj
przez obłoczne zatumany,
przez przestworne zamroczenia,
nurzał się wśród niebnej piany,
już dojrzewał, pęczniał, zmieniał
kształt swój coraz ponętniejszy
dla dziewczyny chciwych oczu
zerkających nań bezwstydnie,
przez co jeszcze większy poczuł
żar miłosny w swym podbrzuszu,
a gdy wreszcie wyszła z cienia
i układała się na łące,
rozchylając nóg podwoje,
wbił się w nią, a ona – Słońce! –
zawołała – Słońce moje!
Wtedy aż ze złości zsiniał,
od zazdrości mało nie pękł..
– Jak to, zdrajna, Słońce wzywasz,
kiedy ja posiadałem ciebie?! –
Ta, co myli swych kochanków
w trakcie aktu strzelistego,
godna jest jedynie batów!

Ciał ją po pośladach ślepo,
plecy do krwi jej przecinał
miesiąc nad nią rozszalały.
Winna była czy niewinna?,
piersi słodkie jej wezbrały
od rozkoszy, od nadmocy
namiętności pastwiennika,
który żąda ją zamroczył,
gdy ją smagał, gdy przenikał
coraz głębiej, coraz krwawiej,
Tylko ty – wołała ona
– siecz mnie knutem, zabij nawet,
– jam kochanka twoja, żona! –
Borciuchała się po łące,
rozwydrzała się soczyście,
tyłkiem tarła aż o liście,
Księżyc umknął, weszło Słońce.
Ona tego nieświadoma,
nawiedzona chutną pasją,
dopuściła je do łona.
Słońce wpadło w nią i zgasło.
Ciemność otuliła ziemię,
tylko rosochate drzewo
od zarazy rozkurwicy
aż zadrżało i uschnęło.
Cisza teraz i nadsmętek,
gwiazdy od sromoty płoną
w głębi nieba niepojętej,
Słońce się z Księżycem gonią.
Może chcą się wytłumaczyć,
coś zagadać o dziewczynie,
co ją brali gdzieś nad wodą...
Gdzież ta woda?
Wszystko płynie.

Szał

Dziś wyznała mi mechatka,
że by chciała konia gładko
przyjąć w bezmiar swoich chuci,
tak ją targa coś, tak kusi.

Ważne, by był zwierz,
bo spragniona jest
nadogromu nadludzkiego,
oszołomu szalonego,
by wędzidła wszelkich granic
rozgraniczyć, mieć je za nic
i na koniu pędzić tam,
gdzie już tylko lot, gdzie szął.

Powiedziałem – Moja miła,
chybaś mi się zmechaciła,
rozbiesiła, zsobaczyła.
Grzech to jest czy błąd? ...
roztrwon, człeczcy skon.

Co mi, żuczku, kwasisz!
Uszu nie chcesz skazać.
Ty masz rozum czysty,
ja kobiecie zmysły.
Ty nie pojdziesz chciejnych dróg,
gdzie namiętny chadza bóg,
gdzie się miesza wstyd i żar
wpółotwartych chłodnych warg,
wółprzymkniętych oczu mych,
w których nagły dziki błysk
rodzi się z podbrzusza nocy.
Ach, mój słodki lisie,
chyba zmechaciłam ci się.

Rozkulbaczyć ciebie czas.
Czuję wreszcie w portkach głąz,

czuję twój kobyli pot.
 Dosiądź mnie! Dalej w skok,
 dalej w cwał, w konia lot!
 W gwiezdny pył młot, twój młot
 rozbija moją głębłą głód.
 Bierz mnie, bierz, tnij mój zad!

Tak się stałem twoim koniem..
 Boże, wieczność we mnie płonie,
 nienasytna, nieskończona.
 Będę wiecznie w tobie koniać.

Mruczkowość

Mruczkowość siedzi z babą na płocie,
 ona na kołku, a on
 sypie zielonymi iskrami
 dla stu pociech.
 Proszę wielebnego – tam cosik się jątrzy
 łyska się wokół podwiązki.
 Żeby nie było z tego nowej światowej
 albo w karczmie draki.
 O, już się zleciały Kupidynki,
 skrzydlate chłopaki
 i zaraz po piwku,
 i zaraz się im zachciewa,
 żeby zlaźła z dobrozłego drzewa
 i się z nimi układała,
 taka chcejska i obła,
 cała z babskiego sadła,
 taka, że tylko ją obłap.

A Mruczkowość?
 Ma to wszystko w nosie.
 Och, jak dobrze być
 Mruczkowłosem.



Mal. Per Dahlberg

Działanie

Ach, serdeczko, chciej mnie w liczko...
 Niedostępnam w dni przestępne.
 Wpamcij mi się choćby tyćko, tyciuteńko...
 Nie brzdęc, zemknij!
 Próżne twoje podmilanie,
 podwabianie niewydarzne.
 Na nic twoje podlizywki.
 Są mi z tobą niedoparzne
 ciałociałki, biodrobodki,
 wargowargi, języczulki.
 Za nic mam ja twe przesłodki,
 przynudzianki i przytulki.

Wszystko mnie już to zemgliło:
 rozdziamdziałość twa, nadmiłość.
 Teraz charta jestem warta
 drapieżuńcia, bonaparta.
 Teraz bym się rozsmoczyła,
 skrogulczyła, zwampirzyła...
 Ach, serdeczko, naiwniuchu,
 znów zachciewa ci się bunciu.
 A to czas się nam rozciapciał.
 Jam, gołąbko, dawno skapciał.
 Teraz tylko czasem wspomnię,
 jak zogniałem swą gołąbcię.
 Nie dziamdziamdziaj dziamdziamdziadziu,
 ścichnij, wreszcie się pokładziuj
 i pogasiuj – wszyscy chrapiu.
 I ja chrapkę miałbym na coś,
 ale już mnie zamroczyło,
 już nie pamcię, co to było.

Grzegorz Walczak

Olga Wójcik

Drogo

Byłam sama
i nie sama
na drodze
w drodze
w maju

Szłam
znaną drogą
jednakże
nigdy
niewidzianą o tej porze

Była otulona jasnością
powietrzem
bisioru woalem
Na horyzoncie
rozsypany
diamentowy pył

Jakby ulatywała
wznosiła się

Taką drogą
można by
przejsć
Stąd – Tam

Wtedy też
szukałabym
aniołów
które teraz bawią się
ze mną w chowanego

Może skrył się
za jabłonią
A może w trawie przysiadł
A może przepłynął
wraz z zapachem bzu

Droga uśmiecha się
promienną bielą
kwiatów
lekkich fioletów
i połaci
szafirowej zieleni

Drogo
Do zobaczenia
na skraju życia



olga wójcik
w pejzażu
within the landscape



Olga Wójcik
W pejzażu
Anagram, Warszawa 2019
stron 80
ISBN 978-83-6554-35-2

Tamara Bołdak-Janowska

Tamara BeJot – Tolo Szaleńczyk

Krótki dialog położniczy o tym że Picia istnieje

BeJot: Simone de Beauvoir stwierdziła, słusznie i strasznie: „Śmierć zawsze jest bezprawnym gwałtem, nawet dla tych, co się z nią pogodzili”. Każda taka jest, też tak wiem. Nie ma śmierci naturalnej. Simone zastąpiła rozwlekłe rozprawy filozoficzne o śmierci tym jednym zdaniem. I myślę, że zdanie kobiety albo jest fundamentalne, albo nie ma go wcale. Potakiwanie epoce nie jest zdaniem. Simone zmienia w filozofii wszystko jednym zdaniem. Zapamiętane, porusza raz na zawsze. I powinno być w nieustannym obiegu w wątkach rozumnych. Pojawia się u Johna Bowkera w jego książce o śmierci pt. *Sens śmierci*. Takie i podobne fundamentalne żeńskie zdanie myśliciele traktują zazwyczaj jako ciekawostkę. Bowker traktuje je poważnie, i co więcej, w swej pięknej książce wszelkie rozprawy o życiu po śmierci traktuje jako gadaninę kompensacyjną. Ale nie o śmierci mamy rozmawiać.

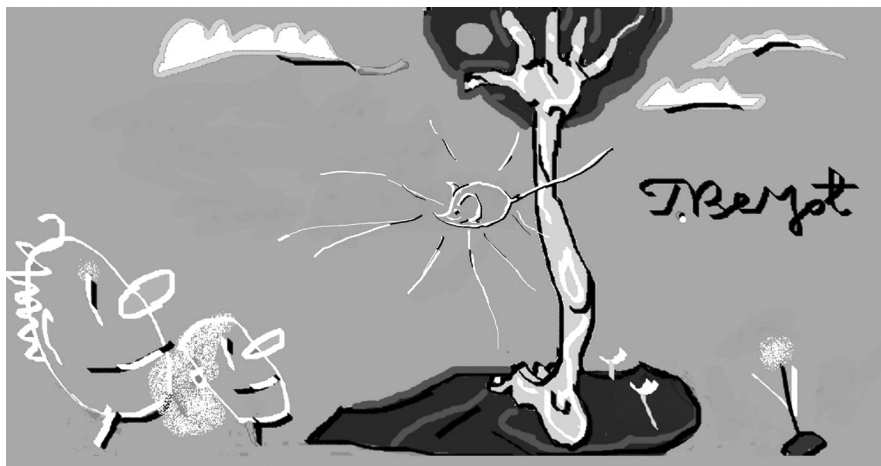
Tolo: Tak, racja. Co tysięcy razy przeżyte, to zużyte. I dalsze powielanie mężczyzny jako pana i władcy już też tylko zamula, i w ogóle jest żenujące dzisiaj, gdziekolwiek wystąpi. Hamlet wysyłał swoją Ofelię do klasztoru,



Cyrano de Bergerac dopada swoją wybraną już w klasztorze, żąda, by zmieniła białe szaty na czarne, bo przecież to on umiera, a ona ma teraz dopiero prawdziwie cierpieć. Język Moliera jest zachwycający, ale dziś te piękne frazy wędzną w powietrzu, brak im życia tej i tej płci, życia razem i z tymi samym Prawami Człowieka do bycia i mowy.

BeJot: Ba. Trzeba zmiany fundamentalnej. Jeśli chcę widoczności Simone de Beauvoir czy innej kobiety z fundamentalną myślą czy wynalazkiem, to nie znaczy to, że pragnę wykurzyć wszystkich mężczyzn z kultury i nauki, zresztą takiej mocy nie mam. Zaraz powołam się na facetów. Coś o sile poezji, o tym, że ta siła zmienia życie, czyni je pełnym. Goethe twierdził, że jeśli poezja jest komuś obca, to ten ktoś zawęży swoje możliwości, na przykład pisze niepełną prozę, płytką, rozwlekłe banalną, wodnistym językiem, na przykład jest wąskim historykiem, ogranicza się poprzez szowinizm, rasizm, nie widzi innych kultur albo traktuje je z wyższością. Oczywiście chodzi o udział w wybitnej poezji, bo ona oducza nienawiści, widząc życie, a nie poglądy polityczne z wieczną nienawiścią do innego poglądu, a nienawiść, jak to ujął Kartezjusz, nigdy nie jest tak mała, żeby nie szkodziła. I nie chodzi o delektowanie się fałszywką z Szymborskiej, krążącą po Internecie, że jak w krzyżu łupie, to miej wszystko w dupie. Niektórzy dają się nabierać na tę fałszywkę. Taka „korzyść” z maszynki i taki upadek pojęcia o poezji. I jeszcze Ernst Cassirer: „Poezja pozwala budować ludzki świat, nie ten niemy, nie ten przeciętny”. A Cassirer przywołuje słowa Horacego z *Ars poetica*, a już je chyba cytowałam, ale nie szkodzi, zacytuję za Cassirerem jeszcze raz: „Ani bogowie, ani ludzie, ani słupy w kramach księgarzy nie pozwalają poetom na przeciętność”. I znowu wołam: ba! Dziś słupy księgarzy... Nie kończę zdania.

Tolo: Myślę akurat o Chopinie, który cały jest poetą, cały. I trwoży mnie głuchota na poezję. I trwoży zalew miernych wierszyków. Jestem czasem bardzo nieszczęśliwy z powodu rozpędu przeciętności i banału. I ta popkulturowa muzyczka zewsząd. To przybija, dusi. I ta fałszywka z Szymborskiej, brana za dobrą monetę, o czym wspominałaś. Chętnie dałbym nieskończoność Pędrkowi Wyrzutowi, dociekliwemu indywiduum, które wyfrunęło z głowy Stefana Themersona, a Franciszka Themerson pięknie je zilustrowała. Owo zmyślne indywiduum chce wiedzieć, kim jest, bo ludzie widzą w nim coś psiego, psy – coś człowieczego, ryby-piły – coś słowicze-go, a koty myślą, że jest w nim coś z ryby. Indagowany na ten temat przez Pędrka Profesor Wielbłąd sprowadził sprawę do poziomu swego bycia i stwierdził, że Pędrzek Wyrzutek jest tym, co je, a wtedy to Pędrzek odrzekł,



że on je wszystko, więc jest Wszystkim, ale za wyjątkiem Wielbłąda, a nim na pewno nie jest, bo wyklucza trawę z jadłospisu. I Wielbłąd w odpowiedzi zaśpiewał, tęskniąc do tego co ściśle jego:

*Gdzie błądzisz, moja wielbłądko?!
 Przyjdź! Zjedz ze mną wiązkę
 trawy.
 O! Uwiel-
 biona wiel-
 biona wiel-
 biona, wiel-
 błądko!
 Ne ma straw-
 niejszej po-
 trawy!*

BeJot: Czyli Wielbłąd przekazał w śpiewanym wierszu istotę swego życia i w tak kunsztownej formie, na jaką tylko stać utalentowanego pracownego Wielbłąda. A filozofowie od dawna twierdzą, że gdyby konie mały pisaną kulturę, i własną plastykę, własny pędzel, własny namysł nad egzystencją, to koński Bóg miałby postać konia. Ale w Internecie, jeśli tylko nie daje się nabierać na papu, znajdę na przykład Sułtanat Omanu, gdzie nie ma ucisku kobiet, biedy, bezrobocia i bezdomności. Jak widać, są różne sułtanaty, choć słowo to wywołuje w Europie przerażenie.

Tolo: Sułtanat taki istnieje? A filozofowie twierdzą, że to koń byłby u koni na obrazie Bogiem?

BeJot: Tak. To zdanie przewija się u wielu filozofów. Dane życie implikuje jego analizę, postrzeganie, i z siebie nie wyskoczysz, aby się obejrzeć obcym, tak zwanym obiektywnym okiem. Gdyby wróbel umiał malować, namalowałby Boga jako wróbla. Zatem Bóg nie jest tym, co możemy namalować w sensie dosłownym, choć głosimy, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Ale coś o filozofii. Filozofia nigdy nie jest dokończona, gotowa raz na zawsze. Trzeba ją kontynuować, ale przesuwając na właściwy tor. Filozofia to kontynuacja myślenia. To opowiadanie o własnym myśleniu. Człowiek, który chce wyznawać filozofię, musi przedtem stworzyć system etyczny i żyć według niego, i myśleć wewnątrz niego. Inaczej będzie obłudny, niewiarygodny. Oczywiście mowa o sytuacji, kiedy system etyczny się zużył albo nie chcemy uznawać cudzego systemu etycznego, bo jest na przykład zbyt surowy, albo zbyt łagodny, albo w ogóle nie da się go wyznawać, taki głupi. A kto dziś tworzy system etyczny? A kto jest wolnomyślicielski dzisiaj? Chyba że Sloterdijk, Agamben. I tak samo jest z poezją. Musimy kontynuować wielkich poetów, którym śmierć przerwała twórczość, i przesuwac ich słowo na właściwy tor, to jest zająć się swoją epoką, jej stanem, stanem wolności, jej nieprawościami, jej bezprawiem i jej wielkością, tym wszystkim, co na zapas wskazał dawny wielki poeta. Kontynuować, znaczy dorównać albo przewyższyć. Nie ma innego sposobu, żebyśmy nie pomarli bez poetów w głupim czy głupawym bycie i w nastroju nieustającej balangi jak w reklamach. Taka kontynuacja będzie nieskończonością, rodzajem nieskończoności w naszym życiu, w doczesnym. Narzekamy. Narzekanie może być filozoficzne, ale lepiej nie narzekajmy.

Tolo: Narzekanie samo z człowieka się wyrывa. Postulat systemu etycznego. Ba! Postulat systemu etycznego, i jeszcze żeby mieć go w sobie, i być mu wiernym, kiedy na każdym kroku osacza człowieka człowiek globalny ze swoimi globalnymi zabaweczkami, uprzyjemniającymi życie, a zabaweczki te ma przy uchu i oku, a one mu dyktują, co czuje, czym się ma zachwycać. A w tle natura, która utraciła formę, wypadła z ram, ze swego naturalnego dziania się, rytmu, czy jak to tam nazwiemy. Trwożą mnie naturalne katastrofy, bo reszta, cały ten informacyjny szum, jest robiona za pieniądze tego kogoś, o kim nic nie wiemy, ale czujemy łgarstwo i manipulację, i to niemal w każdej sprawie. Z trwogą śledzę kataklizmy na naszej planecie, jej bunt, i ciągle myślę, ile tej naszej ludzkości brakuje do dwunastej.

Bejot: Mamy system etyczny chrześcijański, ale traktowany jest albo jako tradycja, albo podwójnie moralnie, na pokaz, w samych słowach. Najtrafniej, najgłębiej ten system został ujęty w serialu *Ranczo*, gdzie księża są bardzo ludzcy, głęboko czują chrześcijaństwo. Tak jak nie cierpię seriali, tak ten oglądam, ty zresztą też zacząłeś oglądać i mówisz, że się da, bo jest ironiczny i dowcipny, no i podlaski, a Podlasie jest żywe, interesujące na wieki wieków. No więc oglądamy stare odcinki. Poza tym lubię Wojciecha Wysockiego, który gra w tym serialu lekarza, a który kiedyś czytał fragmenty z mego „Tfu! Z ludźmi” w Warszawie, a to w czasach, kiedy „Borussia” była prężnym wydawcą, miała świetną wydawczynię, Iwonę Ndiaye, która mi to promocyjne spotkanie zorganizowała. A wiesz, nagle wiem, odczułam to, że poeta, który zamyka epokę, nie służy inspiracji dla mnie, zetnie mi głowę, przydusi. A poeta, który pisał przed ponad stu laty czy wcześniej, ale otwiera moją epokę, taką inspiracją jest. Eliot przydusił mnie, a Rilke nadal inspiruje. Aż się chce go kontynuować, przesuwając na nasz tor, na tor naszych czasów. Tak czuję. No i trafił mi do rąk tomik Agnieszki Syskiej *poznamy się po stopach*, i widzę: ona kontynuuje poetów, między innymi Różewicza, Świrszczyńską, cytuje ich i rozwija po swojemu. Późno trafił mi się ten tomik, ale to nic. Jest niezwykle, poruszający, złożony z samych fragmentów, z pourywanych fraz. Agnieszka dokonała fragmentaryzacji tego, co ludzkie – wiary, życia tu-oto-teraz, tradycji, uczuć, dramatów, jak jaki Beckett. Sam wiesz, z ciekawości otworzyłeś. Coś niesłychanego, jak to wciąga i porusza. Z tekstów można wyczytać, że jej słowo się waha, że jeszcze lub już nie ma formy, aż samą formą staje się to wahanie się, i ten brak formy w tym wahanii się staje się formą poezji. Porusza to w dwudziestym pierwszym wieku taka świadoma swej fragmentaryzacji forma. Porwany człowiek. Przecież mamy go, porwane go. Coś pamięta, coś widzi, ale to fragmenty. Bo przydusza go, rwie na części współczesny system manipulacji. Syska stała się moją ukochaną poetką, z nagłą i niespodziewanie. Ale jeszcze ogólnie pogadam. Poeta, który jest aktualny, choć dawny, który dawno temu stworzył moją epokę i nawet przysłał, który dał życie kobiecie, jak Rilke, znowu do niego wracam, trzyma mój mózg w dłoni, jak miękki kwiat, jak pączkujący kryształ, ściska go nie tnąc, bo opiekuje się nim. Bo mówi moim dniem, i nawet jutrzejszym. Tak czuję. I wołam: witaj, taka dłoni.

Tolo: Witaj, taka dłoni. Pięknie to powiedziałaś. Czyli Eliot zastygł, stwardziała skorupa jego wierszy. Rilke zaś w dalszym ciągu pączkuje i rozkwita, rozkwita. Po twoich wierszach wiem, że rozkwita.

BeJot: Ech. Dziękuję. Nie chodzi mi o naśladownictwo, to wiesz. Eliota nadal lubię, ale nie inspiruję, choć nadal porusza. Samo sięganie po niego to kontynuacja. Eliot zresztą też zapożycza frazy i kontynuuje dawnych poetów, na przykład Szekspira, („Gdzie były oczy, perła łśni”), i nawet do prozy sięga po poruszające cytaty w swoich wierszach, na przykład do Conrada, choćby w nieśmiertelnych *Wydrążonych ludziach* („Pan Kurtz... on umrzeć”). A ostatnio, jak wiesz, przeczytałam stos rozpraw filozofów, których już kiedyś czytałam i których nie czytałam, i czytam filozofa o nazwisku Brentano, i w jego biografii natykam się na wiadomość, że był bratankiem Bettiny (von Arnim), bardzo utalentowanej poetki. I od razu drgnęło mi serce: dlaczego ta bardzo utalentowana poetka jest kompletnie nieznana? Dlaczego wsunięta w czarny kąt? Nie znalazłam jej wierszy w Internecie ani nigdzie. O, widzisz, takie pytanie o kobiecą egzystencję. Chcę poczytać Bettinę.

Tolo: Szkoda, że nie znamy tekstów Bettiny. To porozmawiajmy o Pici.

BeJot: A kto to?

Tolo: Toż tobie śniło się imię Picia...

BeJot: No tak. Zapomniałam.

Tolo: I wszyscy dociekali, jak brzmi pełne imię, a niektórzy byli poirytowani, no bo Picia?

BeJot: Tak było.

Tolo: Mnie tam nie było, to nie wiem, ale wiem, bo opowiadałaś, że Picia poróżniła dociekających.

BeJot: Nie tylko poróżniła. Jednak trochę dociekli, że to może Picikata albo Pikadoria. Ty byłeś tam, ty dociekałeś tak. Ty tak ustaliłeś.

Tolo: Skoro tak, to ja dokończę rzecz: krócej to Pi, a dla bliskich zdrobnienie wydłużone – Picia. Daj kartkę, to ci ją narysuję. To jest Pi. Pi. Jeszcze jedna kreska. Tu jeszcze warkoczyk sknotowany, takie pici-pici. Sknotujemy go. Może być taka?

BeJot: Może być. Taka była ta Picia. Sknotowany? Sknotujemy? To jak knot?

Tolo: Z niemieckiego. Znaczy: zawężlimy. Masz Picię. Tak wyglądała twoja Picia? Wiem, że tak. Zupełnie jak dziewczęca postać z rysunku Marceli. Nie? Przecież wiesz, że Marcela zanim poszła do szkoły, to już miała taką obfitą, w sensie zamaszystą kreskę Modiglianiego, taką dojrzałą już u przedszkolnego dziecka. Właśnie tę Picię Marceli kopiuję na rzeźbie, z cyklu *Rzeźb Leżących* i będzie się nazywała *W stronę dzieciństwa – Marcela*. I gdzieś z boku podpiszę ją: Picia. A twój sen otrzyma dopełnienie. Picia istnieje.

Krótki dialog połoźniczy Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka o cudzysłowach

Tolo: Patrz, wśród starych papierów do wyrzucenia znalazłem swój bardzo stary wiersz. Przeczytaj, zobacz, przecież to nie jest złe.

BeJot: Daj. Czytam głośno.

Mówią, że gwiazdy

*Mówią, że gwiazdy to rzeczy też przemijalne,
a my tu tacy mali,
o swój własny cień oparci szarzy,
jeszcze szybciej – zda się – przemijamy.
Według matryc wywołani, nauczeni równowagi,
wszystko z gliny mamy, która
śmieje się i krwawi. Tak dźwigamy.
Więc jak się nam tu żyje?
Jak pod niebem.
Spierał się księżyc ze słońcem.
O lepsze oko ciała się spierały.
A tematem sopel.
„Widzę sztylet z jego zimnym końcem”.
„A te wszystkie łzy, co się w nim zebrały?”*

Tolo: No i?

BeJot: Nadałby się nam na spektakl. W głośnym czytaniu wypada nieźle.

Tolo: Tylko nie wiem, skąd wzięłem te cytaty na końcu. Są cudzysłowy, więc chyba są to cytaty. Naprawdę nie wiem.

BeJot: Coś sobie przypominam. Kiedyś mi czytałeś ten wiersz i mówiłeś, że to nie cytaty, tylko słowa słońca i księżyca, czyli twoje.

Tolo: Tak?

BeJot: No tak. Tak pamiętam. Pełnej pewności nie mam, ale to twoje słońce mówi o łzach w soplu, a twój księżyc o zimnym końcu sztyletu. Tak

dopasowanych cytatów nie mogłeś z kogoś wyjąć na poczekaniu, a mówiłeś, że szybko napisałeś.

Tolo: To już całkiem niezłe. Coś innego. Nagle, jakby z gestu prestidigitatora wziął się w ręce tekst, który musiał lecieć powietrzem. Scenariusz, zdjęcia i reżyseria – sen, ten sam, który nocą, i tak dalej. Jakoś tak ścieżka zwężyła się do szerokości pierwszego palca stopy (licząc od środka) i ani rusz dalej, jak mówią: stój, łysy, bo przeszkoda: przed tobą wyrosła postawna mrówka – znana ci i nieznana osoba. Stała na dwóch nogach, i zabrała ważny głos, a można nawet rzec, że był to głos do ludzkości. Donośny to był głos, a każde słowo wymawiane z dobrą dykcją. I teraz w cudzysłowach będę podawać ci słowa mrówki:

Mrówka: „*Myślisz głucho- i ślepostopy człowieku, że nasze życie jest krótkie-malutkie, że ono już zupełnie to nic takiego, zupełne nic, a wiedz, że jeden twój ludzki dzień jest dla nas jak dla ciebie jeden rok*”.

I stoi przed tobą na dwóch nogach, i stalowy odbłask konstrukcji każe ci zwątpić w rozległą zakalcowatość twego ciała. I mrówka kontynuuje swoje pouczenie w stosunku do człowieka:

– „I wasza ludzka noc jest dla nas, mrówek, jak jeden rok. A wasz most...”.

Co z naszym mostem, pytasz tę mrówkę. A ona:

– „Raz jest, raz go nie ma”.

BeJot: Presti... Prestidi... Użyłeś dziś zapomnianego słowa, ja go nie mogę wymówić. A sen-bajka podoba mi się. Też dobre na scenę. Ale kiedy my będziemy znowu mieli jaką scenę!

Tolo: Presti... Prestidi... Iluzjonista. Sen to największy iluzjonista, bo śnią mi się rzeczy zjawiskowe, lepiej wykończone, doskonałe. Nie będąc autorem, jestem autorem widoków/obrazów, rzeźb czy konstrukcji logicznych. Mój iluzjonista, czyli niewymawialny przez ciebie prestidigitator, to gościu dobroduszny – nigdy nie byłem u niego złoczyńcą, a najcięższą bronią, jaką u niego obserwowałem, był drewniany młotek, zresztą używany w samoobronie z daleka na coś czy kogoś zakłócającego dzieło się obrazu wewnątrz mojej głowy, młotek sam latał po zakłóceniach, no i sam czasem takim młotkiem machałem wewnątrz tego iluzjonisty, ale nie wiem, na co, na kogo, chyba tak sobie, dla akcji machałem nim, niegroźnie, (to na jawie, rzeźbiąc w lesie, ostatnio odmachiwałem się komarom siekierką, na oślep). No i to poczucie humoru tego iluzjonisty – to typ na lepszy obraz i podobieństwo, orzeźwia z codziennego zac zadania jakbym wachał pięć listków geranium.

BeJot: To ja coś o prywatności. Stanisław Brzozowski, kontynuując Kanta, woła o fundamentalną zmianę w filozofii, o skierowanie jej na prywatność. Na prywatność, ale tak, żeby się ona uniwersalizowała. Osobowość opowiada coś prywatnego, ale nabiera to mocy uniwersalnej. Bez tego warunku taka opowieść zginie. Wszystko, co przeżyliśmy, woła Brzozowski, jest tak samo ważne, jak to, co zanotowały podręczniki historii. Wszystko, co przeżyliśmy, jest doniosłe historycznie. Życie bardzo przecież przeżywamy, wraz z dramataми czy radością. Moje życie jest doniosłe historycznie. Twoje życie jest doniosłe historycznie. Brzmi to jak baśń, ale Brzozowski o to woła, i to mi się podoba. Chodzi o formę, w jakiej to doniosłe prywatne życie opowiemy. O zuniwersalizowanie prywatności. Widzę coś takiego: z nieba spada motyl i jest to cios, on tnąc uszami trawę – to jednym, to drugim uchem, to znaczy kosi trawę uszami jak szablą czy kosą. Uszy ma żółte. Można ten obraz zuniwersalizować. Była to piękna żółta krew tego dnia, a żółtością był długi ślad w powietrzu i przez trawę. I sen o mrówce zdaje mi się jakoś doniosły historycznie. Przecież zwraca ludzkie oczy na taki skrawek rzeczywistości, jak ta mrówka. A Józef Czechowicz tak pięknie zuniwersalizował żółty łubin w wierszu *pontorson*: „pole w ciepłych okrzykach”. Kwitnący łubin to „ciepłe okrzyki”. Jak dobrze mieć co ujmować w cudzysłowy. A jeszcze Brzozowski: „Swoboda ukazała się nam jako pustka osierocenia, samotności” (w rozprawie *Przełom z filozofii*). A to nie tak, uważa Brzozowski i cytuje słowa o wolnym człowieku, zapisane przez Otto Weininger: „Toteż teraz dopiero jest on [człowiek] kimś, i jest on wszystkim, i dlatego ma on prawo w sobie, dlatego jest on prawem, a nie kapryśną dowolnością”. Pomyślę przez chwilę innym Brzozowskim, tym, co napisał w rozprawie *Prolegomena filozofii pracy*. Przejście z I do II – to jest twórczość i nie może być niczym innym, bo się nam nie dokona II. Czechowicz znakomicie, twórczo z I (kwitnący żółto łubin) przeszedł do II („ciepły krzyk”). Przejście z I do II jest prywatne, ale dokonanie II jest już prywatnością zuniwersalizowaną. Talent to rzecz najściślej prywatna. Obojętne, jaka to dziedzina. Dokonane II cieszy i zdumiewa. I nie jest ta zmiana automatycznie czy nieświadomie wyprowadzana z I w prawdziwe II, lecz stwarzana i stworzona. I i II to formy naszego życia, a przejście z I do II nie dokonuje się na zasadzie przyczynowości, lecz wynalazczości, twórczości – tak to widzi Brzozowski. Nagięłam to widzenie do formy w poezji. Można tego dokonać, żeby najkrócej ująć istotę twórczości. W życiu tworzenie formy III jest możliwe, w poezji – nie. W poezji forma II jest jednorazowa.

Tolo: Jestem zbudowany myślą Brzozowskiego o historycznej doniosłości życia prywatnego, i wyjmę tę myśl z cudzysłowu, i będę o niej do wieczora myślał: oto ja, równy historii, tej od ważnych dat i ciężkich pomników, nawet jeśli historia potem nie wymieni mego życia. Według Brzozowskiego dźwigam nie mniej niż dźwiga król, który z racji samego urodzenia, i tak dalej. A jeśli uznać, że król głównie oddaje się swemu ulubionemu zajęciu, to jest siedzeniu na złotym taboreciku i moczeniu stóp, to dźwigam może nawet więcej. Dźwigam moje nadzieje, radości, rozpacze, i mam tylko jedno, niewypróbowane, niepewne życie na jeden raz, a to życie z wiekiem staje się coraz cenniejsze – przybywa szkodliwych przeciągów, wspomnień i bliskich zmarłych w snach. Otwieram ostatni cudzysłów, żeby w nim umieścić urywek z moich *Nici*, a w tym fragmencie są dialogi, i stworzy nam się dialog w dialogu. Słyszysz? Dialog w dialogu:

„Z tej zawiesiny wyłowiła go Tosia Sza.

– Zamiast zastanawiać się nad liczbą atomową nici, lepiej spójrz w niebo.

Tosia, zgrabna szpulka (nerwy, żyły ścięgna). A po wierzchu Korea na Tajwanie. Bluzka «za złotówkę» (second hand), przydymiona ochra z dekoltem na ukoś, z zakładką, obramowana malutkimi paciorkami, lekko leżąca się długa spódnica «za jedyne pięć złotych», brąz z dyskretnie markowanymi falbankami. I naszyjnik (wyrób własny) «piasek pustyni». Szykuje się do telewizji, czy co?

– Skąd wiedziałaś o niciach?

– Bo miałaś taką minę, jakbyś rozmyślał o czymś cienkim.

– Aha, i to widać – powiedział z przekąsem.

– Nos ci się wyostrzył. Ciąłeś coś?

– Dokonywałem seppuku, żeby uwolnić bzdurnie uwięziony w nas czas.

– Bardzo zabawne.

A na niebie! A na niebie rozdmuchana zawiesina pierza – *stość, nice-stość*. Porozmiatane welony, porozdzierane bluzki, tańczące suknie ślubne, jedna nawet kielichem do góry – prawdziwe ukwiały.

– Piękne.

– Aha.

– A tam. Patrz!

– Przecież widzę.

– Po śmierci tego nie zobaczysz.

– Czemu zaraz «po śmierci»?

– Może nie zaraz, ale zawsze.



– Zawsze?

– Przed południem byłam o pół dnia młodsza.

Kiedys tak się rozwiniesz: z białej szpulki w białe chmurki, aż szpulkę, ubraną w «wólczankę», włożą do piórnika – pomyślał Tolo w dziwnie wzbierającej tonacji, jakby miał przed sobą swój pierwszy dzień w szkole, który już nigdy się nie powtórzy. A potem ślub był jedyny, w białym garniturze. A teraz w kuchni je, a w pokoju... nic robi pyk w nic, w... ukwiały. Nawet nie zdążysz, człowieku, strawić.

I wtedy zawył. Nawet jeśli to było trochę zagrane

Zawyli, bo niebo było piękne, a oni jeszcze przed południem byli o pół dnia młodszy”.

BeJot: Nie przypominam tego naszego wspólnego wycia... Ale skoro mówisz, że to prezentacja nastroju... Ale wycie w nastroju może być nie-me. Tyle złego wokół. Jeśli tylko to zło odpuszcza chociaż trochę, a przede wszystkim, jeśli tylko wiadomości przestają być fejkowe chociaż w jednej trzeciej, jeśli tylko dziennikarze zaczynają informować i rezygnują z wywoływania paniki, to zaczynam mieć moje cudne sny. Nikt dotąd nie zauważył, że sny mają charakter intelektualny, charakter sensownego żartu, dowcipu intelektualnego, a propaganda, wywołująca panikę, rujnuje to i śni się wojna, śnią się sami zmarli, sami bandyci. Mózg traci otoczkę ochronną, dobroczynną nocną i człowiek nie odpoczywa, tylko wstaje udreńczony. Słuchaj, opowiem ci sen pt. *Spryskiwanie ludu*. Gościu, zwany snem, dowcipny, jak mówisz i jak ja mówię, podał mi taki tytuł w cudzysłowie, pisząc po powietrzu, a potem cały tekst i akcję opisywał po powietrzu, potem już całą rzecz prócz tytułu ujmując w cudzysłów. I słuchaj teraz tego, zachowuję cudzysłowy, prócz tytułowych, no więc dodaję nowe cudzysłowy, to już na sam koniec:

Spryskiwanie ludu:

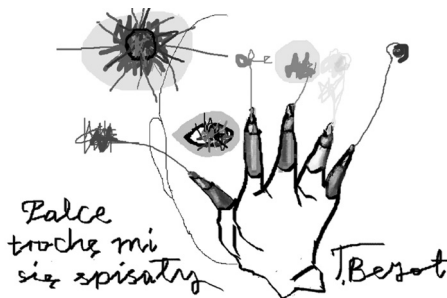
„Filozof zaczął wygłaszać mowę, a stał na rozległym wzgórzu na kamieniu, ponad ludem, zadławionym polityką, a zaczął od własnych poetyckich strof:

*System więc, system, mocno dymi,
dymi ciężarem ponad ludu siły,
i nie co innego zadymia, a czaszki,
gdzie kamienieje w zbite ptaszki,
a każdy ptaszek ćwierka łomotami,
wychodząc uszami,
i ponownie do nich wchodzi
płynną taczka
z toną sraczkami...*

Filozof ciągnął swój poemat w powyższym stylu, a jego zadaniem – zadaniem samego poematu – było stawanie się słowa ciałem i ciałem owym spryskiwanie ludu, ale lud – w miarę rozwijania się poematu – uciekł, wołając: a idź ty z takim poematem! Został samotny filozof na kamieniu, a kamień też zaczął uciekać – toczyć się w dół po zboczach rozległego wzgórza”... Koniec.

Tolo: (*Śmieje się*).

BeJot: (*Śmieje się*). Jeszcze była scenka chwilę przedtem, przed mową filozofa: lud, zadławiony polityką, wyciągał ją palcami z gardła, kawałek za kawałkiem. Była podobna do bardzo żylastego ślimaka bez budki. I miała charakter nieskończony, ale można ją było częściowo powyciągać z gardła i odsapnąć. Nie wiem, co się stało z tym filozofem.



Tekst i rysunki: Tamara Bołdak-Janowska

Andrzej Chąciński

Historyk sztuki

Różnie układają się ludzkie sprawy. Jedni przez całe życie nie opuszczają swoich miejscowości, inni co parę miesięcy zmieniają miejsce pobytu. O tym, w którym kraju postanawiają zamieszkać, decyduje często przypadek. Tak też potoczyło się życie jednego z moich znajomych, który po latach spędzonych w Polsce, nagle stanął przed możliwością wyjazdu i z niej skorzystał.

Jak żył i czym się zajmował we Francji i Hiszpanii, opowiedział mi człowiek, który od lat się z nim przyjaźnił. Zgodnie z jego relacją, w czasie pobytu we Francji zaglądał do redakcji „Kultury” i rozmawiał z Józefem Czapskim o malarstwie. Nie byłem jednak pewny, czy kiedy opowiadał mi o tych kontaktach, nie dawał się ponieść fantazji. Skąd by jednak wiedział, jakie w Maisons-Laffitte panowały stosunki? Mimo wszystko był jedynym moim znajomym, który mógł mi coś powiedzieć o tym środowisku.

Korzystał z ogólnie dostępnych stypendiów i fundacji. Zatrudniał się też w polskich firmach. W jednej produkowano sztuczne kwiaty, w innej wytwarzano sprzedawane na straganach lalki i zabawki.

Decyzję o wyjeździe do Włoch podjął chyba w nadziei, że łatwiej będzie mu tam się utrzymać.

Możliwe, że w tej sprawie otrzymał list od jednego z polskich duchowych. Niektórzy polscy księża pracujący w biurach Watykanu znali członków jego rodziny. W owych latach ojciec Emila już nie żył, lecz matka wciąż utrzymywała kontakty z licznymi znajomymi. Mogła za ich pośrednictwem zorganizować pomoc dla syna.

W informacjach na temat jego włoskich doświadczeń padało nazwisko szeroko znanego w polskim środowisku księdza. Był to prałat X. Natomiast w czasie rozmów, które Emil prowadził ze mną w Australii, padały słowa o jego pracy w Castel Gandolfo – położonej w górach letniej rezydencji papieża. Podobno brał udział w odbywającej się tam inwentaryzacji. Wspominał też o pracy przy konserwacji fresków.

Dalsze losy Emila ułożyły się podobnie do tych, które były udziałem wielu polskich emigrantów. Kobieta, którą w tym czasie poznał, przyjechała

do Rzymu ze Szczecina. Jej pierwszym zajęciem była praca w charakterze służącej, a później „pani do towarzystwa”. Zajmowała się domem starszej osoby, o której ludzie mówili, że utrzymuje się ze sprzedaży obrazów wywiezionych z Polski. Gdzie Emil w tym okresie mieszkał, znajomi niewiele wiedzieli. Możliwe, że w jakimś domu noclegowym albo „pensjonacie” dla polskich przyjezdnych. Na wynajęcie dachu nad głową zdecydował się z kobietą, z którą się w tym czasie związał. Jak się odbyły ich przenosiny do nowego domu, trudno ustalić, ale jedno jest pewne – pracą, jaką dotąd wykonywała, przestała się interesować. To, co później słyszałem na temat pracy zarobkowej Doroty, odnosiło się do sprzątanía i siedzenia przy dzieciach. A Emil w tym okresie zajmował się oprowadzaniem wycieczek z Polski.

Znajomi Emila i Doroty stwierdzali, że tworzą zgodną i dobraną parę. Do zdobywania środków utrzymania brakowało Emilowi zdolności, ale tytuł magistra uprawniał go do podejmowania prób uzyskania wysokiego stanowiska. Z kolei kobiecie dużo łatwiej było znaleźć zwykłe zajęcie. W grę wchodziło pranie i sprzątanía, a także zajmowanie się gospodarstwem.

Dzięki kontaktom z przyjezdnymi z Polski, w sprawie urzędzenia sobie życia byli dobrej myśli. Spotykali się też z kolegą Emila, który dzięki temu, że został mężem utytułowanej Włoszki, zajmował wysoką pozycję w polskim środowisku.

Takie czy inne kontakty artystyczne sprawiły, że o pobycie w Rzymie po wielu latach mówili jako o najbardziej interesującym okresie w ich życiu. Mimo to można przypuszczać, że często brakowało im pieniędzy. W czasie jednej z takich trudnych sytuacji Dorota podjęła ważną decyzję. Znalazła w książce telefonicznej adres ambasady australijskiej i złożyła podanie o przyznanie wizy. Po trzech miesiącach otrzymała zawiadomienie o rozpatrzeniu sprawy. Parę tygodni później nadszedł list z informacją o przyznaniu wizy. W rezultacie w ciągu kilku miesięcy zmieniła miejsce zamieszkania.

W jakiej sytuacji znalazł się Emil po wyjeździe Doroty, niełatwo określić. O tym, jak bardzo był do niej przywiązany, świadczy liczba wysłanych do niej listów. Pokazywała je później jednemu z moich australijskich znajomych. Pracę udało się jej znaleźć w jednej z włoskich restauracji, które w latach sześćdziesiątych stały się w Australii bardzo modne. W środowisku włoskim dobrze się czuła.

Emil przyjechał do Australii parę miesięcy później. Zarówno on, jak i Dorota, zatrzymali się u mego kuzyna, który w Melbourne znalazł się cztery lata wcześniej. Był to człowiek zaradny. Od Polaka, któremu stan

zdrowia nie pozwolił na użeranie się z lokatorami, wynajął dom na przedmieściu. Z czasem ta wielka drewniana rudera zaczęła służyć wielu przyjezdnym.

Drewniany budynek, który po pewnym czasie został rozebrany, zasługuje na wzmiankę w historii Polaków, którzy w tamtych latach znaleźli się w Australii.

Nie wiem, ile czasu Dorota i Emil tam spędzili. Poznałem ich później, kiedy po załatwieniu zezwolenia z Polski i wizy w Londynie znalazłem się w Australii. Kuzyn, który mnie po przyjeździe przygarnął, zaproponował żebym z nim poszedł na wystawę obrazów do polskiej galerii. Niewielka sala była pełna gości. Dorota i kuzyn Emila roznosili drinki. Podczas tego wieczoru po raz pierwszy miałem do czynienia z osobami, które w Melbourne tworzyły śmietankę towarzyską.

Przyjęcie było inauguracją działalności założonej przez Dorotę i Emila galerii. Za pierwsze zarobione pieniądze wynajęli lokal, pożyczkę na resztę załatwił im życzliwy menadżer banku. Obrazy wstawili australijscy i polscy artyści. Uruchomienie galerii wywołało w sferach emigracji zdziwienie. Emil i Dorota zaś, jako nowi właściciele, byli przekonani, że ich obrazy niedługo znajdą nabywców. W oczekiwaniu na kupujących, Dorota spędzała w galerii całe dni. Jednak mijały miesiące i, jak wykazały rachunki, właściciele galerii nie mogli się z niej utrzymać. Mimo że ich działalność cieszyła się uznaniem polskiego środowiska, stanęli przed koniecznością zamknięcia placówki. Spłacanie długów ciągnęło się latami. niesprzedane obrazy przenieśli do domu, który udało im się wynająć zaraz po przyjeździe do Melbourne.

Moje urządzenie się w Australii odbyło się bez trudności. Pracę udało mi się znaleźć miesiąc po przyjeździe. Wynajęcie mieszkania i kupno samochodu zajęło mi parę tygodni. Wkrótce też zacząłem do Emila i Doroty przyjeżdżać na weekendy. W grudniu zaczęliśmy chodzić na plażę. Spędzanie z nimi czasu sprawiało mi przyjemność, ale spostrzegłem, że Dorota nie była zadowolona ze swej sytuacji. W czasie rozmów z Emilem raz po raz reagowała wybuchami złości. Następowaly one niezależnie od tematu rozmowy.

Któregoś dnia usłyszałem, jak w sytuacji, kiedy mój kolega coś spokojnie tłumaczył, wybuchła i poszła szybko przed nami, mówiąc:

– Mam ciebie dosyć! Rzucę cię! Działasz mi na nerwy!

Chwilę szli w milczeniu, po czym Emil rzucił się w jej stronę i zaczął przeproszać.

– Ja ciebie przepraszam, Dorotka! Moja kochana. Nie gniewaj się!

Słuchając tego, byłem pewny, że nie powiedział niczego, za co powinien być prosić ją o przebaczenie.

Poza tym byłem przekonany, że to nie moje zachowanie przyczyniło się do jej wybuchu złości.

Innym razem zdarzyło się coś podobnego. Siedzieliśmy na werandzie, popijając wino. Podczas rozmowy zaczęliśmy opowiadać o kontaktach z malarzami, pisarzami i filmowcami. Z paroma z nich utrzymywaliśmy bliskie stosunki. Przypominaliśmy sobie szczegóły ich zachowania, a także wyglądu. Podczas rozmowy czuliśmy, że na chwilę udało się nam przenieść do innej rzeczywistości.

Dorota chwilę przysłuchiwała się naszej rozmowie, po czym z palącymi policzkami i błyskiem w oczach wybuchła:

– Dosyć! Dosyć tych mrzonek! Przestańcie bujać w obłokach. Dla was rodzaj życia, o którym opowiadacie, należy do przeszłości!

Jej brutalna odzywka zrobiła na mnie takie wrażenie, że zerwałem się, chwyciłem ją za rękę i krzyknąłem:

– Milcz! Bo nie wiem, co z tobą zrobię!

Po czym odjechałem i w swoim mieszkaniu spędziłem resztę weekendu.

Przerwa w naszej znajomości trwała parę tygodni. Do ponownego spotkania z nimi doszło w domu kuzyna, który urządził przyjęcie z okazji swoich urodzin. Po podaniu bigosu i wypiciu drinków, gospodarz nastawił adapter. Zatańczyłem z Dorotą. Okazało się, że moja reakcja niewiele ją obeszła. Tańcząc ze mną, śmiała się i mówiła, że został jej siniak po tym, jak złapałem ją za rękę. Naprawdę urażony moim zachowaniem był tylko Emil. Spoglądał na mnie spode łba i dopiero po jakimś czasie doszło do poprawy naszych stosunków.

Parę miesięcy później wyjechałem do Polski. Kiedy po pięciu latach znowu udało mi się dostać paszport, osiedle, na którym mieszkali, znajdowało się w innym miejscu. Podobnie jak dawniej, pokoje w ich domu były wypełnione obrazami i dziełami sztuki. Jeżeli do tego dodać obecność kilimu na ścianie i stylowych mebli, człowiek mógł odnieść wrażenie, że znalazł się w mieszkaniu przy krakowskim Rynku. Za pomocą obrazów, dywanu i stylowych mebli Emil stworzył sobie klimat, który pozwalał zapomnieć, że wyjechał z Polski.

Zrezygnował z otwarcia nowej galerii. Dom, wypełniony antykami i książkami, odtwarzał nastrój miejsca, z którego kilka lat wcześniej wyjechał do Australii.

Ważnym nabytkiem, który ułatwiał im życie w nowoczesnym społeczeństwie, był samochód. Prowadziła go Dorota. Samochód był im potrzebny, ponieważ zamieszkali na przedmieściu leżącym daleko od centrum Melbourne. Na wynajmowanie domu, w którym mieszkali dwa lata wcześniej, nie mogli sobie dłużej pozwolić, bowiem w związku ze zwyżką cen domów czynsze wzrosły.

Z pracy w amerykańskim przedsiębiorstwie Emil zwolnił się po moim wyjeździe. Następną firmą, w której znalazł zajęcie, była agencją prowadząca dystrybucję czasopism. Kiedy dowiedział się o moim przyjeździe, rzucił propozycję, żebym i ja złożył podanie o przyjęcie. Tak też się stało i kilka dni później zacząłem tam pracować. Spotykaliśmy się w czasie lunchu. Do pracy jeździł z Dorotą, a do domu odwoził go emigrant z Danii, którego od czasu do czasu zapraszali na kolację. Był to chudy osobnik, który odzywał się tylko wtedy, go ktoś o coś zapytał. Przełożonych traktował z dystansem, a z wydawanych mu poleceń wywiązywał się w powolnym tempie.

Orientując się w stosunkach, jakie u nas panowały, starałem się unikać przebywania w jego towarzystwie. Widok jego powolnych ruchów wyzwał u szefów niechętnie reakcje. Poza tym w firmie byli potrzebni ludzie, którzy chcieli pracować dłużej niż osiem godzin dziennie. Duńczykowi nie zależało na dodatkowych zarobkach. W chwili, gdy dzwonek oznajmiał koniec zajęć, pierwszy ruszał w stronę parkingu. W związku z tym Emil był zmuszony powracać do domu w normalnych godzinach.

W środowiskach emigrantów panowało przekonanie, że aby jakoś się urządzić, pracować powinny dwie osoby w rodzinie. Jednak w naszej firmie Emilowi nie udało się załatwić pracy dla Doroty. Kiedy zapytał szefa swego działu, czy mógłby znaleźć dla niej jakieś zajęcie, usłyszał, że dyrekcja na zatrudnianie członków rodziny nie wyraża zgody.

Odpowiedź szefa miała związek z tym, że on, podobnie jak Emil, był przyjezdnym z Polski. Oskarżenie o sprzyjanie pracownikom z tego samego środowiska mogło osłabić jego pozycję. Swoje miejsce Emil zawdzięczał protekcji znajomego, który parę lat wcześniej miał układy w dyrekcji.

Starając się okazać mi swoją życzliwość, szef mojego działu proponował Emilowi pracę po godzinach. Odwoziłem wtedy Emila do domu. Kiedy przejeżdżaliśmy koło mojego mieszkania, czasem proponowałem, żeby do mnie wstąpił. Moglibyśmy wtedy rozmawiać o stosunkach panujących w naszej firmie. Emil z reguły odmawiał. Spieszył się do Doroty. Tylko spędzając czas w jej towarzystwie, czuł się bezpieczny. Każda godzina, którą spędzał samotnie, wydawała mu się stratą czasu.

W pracy dni miały bez ważnych wydarzeń. Emigranci wypełniali gorliwie swoje obowiązki. Emil do tego wyścigu pracy nie miał ochoty się włączać. Bez entuzjazmu zajmował się sortowaniem czasopism. W myślach wracał do lat, które spędził w Polsce. Być może do spotkań ze znajomymi w kawiarni albo do muzeum, gdzie dawniej urządzał wystawy obrazów.

Czuając, że w tej pracy za długo się nie utrzyma, zaczął starać się o pracę w paru muzeach. Jednak bez powodzenia. Miejsca w dużych miastach przeważnie były zajęte. Natomiast w małych ośrodkach było tak mało nowych stanowisk, że samorządy udzielały poparcia tylko swoim mieszkańcom. W związku z tym ich odpowiedzi na listy w sprawie pracy z reguły były odmowne.

Kiedy w Polsce doszło do „poluźnienia śruby”, Australię zaczęły odwiedzać osoby, którym władze wcześniej nie wydawały paszportów. Z kilkoma z nich Emila łączyły więzy przyjaźni. Jedną z osób, która zaczęła go odwiedzać, była pani pracująca jako historyk sztuki na Wawelu. Innym jego znajomym był aktor, który z powodu występu w Londynie przez kilka lat nie dostawał paszportu.

Spotkania z nimi poprawiły Emilowi nastrój. Po paru rozmowach przybyło mu energii i pewności siebie. Był zdolny godzinami rozmawiać o sytuacji, w jakiej znajduje się historia sztuki w Polsce. Czy myślał w tym czasie o powrocie? Trudno powiedzieć. Możliwe, że tak. O tym, że w tej dziedzinie coś ważnego się działo, może świadczyć to, że rozmowy z przyjezdnymi niepokoiły Dorotę.

Niewykluczone, że pod wpływem nastroju, który w tym czasie panował w jego domu, mógł podjąć taką decyzję.

Z czasem liczba przyjezdnych z Polski spadła. Znajomi, którzy przyjechali w celu poznania warunków życia w Australii, wrócili do kraju. Przyczyny ich decyzji były oczywiste. Ich wyobrażenia na temat pracy na poszukiwanych przez nich stanowiskach okazały się inne, niż przewidywali. Z rekonesansów, które zdecydowali się przeprowadzić wynikało, że na pracę w dziedzinie historii sztuki nie mogą liczyć. Najwyżej na zarabianie pieniędzy przy sprzątanu albo w jakimś przemyśle.

Kontakty, które Emila podnosiły na duchu, w ich przypadku odgrywały rolę wypraw zwiadowczych. Słowem, ludzie, którzy w moim przyjacielu wzbudzali nadzieję na powrót do Polski, sami urządzenie się za granicą traktowali jako ważną dla siebie szansę.

W międzyczasie doszło do wydarzenia, które spowodowało, że Emil przestał pracować w naszej firmie.

Kiedy jechał z Dorotą do pracy, doszło do wypadku. Nie wiem, jak to się stało, ale z relacji znajomych wynika, że doszło do zderzenia z innym pojazdem.

Z uszkodzonego samochodu wysiedli potłuczeni. Na szczęście, po spędzeniu paru godzin w szpitalu, wrócili do domu. Kilka dni później Emilowi zaczęły dokuczać bóle w karku. W związku z tym poszedł do lekarza i został skierowany na komisję lekarską. Niedługo później dostał propozycję przejścia na rentę. Z oferty skorzystał. Będąc na rencie, mógł przez całe dni nie wychodzić z domu.

Gdyby w takich warunkach znalazł się w Krakowie, zmiana dla niego byłaby korzystna. Jednak nie w Australii, gdzie dojazd do biblioteki trwał często godzinę. Współpracą w polskich organizacjach Emil nie był zainteresowany. Postanowił napisać książkę, która wzbogaciłaby wiedzę czytelników o polskich drzewach genealogicznych. Z zapałem zabrał się do gromadzenia potrzebnych publikacji. Z czasem nawiązał korespondencję z paroma parafiami w Polsce, które przysyłały mu wypisy ze swoich ksiąg. Mimo że do pełnego wykonywania tego zamierzenia brakowało mu warunków, praca nad książką nabierała rozpędu. Adresy ludzi, którzy mogli udzielić mu informacji, zdobywał poprzez książki telefoniczne z Polski, których komplet znajdował się w śródmiejskim urzędzie pocztowym. Jak później się dowiedziałem, spędzał tam długie godziny.

W owym czasie w Polsce zaczęły zachodzić zmiany. Na moją sytuację początkowo nie miały wpływu, ponieważ byłem zajęty. Jednak dwa lata później zdecydowałem się polecieć do kraju. Kiedy Emil się o tym dowiedział, zasypał mnie zleceniami. Między innymi prosił, abym poszedł do Archiwum Akt Nowych w Warszawie i sporządził notatki z uzyskanych tam dokumentów. Poprosił mnie również, abym odwiedził kilka warszawskich księgarni i spisał ważne dla niego książki.

W pierwszym okresie wzbudzał swoim działaniem zainteresowanie, lecz po upływie czasu znacznie ono zmalało. Odzywali się tylko ci, którym zależało na uzyskaniu świadectw szlachectwa. Emil do znalezienia im szlacheckich przodków przykładał się jak mógł, ale jeżeli badania tego nie wykazywały, rozkładał ręce i stwierdzał, że nie może wywiązać się z zadania. Niewykluczone, że gdyby kilku mieszkańcom Melbourne wynalazł dobre pochodzenia, mogłoby znacznie poprawić swoją sytuację materialną.

Ja zaś w tym okresie zacząłem jeździć do Polski. W tym czasie Emil spędzał czas przy komputerze i wpisywał do niego nowe informacje. Wyjazdu nie brał pod uwagę. Nie miałby gdzie zamieszkać. Miało to związek

z faktem, że członkowie jego rodziny parę lat po nim przyjechali do Australii. Mieszkanie, które zajmowali w Krakowie, zwrócili władzom miasta. Jednak Emil nie myślał o wyjeździe głównie dlatego, że Dorota była temu przeciwna.

– Co tam będziemy robić? – pytała. – Twoi koledzy są dyrektorami muzeów, kustoszami i profesorami. A ty, co? Będiesz zaczynać od zera? Zresztą na to, żeby wynająć mieszkanie, nie mamy pieniędzy.

Zorientowałem się później, że dalsze rozmowy na ten temat uznała za zbyt techniczne. Możliwe, że zdawała sobie sprawę, iż wśród znajomych Emila niezbyt dobrze by się czuła. Mieszkając w Polsce, obracała się w zupełnie innym środowisku. Poza tym nie miała ochoty tracić aktualnej pozycji.

Opowiadania o pobytach w Polsce wprawiały ją w zły nastrój. Kiedy słyszała, co o nich mówiłem, kręciła się niespokojnie i zmieniała temat. Gdy któregoś dnia rozmowa zesłała na te sprawy, poważnym tonem rzekła:

– Nam tutaj jest dobrze! Australia jest pięknym krajem! W Polsce jest zimny klimat. Zresztą tam panuje bieda i zanim się poprawi, co najmniej dziesięć lat minie. Tutaj jest demokracja! Ludzie żyją wygodnie i bezpiecznie! – Spojrzała w stronę Emila. – Mam rację? – spytała.

On odpowiedział, że tak, ale słabo. Kiedyś odważył się powiedzieć, że od dobrego klimatu ważniejsze są kontakty z ludźmi. Dorota zdenerwowała się i zaczęła krzyczeć:

– Tutaj też są ludzie! My mamy pełno znajomych! A jak na kontakty z Polakami nie mamy ochoty, to zapraszamy Greków albo Włochów.

W końcu przestałem się z nimi widywać. Opowiadanie o wyjazdach do Polski mogłoby narazić mnie na przykrości. Z zachowania Emila wynikało, że się obawiał, iż między mną a Dorotą mogłoby dojść do awantury. Podczas rozmów dawał mi do zrozumienia, że bierze to pod uwagę.

W miarę upływu czasu coraz mniej docierało do mnie wiadomości na temat Emila. Od znajomych dowiedziałem się, że z domu, który wynajmowali, musieli się wyprowadzić. Nowego adresu nie udało mi się uzyskać, a zresztą gdybym go od kogoś dostał, to do złożenia im wizyty zabrakłoby mi śmiałości. Od lat żyliśmy innymi sprawami i trudno byłoby nam znaleźć wspólny język. Mogłem też sobie wyobrazić, co opowiadali na mój temat. Na przykład, że jako samotnik, któremu za granicą nie udało się zapuścić korzeni, staram się znaleźć pocieszenie w częstych wyjazdach. Jeśli nie takimi, to innymi argumentami mogli tłumaczyć moją postawę.

Wszystko to zresztą niewiele mnie interesowało. Jedyną informacją, która po paru latach do mnie dotarła, była wiadomość, że Emil zmarł.

W pogrzebie, który odbył się na dalekim przedmieściu, wzięło udział parędziesiąt osób. Sami znajomi z dawnych lat. Ceremonię poprowadził i przemówienie wygłosił miejscowy ksiądz. Po złożeniu kondolencji rodzinie, wszyscy w pośpiechu opuścili cmentarz. Pośpiech wynikał z faktu, że miejsce, w którym Emil został pochowany, znajdowało się daleko od miasta. A każdemu z nas zależało, żeby w jak najkrótszym czasie znaleźć się z powrotem w domu.

Andrzej Chęciński

Krzysztof Choiński

Spotkanie po latach

(fragment powieści „Polski los”)

Julian Hawelski stał wśród przechodniów na skraju chodnika. Gratulował sobie porannej decyzji o włożeniu letniego garnituru, bo upał przypominał sierpień. Jak to jest w piosence? „Jasnych spodni już pewnie nie włożę...”. A juści! Zapowiadało się na przedłużenie lata co najmniej o kilka dni. Zdjął kapelusz i otarł łysinę chustką, patrząc tęsknie w stronę kamienicy na rogu Książęcej, gdzie czekał na niego umówiony od wczoraj właściciel rzadkiego okazu saskiej porcelany. Pasterka z parasolką, no, no! Ciekawe, ile facet sobie zaśpiewa... Nagle zahaczył wzrokiem o kogoś, kto także patrzył na niego. A może to złudzenie? Niski, tęgi mężczyzna w lnianej marynarce odwrócił się natychmiast i zaczął poprawiać okulary, które zsunęły mu się z nosa. W tej samej chwili policjant zagwizdał i ruchem pałki dał przechodniom sygnał, że mogą przejść na drugą stronę. Ruszyli. Rozdzieliło ich na chwilę kilka osób, starsza pani z parasolką, dwaj studenci w białych rogatywkach i trójka rozswiergotanych pensjonarek w mundurkach gimnazjalnych i beretach. Hawelskiego zaczęła dręczyć myśl, że już kiedyś widział tego człowieka, ale gdzie?

Po drugiej stronie ulicy okazało się, że idą w tym samym kierunku. Hawelski przyspieszył, dogonił tamtego przy narożnej kamienicy i uchyliwszy kapelusza powiedział:

– Przepraszam bardzo, czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

Mężczyzna w okularach stanął i odrzekł z uśmiechem:

– I ja mam takie wrażenie. Może to było na Powszechnej Wystawie Krajowej?

Hawelski pokręcił głową.

– Chyba nie. Widzę pana w szarym ubraniu z plecakiem... Ach, już wiem! Kijów! Wiosna osiemnastego! Potem jakoś tak znikł pan z wozu taborowego. Martwiłem się o pana. Pan pozwoli, że się przedstawię, Julian Hawelski.

– Bronisław Korowski. – W głosie tęgiego pana zabrzmiało na sekundę wahanie. – Przepraszam, że ulotniłem się bez podziękowania, ale miałem pewne kłopoty. Nie chciałem pana nimi obarczać. Jak się panu powodzi?

W służbie pan nie został, jak widzę? Chociaż wtedy miał pan szlify podporucznika...

Hawelski machnął ręką.

– Na opisanie moich perypetii wołowej skóry by nie wystarczyło. Spiesz się pan? Ja mam trochę czasu. Wstąpilibyśmy gdzieś, żeby napić się czegoś zimnego.

Korowski milczał przez chwilę.

– Zgoda – powiedział w końcu. – Ale gdzie?

– Jest tu niedaleko przyjemna kawiarenka, tylko musielibyśmy przejść z powrotem na drugą stronę.

Odczekali znowu swoje na krawężniku i poszli wzdłuż północnej strony placu Trzech Krzyży, mijając fasadę pałacyku, wtłoczonego między dwie kamienice. Kawiarnia zagroziła im drogę stolikami wystawionymi na chodnik, ocienionymi przez markizy. Hawelski rzucił kapelusz na wolne krzesło i usiadł z rozmachem, wskazując towarzyszowi trzecie:

– Niechże pan siada. Od gorąca aż nogi miękną. Kelner! Dwa mazagrany!

I zwrócił się ponownie do Bronisława:

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan moją obcesowość, ale naprawdę dręczyło mnie przez te wszystkie lata pytanie, co pana spotkało później. A i trochę ciekawość, bo w oczywisty sposób nie pasował pan do otoczenia. Nie był pan wojskowym, nie wyglądał pan też na uchodźcę, raczej na kogoś, kto był tam przejazdem.

Korowski z melancholijnym uśmiechem bębnił palcami po marmurowym blacie.

– Zeskoczyłem z wozu w czasie postoju na takiej małej stacyjce, nie pamiętam już, jak się nazywała. Wepchnąłem się do pociągu stojącego na pierwszym torze i udało mi się, bo zaraz ruszyliśmy. Po kilkunastu kilometrach zatrzymała nas przerwa w szynach. Kto je rozkręcił, nie mam pojęcia, w każdym razie nie czekali na nas brodaci faceci w papachach. Z grupką takich samych nieszczęśników poszedłem piechotą... Ech zanudzam pana. Krótko mówiąc, dotarłem do pewnego majątku, którego jeszcze nikt nie obrabował, a dalej jakoś to było. A pan? Po drodze usłyszałem o rozwiązaniu Korpusu.

– A no tak – Hawelski włożył do ust słomkę i pociągnął spory łyk. – Znaleźliśmy się na łasce Austriaków i trzeba było kapitulować. Mnie generał powierzył kasę sztabową. Szczególny zaszczyt w tej sytuacji! Kupiłem jakieś łachy od starego chłopa, przebrałem się i hajda trojka! Bez żadnej

eskorty, więc ryzyko było duże, ale jakoś mi się udało. Trwało to dwa tygodnie, a jak dotarłem do Warszawy, z powodu nerwów i niedojadania została ze mnie połowa.

Korowski odstawił szklankę.

– A wie pan, że ja miałem podobny epizod, tyle, że później, w dwudziestym. Wiozłem sam jeden dużą sumę pieniędzy państwowych i cudem uniknąłem obrabowania.

– I obaj dowieźliśmy pieniądze na miejsce przeznaczenia – Hawelski westchnął. – Jak sądzę, dostał pan pochwałę? A mnie posądzono o malwersację.

– Pochwałę? Raczy pan żartować! Odparzyłem sobie boki i tyle, bo wiozłem to w takim specjalnym pasie. Jakim cudem został pan oskarżony?

– Wpłaciłem wszystko do kasy ówczesnej Komendy Wojsk Polskich i byłem tak zmęczony, że nie wziąłem pokwitowania. Kiedy po roku generał dostał wysokie stanowisko i powołał mnie do służby, ktoś wyjechał z tym, że chyba zdefraudowałem te pieniądze, bo gdzie jest kasa sztabowa i tak dalej. Stając do raportu, generał mówi: „Ja panu wierzę, ale czy ma pan pokwitowanie, bo oni się inaczej nie odczepią”. Ja na to, że nie. Sześć zbladł.

Bronisław słuchał uważnie. Widać trafił na swego, temu też chcieli coś przylepić!

– I co? – zapytał.

– Miałem szczęście! W tym całym bałaganie znalazł się pewien podoficer, buchalter z zawodu, który zawziął się i wykrył w końcu, że przenieśli te pieniądze na konto żandarmerii polowej, zupełnie bez sensu! Kelner! Pół czarnej poproszę! Może pan też pozwoli?

– Nie, dziękuję. I co dalej?

– Ha, cóż, zostałem adiutantem mojego generała, potem wyprosiłem przydział na front *et caetera*. Teraz mam niezłą posadę w przedsiębiorstwie transportu rzecznoego. A pan co robi?

– Mnie życie zagnało do więziennictwa. – Bronisław powiedział to ostrożnie, czekając na reakcję rozmówcy.

Ten znowu pokręcił głową.

– Przykra służba. Wszyscy patrzą z góry, ale chcą mieć zapewnione bezpieczeństwo i wygodę, żeby nikt ich nie napadł, nie obrabował i nie zabił. Żyjemy w krainie czystych rączek. Ma pan chociaż przyzwoite stanowisko i dobrą pensję?

– Jestem naczelnikiem więzienia. Co do pensji... Narzekać nie mam prawa, w końcu jest pragmatyka służbowa i siatka płac, jedna dla wszystkich. Niemniej chyba by się pan uśmieł, gdybym podał sumę.

Hawelski zastanowił się.

– Przepraszam, czy zna się pan trochę na finansach?

– Pracowałem kiedyś w hucie, prowadziłem księgowość wydziału, a teraz z konieczności muszę orientować się w tych sprawach.

– A gdybym zaproponował panu posadę buchaltera u nas? Na początek dostałby pan półtora raza tyle, a z czasem możliwość awansu i podwyżki...

Bronisław przerwał.

– Dziękuję, to już nie na mój wiek. Zbliżam się do emerytury, poza tym przyzwyczaiłem się do państwowej posady.

– Szkoda. – Hawelski wsypał do filiżanki dwie łyżeczki cukru i zamieszał. – Nie chciałbym uchodzić za natręta, ale dręczy mnie jedno pytanie. Co pan właściwie robił w Kijowie?

– Po prostu szukałem kogoś z rodziny – powiedział Bronisław niedbale. – Wie pan, samotna, starsza osoba, ciotka...

– Znalazł pan?

– Niestety, nie. Do dziś nie wiem, co się z nią stało.

„Z jakiegoś powodu nie mówi prawdy”, przeleciało Hawelskiemu przez myśl. Postanowił jednak nie drażnić sprawy. Dopił kawę.

– No, panie naczelniku... Czy raczej panie Bronisławie? – i na skinienie głową ciągnął dalej – było mi bardzo miło pana spotkać.

– I mnie także. W końcu uratował mi pan życie i wreszcie mam okazję, żeby za to podziękować.

– Nie ma o czym mówić. Czy zobaczymy się kiedyś jeszcze? Gdyby miał pan ochotę spotkać się ze mną, oto moja wizytówka. Na wszelki wypadek.

Bronisław schował bilet do kieszeni marynarki.

– Dziękuję. Proszę wybaczyć, ale akurat nie mam mojej przy sobie. Na pewno zadzwonię następnym razem. Jedno tylko: przeważnie bywam tu służbowo i wtedy z czasem u mnie kiepsko. Dziś wyjątkowo jestem swobodniejszy.

Wstali. Hawelski zostawił na stoliku zapłatę i napiwek dla kelnera, powstrzymując gestem towarzysza, który sięgał po portmonetkę. Wyszli na zalany słońcem plac. Milczeli teraz, jakby skrępowani. Bronisław odezwał się pierwszy:

– Czy będzie dużą niedyskrecją, jeżeli spytam o pana sytuację rodzinną?

– Ba, ożeniłem się swego czasu i wszystko układało się świetnie, ale moja żona, niestety, nie może mieć dzieci. A ja bardzo chcę zostać ojcem, więc rozstaliśmy się, zresztą w najlepszej zgodzie.

Bronisław zatrzymał się i spojrzał Hawelskiemu prosto w oczy.

– Widzi pan, moje pytanie wynika trochę z oceny sytuacji. Ja mam żonę i dorosłego syna, co każe mi zastanawiać się, jaki może być ich los w razie wojny.

Ruszyli znowu na drugą stronę Nowego Światu.

– Myśli pan o sprawie Sudetów?

– Nie tylko. Ten gefrajter połknął przecież Austrię i widać, że apetyt rośnie mu w miarę jedzenia. Co dalej? Na kogo kolej?

– To jasne. Na nas.

– Otóż to. Czy spotkamy się, zanim wybuchnie wojna?

– Może jej unikniemy, chociaż to mogą być tylko *pia desideria*. W każdym razie widzę, że jesteście tego samego zdania. Stanowczo, musimy jeszcze kiedyś porozmawiać. Tymczasem do widzenia i miejmy nadzieję.

– Podobno nadzieja umiera ostatnia – zakonkludował Korowski z uśmiechem. – Do widzenia, panie Julianie.

Uścisnęli sobie dłonie, Bronisław poszedł w dół Książęcą, a Hawelski wszedł do bramy i zapytał dozorcę o mieszkanie kolekcjonera. W windzie pomyślał, że ta rozmowa pozostawiła jakieś dziwne niedopowiedzenia. A przecież przypadli sobie do serca!

Bronisław zaś był z siebie niezadowolony. Po kiego licha tak się rozgała? Wprawdzie facet budził zaufanie, wyglądał na przyzwoitego człowieka, ale na wszelki wypadek trzeba zawsze zachowywać powściągliwość. W wersję o ciotce chyba niezupełnie uwierzył, tylko co można mu było powiedzieć? Że wysłano wachmistrza Korowskiego do Kijowa z absurdalną misją, której podjął się wyłącznie dlatego, że dostał taki rozkaz? Człowiek, którego miał szukać jako fachowca od odbijania więźniów, wyjechał do Rosji z jakimś zadaniem, a jego towarzysze wyśmiali pomysły warszawskich konspiratorów, i pewnie mieli rację.

Na Radnej zastał już Altmana, godziny urzędowania dawno minęły. Sędzia oderwał się od gazety.

– O, jesteście! Musimy trochę poczekać na obiad.

Bronisław wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją szwagrowi.

– Słyszałeś o tym panu?

Altman rzucił okiem na kartonik i podniósł brwi.

– Oczywiście! To gruba ryba warszawskiego biznesu, jeden z głównych akcjonariuszy „Syreny” i dyrektor przedsiębiorstwa. Gdzie go poznałeś?

– Przypadek – odparł Korowski wymijająco. – Coś jeszcze?

– Bogaty i bardzo szanowany za rzetelność w interesach. Powinniście rozumieć się dobrze, bo to twardy piłsudczyk. Ja go poznałem w dwudziestym czwartym, był wtedy wicedyrektorem jednej ze spółek borysławskich, ale już interesował się żegluga rzeczną. No, no! Zaczynasz mieć stosunki w wyższych sferach!

Bronisław nie skomentował.

Tymczasem Julian Hawelski, załatwiwszy sprawę porcelanowej figurki, którą kupił za cenę nieco niższą od proponowanej na wstępie, zjadł obiad w niewielkiej, ale cieszącej się dobrą renomą restauracji na Nowym Świecie i około piątej po południu dotarł piechotą do biura przedsiębiorstwa Towarzystwa Żegluga Recznej „Syrena”.

– Panie dyrektorze, mecenas Parkowski czeka – powiedziała sekretarka, nie odwracając głowy.

– Świetnie!

W gabinecie na jego widok wstał z fotela niewysoki mężczyzna o drobnej twarzy i lekko przerzedzonych blond włosach.

– Cześć, Wacek! – Hawelski wymienił z nim uścisk dłoni. – Przepraszam za małe spóźnienie, ale przeciągnęły mi się pertraktacje o tę figurkę, o której ci mówiłem. I jeszcze miałem dziwne spotkanie...

– Sprawę o te dwie barki mamy praktycznie wygraną – rzekł adwokat. – A kogo spotkałeś?

– Takiego jednego faceta, znamy się z czasów odwrotu z Kijowa w osiemnastym. Nazywa się Bronisław Korowski, jest teraz naczelnikiem więzienia gdzieś na prowincji.

– A, to interesująca postać.

– Słyszałeś o nim?

– Takie tam, nic konkretnego, ale opinie pozytywne – Parkowski zagłębił się ponownie w fotelu. – Słuchaj, Julek, jest jeszcze sprawa odszkodowania dla tej firmy, która awanturuje się o uszkodzenie ładunku. Nie jestem pewien, czyja to naprawdę wina. Może by tak przesłuchać tragarzy?

Przeszli do omawiania sporu.

Julian Hawelski wiedział, że jego przyjaciel chadza od czasu do czasu jakimiś bocznymi ścieżkami, dzięki którym wie sporo o różnych ludziach i sprawach. Skąd jednak akurat o Korowskim? Miał zamiar zapytać o to, ale rzecz wyleciała mu z głowy.

Krzysztof Choiński

Rafał Lasota

Przeszedłem COVID na Narodowym

O pandemii wirusa COVID-19 napisano już wiele. Każdego dnia publikowane są nowe badania, artykuły czy zwykłe plotki, które przynoszą bardziej lub mniej prawdziwe doniesienia o tej ciężkiej chorobie. Jak oddzielić mity od fałszu? Jak zachować odrobinę zdrowego rozsądku w natłoku informacji, kiedy wirus zachowuje się jak żadna inna znana wcześniej choroba? Lekarze wciąż powtarzają, że COVID-u ciągle się uczymy a jedyną metodą obrony jest szczepienie. Na takie argumenty ludzie reagują różnie. Jedni szczepią się, bo im kazano. Kolejni dla świętego spokoju dają się „ukuć”, mając w planach wakacyjny wyjazd za granicę. Jeszcze inni zwyczajnie się boją i chcą się ustrzec przed infekcją. Są też tacy, którzy w COVID zupełnie nie wierzą, a szczepionki uważają za wynalazek szatana. W rozmowach często słyszałem, że COVID to tylko plotka, a wszystko jest spiskiem, zmową i wymysłem mrocznych, bliżej nienazwanych sił. Co najdziwniejsze, takie zdanie wyrażały nawet osoby dobrze wykształcone. Telefony ludzi, którzy tak mówili, dawno już usunąłem z pamięci. Nie mam zamiaru przekonywać nieprzekonanych, że COVID-19 istnieje i jest groźny. Nie interesują mnie argumenty „antyszczepionkowców”, którzy powtarzają bzdury, sami nie mając najmniejszego pojęcia o medycynie. Jeśli bowiem wirusa nie ma, jeśli szpitale tymczasowe były tylko chwytem marketingowym przygotowanym „na pokaz”, to dlaczego żaden z przeciwników szczepień nie zgłosił się na oddział covidowy jako wolontariusz? Przecież niesienie pomocy bliźniemu to bardzo szczytne zajęcie!

Według danych Ministerstwa Zdrowia, w Polsce, przeciwko wirusowi COVID-19, zaszczepiło się ponad 15 mln ludzi. Czy to dużo? Trzeba przyznać, że niemało. Czy to wystarczy? Chyba nie...

W trakcie pandemii kilka razy byłem świadkiem bezradności lekarzy, którzy przegrywali z COVID-em walkę o życie pacjentów. W jednym z warszawskich szpitali (nie wymieniam celowo nazwy placówki) widziałem kilku chorych na COVID. Z braku miejsc na oddziałach, leżeli na izbie przyjęć. Byli w ciężkim stanie, podłączeni pod tlen, ale jeszcze zdolni do tego, aby samodzielnie oddychać. Wszystkie miejsca w szpitalu były zajęte. Około południa na Szpitalny Oddział Ratunkowy przyszedł lekarz

dyżurny. Doktor ubrany był w kombinezon, na twarzy miał maseczkę, google i przyłbicę. Wskazał dwie osoby i powiedział:

– Panowie będziecie przeniesieni z SOR-u na oddział. Zwolniły się dwa łóżka.

Pacjent leżący przy wyjściu z maską tlenową szczelnie przypiętą do ust i nosa zapytał, czy łóżka są wolne, bo jacyś ozdrowieńcy właśnie wyszli do domu. Lekarz popatrzył na pytającego i odpowiedział:

– Do domu nikt nie wyszedł, ale dwa łóżka są wolne...

Gdybym nie był świadkiem tej sytuacji, zapewne nie uwierzyłbym, że w ogóle miała ona miejsce. Na COVID-19 zachorowałem w połowie marca 2021 roku. Ludzi z mojego rocznika wtedy jeszcze nie szczepiono – zwykły pech... Z początku próbowałem się leczyć w domu. Trwało to tydzień, jednak moje samopoczucie ciągle się pogarszało. Spadała też saturacja, czyli nasycenie krwi tlenem. Pulsoksymetr nieubłagane pokazywał coraz niższe wyniki. Nic nie dawało próby branie coraz głębszych oddechów. Kiedy wymioty, odkrztuszana krew i saturacja na poziomie 84% nie pozwalała swobodnie oddychać, wezwałem karetkę. Trafiłem do szpitala zorganizowanego na Stadionie Narodowym. W tym momencie zapewne od razu usłyszę chór sceptyków, który stwierdzi, że na Narodowy trafiały tylko lekkie przypadki.

Niedowiarkom odpowiem w ten sposób: powtarzanie bzdur jest najłatwiejsze, bo nie wymaga myślenia. Na niezasłużoną opinię szpitala zorganizowanego na Stadionie Narodowym wpłynął wpis wrzucony na FB przez jakiegoś mizernego celebrytę. Przyniosło to paskudny efekt. Czytając wysrane z palca doniesienia na temat szpitala na stadionie, można było odnieść wrażenie, że na Narodowy idzie się jak na wczasy albo do SPA. A to zupełna nieprawda! To także krzywdzące dla ludzi, którzy przez całą dobę ratowali chorych, cierpiących na koronawirusa. Leżąc na Narodowym przez czternaście dni, nie widziałem lekkiego przypadku COVID-19. Przeciwnie: były przypadki ciężkie albo bardzo ciężkie. Widziałem mnóstwo przerażonych ludzi podłączonych do masek tlenowych lub respiratorów, bezskutecznie łapiących oddech. Widziałem ludzi, którzy nocą bali się zasnąć, ponieważ nie wiedzieli, czy następnego dnia jeszcze się obudzą. W moim sektorze znajdowało się osiemnaście łóżek. W większości byli to ludzie stosunkowo młodzi. Średni wiek wahał się w przedziale około 40-50 lat, chociaż niektórzy byli dużo młodszy. Brodaty 24-latek, przerażony, z rękami sinymi od zmienianych wenflonów, wciąż pytał lekarzy, czy uda mu się wrócić do narzeczonej. Zaręczył się kilka tygodni wcześniej. W tym

czasie na stadionie znajdowało się ponad 400 pacjentów. W większości byli to mężczyźni, kobiety stanowiły niewielką część.

Kolega z łóżka naprzeciwko, Janek, rozchorował się podczas modnego minionej zimy biegania w dresie i trampkach po śniegu. Co tydzień spotykał się w Choszczówce z grupą znajomych i trenowali. Jednego popołudnia po niewinnej, zimowej „przebieżce” Janek poczuł się gorzej. Dwa dni później wystąpiły duszności. Karetka zabrała go do szpitala. Kiedy ja trafiłem na Narodowy, Janek był tam już od trzech tygodni. Był to bardzo sympatyczny facet przed pięćdziesiątką. Kiedy „wjechałem” na oddział, Janek przyniósł mi butelkę wody. Spojrzał na mnie ze współczuciem i powiedział „trzymaj się chłopaku, bo z tą chorobą różnie bywa”. Pamiętam, że kilka dni później siedzieliśmy na łózkach z wąsami tlenowymi wetkniętymi w nos. Obydwaj mieliśmy wreszcie trochę sił, żeby porozmawiać. Dowiedziałem, że Janek ma żonę i prowadzi własną firmę gastronomiczną. Na rynku dawał sobie nieźle radę. Specjalnością jego zakładu były pierogi z farszem z kaczki. W trakcie rozmowy Janek zaczął trzymać się za lewą stronę klatki piersiowej.

– Coś mnie kłuje – stwierdził w pewnej chwili.

Natychmiast przyszedł lekarz. Pobrano badania podłączono dodatkowe aparaty pomiarowe. Ciśnienie chorego szybko zaczęło spadać.

– Pękło panu płuco. Musimy natychmiast zrobić nacięcia w klatce piersiowej i wprowadzić rury do płuca – powiedział lekarz.

Janek od razu został zabrany na tzw. OIT, czyli oddział intensywnej terapii. Więcej go nie widziałem.

Któregoś dnia na oddział trafił chudy, siwiuteńki człowiek. „Dziadek”, bo tak go nazywałem, miał około osiemdziesięciu lat, za wszelką cenę próbował wstać z łóżka, czego nie wolno mu było robić. Lekarze, pielęgniarze i pielęgniarki dyżurowali przy nim całą dobę, gdyż każdy dodatkowy ruch stanowił dla „Dziadka” śmiertelne zagrożenie. Mimo podawanych leków, COVID coraz bardziej zajmował jego płuca. „Dziadek” cały czas nie rozstawał się z telefonem. Ścisnął w rękę aparat. Spoglądał na ekran i czekał, jednak sam nigdy nie wybrał żadnego numeru. Na pytanie sanitariusza, czy chce do kogoś zadzwonić, zaprzeczył. Chudy i siwy jak gołąbek „Dziadek” mocno walczył o życie, trwało to dwa dni. Wreszcie, któregoś poranka „Dziadek” po prostu zniknął...

Na łóżku obok „Dziadka” leżał czterdziestokilkuletni postawny mężczyzna. Praktycznie przez cały czas nie zdejmował tlenowej maski z twarzy. Miał zajęte przez COVID ponad 80% powierzchni płuc. Lekarze długo

walczyli o jego zdrowie, aż wreszcie się udało. Pacjent chciał żyć. Mimo że COVID zaczynał odpuszczać, to chory wciąż nie miał sił nawet podnieść się na łóżku. Codziennie dwie siostry zmieniały mu pieluchy, w które się załatwiał, i myły go specjalnymi preparatami. Po trzech dniach od przełomu przyszli do niego rehabilitanci. Postawna pani i równie mocny pan rehabilitant mieli zadanie nauczyć chodzenia i oddychania bez maski wracającego do zdrowia. Chory chciał dobrze wypaść przed rehabilitantami. Energicznie usiadł na łóżku następnie zrobił trzy kroki i opadł zupełnie bez sił na podstawiony wózek inwalidzki...

Leżąc na oddziale, aby nie poddać się chorobie, starałem się obserwować i zapamiętywać jak najwięcej szczegółów z przerażającej rzeczywistości, która mnie otaczała. Patrzyłem, jak zachowują się ludzie w obliczu śmiertelnej choroby, którą jest COVID-19. Jedni załamywali się zupełnie bez powodu, inni umierali, jeszcze inni zdrowieli, jak w życiu...

Po kilku dniach przyjmowania dożylnie sterydów i antybiotyków mój stan zaczął się nieznacznie poprawiać. Kiedy poczułem się odrobinę lepiej, postanowiłem się umyć, tym bardziej że nie wstawałem z łóżka od sześciu dni. Uznałem, że najwyższy czas wejść wreszcie pod prysznic i chociaż trochę się odświeżyć. Mam czterdzieści osiem lat, jestem dość sprawnym człowiekiem, ale tym razem, aby pokonać odległość trzydziestu metrów dzielącą moje łóżko od łazienki, potrzebowałem wózka inwalidzkiego, butli z tlenem i pomocy dwóch pielęgniarzy. Z mycia także niewiele wyszło, straciłem przytomność, zanim jeszcze stanąłem pod prysznicem. Dopiero kilka dni później udało mi się umyć i ogolić. Ze wspomnień, które zostały ze mną z pobytu w szpitalu zorganizowanym na Stadionie Narodowym, pamiętam wielu młodych lekarzy, pielęgniarki, salowe, rehabilitantów, którzy byli na każde wezwanie pacjenta! Wszyscy szczerze zasłonięci nie mieli imion ani nazwisk. Zamiast tego mieli wypisane flamastrami na kombinizonach skróty w rodzaju lek, rehab., med.

Było tam także dwóch księży, dwóch młodych misjonarzy, którzy w przerwie między wyjazdami na misję przyjechali aż z Dębek na Pomorzu, aby nieść ulgę pacjentom. Dwaj misjonarze z Pomorza, zmęczeni, ale zawsze pełni współczucia i życzliwości, obsługiwali szpital Narodowy i Szpital Południowy. Okazało się bowiem, że w okolicznych, warszawskich parafiach nie było chętnych księży, którzy przysliby służyć pociechą chorym... Mimo że misjonarze byli bardzo sympatyczni, to chorzy od nich stronili. Mało kto decydował się choćby na rozmowę z zakonnikami, a ich przyście wzbudzało jakieś niewyjaśnione napięcie.

– Dlaczego ludzie się was boją? – zapytałem jednego z nich.

– Wielu traktuje nas tutaj jak trędowatych. Kiedy przychodzi ksiądz, każdy myśli, że to już koniec. Jeszcze tylko ostatnie namaszczenie i finał. Dlatego na nasz widok pacjenci często udają, że śpią, grzebią w telefonach albo po prostu się odwracają i nie chcą rozmawiać. Ja sam nie boję się śmierci. Gdybym się bał, zapewne nie byłoby mnie tutaj. Widziałem tutaj wiele i cały czas modłę się, żeby wreszcie przyszedł dzień, kiedy nie będzie już żadnych zgonów...

Po czternastu dniach intensywnego leczenia udało mi się pokonać chorobę. W pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych wróciłem do domu. Przez ten czas z osiemnastu chorych leżących w moim sektorze „zniknęło” jeszcze dwóch pacjentów.

Kolejny trafił pod opiekę psychiatry na skutek załamania nerwowego – przestał jeść i całkowicie stracił ochotę do życia. Reszta pozostała na oddziale. Kolega Janek, który z pękniętym płucem pojechał na OIT, też gdzieś przepadł. Próbowałem go odszukać, żeby dowiedzieć się, czy udało mu się przeżyć, ale nigdzie go nie znalazłem...

Rehabilitacja po chorobie była ciężka i wyczerpująca. Dwa dni po powrocie ze szpitala wyszedłem na „dłuższy” spacer. Był to ogromny wysiłek. Przejście czterystu metrów zajęło mi godzinę, a bóle wszystkich mięśni utrzymywały się przez kolejne cztery dni. Obecnie dochodzę do siebie, ale wydolność organizmu wciąż pozostawia wiele do życzenia. Dzisiaj chcę podziękować wszystkim medykom, którzy robili wszystko, aby ratować mnie i innych pacjentów, którzy znaleźli się na Narodowym z diagnozą COVID-19.

Rafał Lasota

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Powroty

Samolot Air France na lotnisku Chopina w Warszawie wylądował jak zwykle punktualnie o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć. Było to jedno z pierwszych uruchomionych przez francuskie linie lotnicze ponownie po pandemii regularnych połączeń z Warszawą.

W drzwiach sali dla pasażerów przylatujących pojawiła się kobieta około czterdziestoletnia. Dokładnie miała trzydzieści osiem lat. Dość smukłej sylwetki, w sukience koloru niebieskiego w dyskretnie nakrapiane jaśniejsze cętki. Przepięta była różowym skórzanym paskiem, ze złotą, dość dużą klamrą. Podkreślała jej talię i biodra. W dekolcie trudno było nie zauważyć pełnych kształtów i pięknej opalenizny młodego przecież jeszcze ciała. Jakże istotnych atrybutów kobiecości. Fragment biustu zasłaniał w części z lewej strony łańcuch różowych w odcieniu, stosunkowo dużych pereł. Jakby chciała nimi coś przysłonić, coś ukryć. Nosila blond włosy. Krócej przystryżone. Przy uszach długie klipsy w kształcie trzech różnej wielkości złotych kółek. Jak mówiła wcześniej mężowi: Jedno dla ciebie, drugie dla starszego i trzecie dla najmłodszego syna. Wszystkich Was chcę mieć zawsze przy sobie...

– Wspaniała idea. Trochę hiszpańska. Czy aby nie za głośno będzie ci przy uchu? – żartował wówczas dotychczasowy mężczyzna jej życia.

– Nie. I tak nie dajecie mi o sobie zapomnieć – odparowywała.

– Zresztą. Dla was jest jeszcze miejsce tu. – To mówiąc, dotykała dłonią piersi na wysokości lewej komory serca.

Przypomniała sobie o tym, spoglądając w lustro wiszące tuż przy drzwiach w sali przylotów. Poprawiła perły, przesuwając je bardziej ku dołowi.

Dziewczyno, to było tak dawno temu, pomyślała. Niech będzie. Ale, czy aż tak dawno? Nie tak dawno! ... Jakieś półtora roku temu... Jeszcze przed wyjazdem do Francji. A jednak toż to prawie wieczność cała – dopowiadała samej sobie, nie mając w tej chwili sił na jakiekolwiek podsumowanie.

– Bonjour, Varsovie – przywitała się na głos z miastem.

Spędziła tu tyle lat. Tyle chwil. Dni i nocy. Więcej lub mniej szczęśliwych. Pouczających i wzbudzających dreszcze zarazem. Budujących

i frustrujących jednocześnie lub zaraz potem. Pełnych zaangażowania i uniesień. Zdarzało się, że do bólu rozczarowujących, by dzień lub noc później na powrót wzbudzać i dawać rozkosz i nadzieję.

– Może lepiej zapytaj, czy chwil spełnionych? Czy udało ci się zrealizować tu to, o czym marzyłaś? Czego pragnęłaś, czy jesteś, byłaś, a jeśli tak jak długo szczęśliwa...?

– No wreszcie, córuś. Wreszcie jesteś. Przyleciałaś. Nie mogłam się doczekać.

– Mamo, przecież samolot wylądował punktualnie... – odparła, oddając matce potrójny pocałunek w oba policzki i mocno ściskając ją w ramionach.

– Tak, ale ja przyjechałam na lotnisko wcześniej i czekam na ciebie co najmniej od godziny.

– Mamo, jak zwykle niepotrzebnie. To znaczy niepotrzebnie się denerwujesz. Jestem. Przyleciałam. Cała i zdrowa. Cieszę się, że cię widzę.

– Potrzebnie, potrzebnie. Nie było cię już tyle dni, tygodni. Nie spałam prawie całą noc.

– Mamuś, mamuś...

– Co? Chyba nie masz w sobie jedynie genów po ojcu? On zawsze nie lubił okazywać uczuć. Taki zmiennociepy typ.

– Trochę jak krokodyl? Nie, mamuś. Bynajmniej. Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Jak bardzo się cieszę. Jestem jak najbardziej w połowie również tobą. No, daj się przytulić. Kocham cię. Je t'aime!

Przecież wiesz.

– To już lepiej. To już lepiej. – Kobieta coraz bardziej pozwala się córce obejmować i ściskać w ramionach.

– A chłopcy? Przylecieli razem z tobą? – dopytywała.

– Karol, jak wiesz, był w Warszawie już wcześniej. Zresztą odwiedził wtedy ojca.

– Tak, wiem, opowiadał. W tym czasie był także u mnie z wizytą. A Staś?

– Przylatuje za tydzień. Potem jadą z kolegami do Chorwacji.

– Ach, ta młodzież, ciągle by chcieli dokądś podróżować, coś nowego poznawać, zawierać nowe przyjaźnie i znajomości, nieustannie szukają przygód i odkryć.

– Mamo, czy ty, czy my byliśmy i jesteśmy inni? Świat się zmienił, otworzył, stał się dużo mniejszy. Dziś jest jedną globalną wioską...

– Nie przeczę, nie da się ukryć. Ale, czy to dobrze? Czy lepiej?

– Dobrze, mamuś. Dobrze. To jest nie do powstrzymania. Nie do zastopowania! Chyba że...

– Chyba że pandemia? Córeczko, wojny, wirusy, zarazy, zresztą jak dawniej, w przeszłości.

– Nawet, mamuś. Jest wirus i co z tego? Jest lub będzie antidotum. Jest choroba? Jest lub będzie lekarstwo.

– Ale ile osób wcześniej przypłacić to może życiem, kochana.

– Pesymistka! Mamo, nie patrz na to wyłącznie w czarnych barwach. Wirusy, choroby i zarazy są znakiem czasu i tego, że świat nie stoi w miejscu, a ludzie podróżują i na swej drodze spotykają innych.

– Jasne, to dobre i złe następstwa – przytakiwała córce.

– Poza tym niektórzy mówią, że ten wirus to jedna wielka ściema, manipulacja i sprzysiężenie koncernów farmaceutycznych. Wiesz, jak zwykle chodzi o... – Zawiesiła na chwilę głos. – O kasę, niebotyczną kasę!

– Świat stoi w miejscu, córuś? W miejscu? On mknie do przodu. Nie wiadomo tylko w jakim kierunku.

– Tak. Tu jestem w stanie przyznać ci rację. Tego nie wiemy.

– Czy mówisz tak po swoich doświadczeniach w Paryżu? Przygodzie z Jeanem-Pierrem?

– Mamo, daj spokój. Przyjechałam odpocząć. Przyjechałam do kraju tylko odpocząć.

– Rozumiem. Ale zanim wypoczniesz, zapraszam cię do siebie na obiad i wspaniałe ciasto z owocami.

– Czy to te, którym się zawsze zajadaliśmy latem?

– Tak, córeczko. Sama piekłam, ze świeżymi malinami, mandarynkami i jagodami leśnymi.

– Pychota, już teraz czuję, że nie skończę na jednej porcji – odparła.

– No to teraz opowiadaj, moja droga, tylko wszystko szczerze, bez zahamowań, z pieprzem, solą i odwagą. OK, trochę liryki może również być. Przecież wiesz, że lubię cię słuchać i że zawsze możesz na mnie liczyć.

Patrycja zajrzała kobiecie głęboko w oczy. Na kilka chwil utkwiała w nich swój wzrok. Mimo woli zaczęła intensywniej mrugać powiekami. Jakby ją coś uwierało i chciała się tego pozbyć.

– Pati, od ilu lat się znamy?

– Od...

– Od dzieciństwa, moja droga. Od dzieciństwa. Pamiętasz, jak na podwórku grałyśmy w klasy, bawiłyśmy się z chłopakami w „chowanego”,

opowiadałyśmy o pierwszych wakacyjnych zauroczeniach, pożyczaliśmy sobie nawzajem kiecki na imprezy. Potem bez końca do rana opowiadałyśmy o tym jak na ostatniej balandze zachował się Janek, Andrzej czy Ryszard, a jak postąpiłby nasz wyimaginowany rycerz Ryszard Lwie Serce lub macho z twarzą Antonio Banderasa?

– Tak, Lidziu, wiem. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Wiem, że mogę ci zaufać i że...

– Mów, opowiadaj. To ci ulży. Dziewczyno. Campari orange, czy może wolisz whisky z colą?

– Campari, jeśli mogę. Jest jeszcze tak ciepło.

– A może na wspomnienie tego wszystkiego robi ci się po prostu bardzo gorąco? – zapytała. Gdy nie dostrzegła w kącikach ust Pati oczekiwanego uśmiechu, z miejsca dodała: – Możesz, możesz. Nie damy się złym mocom. – Tym razem to ona uśmiechnęła się serdecznie do przyjaciółki.

– Widzisz, Lidencjo, nie zawsze marzenie się spełnia. Raczej powinienam powiedzieć: nasze wyobrażenia się spełniają.

– Mów, Pati, mów, zamieniam się w słuch. Nie za mocne? Campari nie za mocne?

– Nie, akurat. W sam raz!

– Zatem opowiadaj, przyjaciółko. Opowiadaj, moja droga!

Lidka przysunęła się do Patrycji z fotelem. Ucisnęła jej przedramię i zastygła w oczekiwaniu.

– Widzisz, gdy zdecydowałam się rozstać z Winkiem i połączyć z Jeanem w Paryżu, miałam zupełnie inne wyobrażenia tego niż to, co mnie przez te ostatnie dwa lata tam spotkało.

Przyjaciółka pokiwała ze zrozumieniem głową. Nie znając jeszcze całej historii, wyraziła w ten sposób jakby genetycznie zakodowaną solidarność kobiet w pewnych kwestiach w relacjach z mężczyznami. Nie zawsze przecież jednolitą czy jednorodną. Zazwyczaj sprawy takie były i są bowiem bardziej skomplikowane. Trudne do jednoznacznej oceny. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi uczucia, namiętności i seks.

Potem dochodzi również zazdrość, wolność i pieniądze oraz dysponowanie i możliwość zarządzania nimi lub ich brak – przeszło jej przez myśl.

Lidka była dwukrotnie zamężna i знаła dobre i złe strony życia – chciałoby się powiedzieć głębiej, od podszewki.

– Na początku było klawo, powitanie na lotnisku, de Gaulle’a, bukiet czerwonych róż, potem przyjazd najnowszym Citroenem do jego domu. To jest dwupiętrowy apartamentu w dzielnicy, wokół zapach bzu, jaśminu,

oleandrów i ten widok rozwijających się ku doskonałości różnokolorowych kwiatów na tle idealnie zielonych, świeżo przystrzyżonych trawników. Fasada z kremowego piaskowca, brama na dziedziniec z kutych stalowych, pomalowanych na czarno prętów, po drodze przy ulicy rząd platanów, a w oddali na wzgórzu Montmartre, dalej zaś Trocadéro i widok wieży Eiffla.

– Cudo. Tak właśnie wyobrażam sobie zawsze Paryż – na moment wtrąciła się rozmarzona Lidka.

– I co?

– Jak to? Jak to co?

– Był champagne, kochaliśmy się przez cały tydzień. Z łóżka wychodziliśmy dopiero wczesnym popołudniem na lekki lunch. Potem wracaliśmy. Wieczorem szliśmy na miasto. Przedstawiał mnie swoim kolegom i znajomym. Ach ten Paryż, ten klimat, atmosfera, historia... Wina, kuchnia, muzyka... Zdawało mi się, że nie można nie kochać Paryża, nie można nie kochać Francji!

– A Francuzów? – cichym szeptem wtrąciła po chwili Lidzia.

Patrycja pominęła to pytanie milczeniem. Jakby go nie dosłyszała lub świadomie nie chciała na ten temat mówić. Przynajmniej na tym etapie opowiadania swojej historii.

– Po kilku tygodniach przedstawił mnie swoim rodzicom. Dokładnie po osiemnastu. Tak. To było dokładnie po czterech miesiącach.

– Hmm... – trochę zdziwiła się przyjaciółka. – Dopiero? – dodała.

Patrycja ponownie nie odniosła się do jej reakcji. Na chwilę tylko wymieniała z nią spojrzenia.

– Podobno musieli się na takie spotkania przygotować. Jak mówił, przede wszystkim mama. Podobno ojciec nie miał nic przeciwko, by nastąpiło to wcześniej.

– Może jest... był po prostu maminsynkiem – skomentowała krótko przyjaciółka.

– Później on miał mnóstwo spotkań, wyjazdów służbowych za granicę, et cetera i temu podobne.

– Czyżby cię oceniali, stawiali na szali za i przeciw, analizowali, skrupulatnie przysłuchując się temu, co i jak przedstawia im ich syn? W końcu znają go najlepiej. Jego mocne i słabe strony. Zazwyczaj rodzice chcą dla swoich dzieci jak najlepiej.

– Tak myślisz, Lidziu?

– Myślę, że wielokrotnie przesadna, nadmierna rodzicielska troska i miłość może doprowadzić do katastrofy niejeden związek, do upadku

niejedno uczucie i fascynację sobą ludzi młodych. Tym samym i ich własnych dzieci.

– Czy to jest właściwa droga ku szczęściu?

– Nie, zdecydowanie nie! W pewnym momencie życia staruszkowie muszą się usunąć nieco w cień. Może bardziej niż nieco. OK. Nie całkiem, ale choć trochę. Młodzi muszą poczuć, że są wolni i dojrzały do miłości. Nie potrzebują z ich strony permanentnej kontroli, nadzoru i egzaminowania. Raczej dyskretnej porady, rozmowy bez narzucania swoich uwag i racji.

– Tak, muszą poczuć, że są wolni i dojrzały do miłości. Dobrze do ujęłaś.

– Jeszcze odrobinę Campari?

– Proszę, uff, nie za dużo.

Obydwie kobiety na chwilę oddały się milczeniu.

Każda na swój sposób odnosiła się po tych słowach do historii własnego życia.

– Właściwie to jego matka mnie w gruncie rzeczy nie lubiła. Choć starałam się jak mogłam. Zaczęłam pracować. Byłam finansowo w zasadzie niezależna, chodziłam zadbaną, prowadziłam dom. Jean często późno wracał do domu. Opiekowałam się synami. Obydwaj chodzili przecież już do szkoły. Nawet jeden za rok miał rozpocząć studia... Do domowego menu wprowadziłam dużo dań z francuskiej kuchni. Znacząco poprawiłam swój francuski. Nawet skomplementował mnie kilka razy ojciec Jeana.

– Ale najważniejsze dla syna często jest zdanie matki.

– Tak? Myślę, że masz rację. Dawał mi to odczuć.

– Często?

– Może nie często, ale bardzo dobitnie w istotnych chwilach naszego pożycia. Tak coraz częściej.

– Hmm... – Po raz kolejny w ustach przyjaciółki miało to oznaczać zatroskanie.

– To były sygnały. Na początku nie przywiązywałam do nich uwagi. Nie dostrzegałam ich.

– Może nie chciałaś dostrzegać. Bałaś się, że Twój...

– Tak?

– ...że twój cały plan na nową-starą miłość może lec w gruzach? Że możesz się wybudzić z błęgiego pięknego snu?

– Lidziu... – Pati chciała coś powiedzieć, ale głos ugrzązł jej w gardle.

– Jaki mamy jutro dzień? – zapytała ni stąd ni zowąd.

– Słoneczny, dziewczyno, słoneczny. Weź głęboki oddech. Wyluzuj! – zakomenderowała.

- Ale chodzi mi o dzień tygodnia?
- Wtorek, Pati. Wtorek. Czternasty lipca.
- Jutro imieniny obchodzi Winek – odpowiedziała i skuliła się w ramionach.
- To również dzień święta narodowego Francji – mimowolnie wypaliła przyjaciółka.
- Tak, wiem. Od mojego wyjazdu do Francji nie odzywał się do mnie. Zwłaszcza w ten dzień nie odbierał nigdy telefonów.
- Znienawidził Francuzów?
- Najwyraźniej. To było do przewidzenia. To było oczywiste! Nazywał ich tchórzliwymi zabojadami!
- Mogę zrozumieć Winicjusza. Pewnie czułabym to samo... – komentowała naprędce Lidka.
- No, nie wiem. Na początku dotykał mnie bardzo takimi wypowiedziami.
- I co było dalej? Co się stało, że przyjechałaś? – Przyjaciółka stawiała kolejne pytania.
- Przez pierwszy okres czułam się szczęśliwa...
- Może chciałaś czuć się szczęśliwa. Pomimo że nią nie byłaś?
- Lidziu, to boli.
- Przepraszam. Głupia jam, głupia. Jestem za bardzo dociekliwa. Może dlatego rzucają mnie faceci.
- Nie, nie mów tak. Masz prawo zadawać pytania. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.
- Od teraz milczę, zamykam usta i powstrzymuję swój rozwydrzony język – obiecała. – A ty opowiadaj, mów spokojnie dalej.
- Cóż dalej. W międzyczasie Karol zdał egzaminy na pierwszy rok studiów IT na Sorbonie. Byłam z niego niezwykle dumna. Bynajmniej nie był w tym wyścigu ostatni. Wśród kandydatów z wielu innych krajów zajął miejsce w pierwszej piątce najlepszych. Stasiowi w gimnazjum również idzie coraz lepiej. Obydwaj zaczynają dojrzewać i dorastać.
- Jaka jest między nimi różnica wieku – spytała przyjaciółkę.
- Dwa lata, dokładnie dwa lata i trzy miesiące. Dobrze, że są razem. Że są razem i ze mną. Na początku Staś nie chciał jechać. Dla niego ojciec to ideał i wzór do naśladowania. Zresztą Karolowi pomimo częstych dyskusji i utarczek słownych, Winek zawsze imponował.
- A tobie?
- Hm... Proszę o kolejny zestaw pytań.

– Zatem wszystko zaczęło się mniej lub więcej z Jeanem układać?

– Tak mi się wydawało. Z ojcem Jeana miałam nawet dobre, by nie powiedzieć bardzo dobre relacje. Nawet z matką wszystko zaczęło się prostować i przestała dawać mi odczuć swoje chłodne nastawienie. Przynajmniej się starała. Tylko chłopcy zapowiadali, że w przyszłym roku wracają do ojca, do Warszawy, i że Jean to tylko tak zwany przyszywany wujek, i nie zastąpi im nigdy ojca. Przeżywałam chandrę i cały czas miałam wyrzuty sumienia. Nawet jeśli Jean zwłaszcza na początku dużo mi pomagał.

– Także materialnie?

– Jasne. Pomógł mi załatwić pracę. Zresztą nie tylko materialnie. Również psychicznie.

– To dobrze o nim świadczy.

– Powiedziałałabym świadczyło.

– Coś się zmieniło? Chcesz powiedzieć, że już nie znaczy dla ciebie tyle, co przedtem?

Patrycja wzięła głęboki oddech i przez dłuższą chwilę milczała. Lidka nie nalegała, by teraz opowiadała dalej. Choć jej ciekawość przybierała na sile.

– Zasadniczo – odparła Pati.

– Jeśli mogę, co masz na myśli?

– Pewnego dnia całkiem przypadkiem podsłuchałam rozmowę Jeana z kolegą. A właściwie rozmowę, w której umawiał się z kolegą z pracy na seks.

– Przepraszam, czy ja dobrze słyszę? Z kim? Na co?

– Tak, dobrze słyszysz! Z kolegą z pracy, na seks!

– To znaczy mieli razem uprawiać ze sobą seks? – dopytała.

– Tak, dokładnie tak.

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jerzy Marciniak

Bal z generałem II Korpusu

*żołnierzom Armii Czerwonej... [autocenzura]
wyzwolicielom Polski*

Pisarz-kierowca autobusów różnych maści i odcieni, to trochę marszałek polny Aleksandr Suworow. Ten drugi wygrał wszystkie bitwy, a ten pierwszy przegrał wszystkie procesy sądowe. Aleksandr Suworow był bardzo brzydki, a Pisarz-kierowca z urodą stał nieźle i w młodości miał spore powodzenia u dziewczyn. Zatem i na tym polu są jak bracia bliźniacy. Złośliwi mówili, że w głowie Suworowa brakowało tylko czterech z pięciu klepek. Życzliwi o Pisarzu-kierowcy mówili tak, że trudno byłoby w ich wypowiedziach dopatrzeć się tej piątej kleпки.

Rosyjski marszałek polny był kawalerem wielu zagranicznych orderów. Szczególnie dużo przybyło mu po dokonaniu ludobójstwa mieszkańców Warszawy, które przeszło do historii jako rzeź Pragi. Miał więc: austriacki Marii Teresy, pruski Czarnego Orła i Czerwonego Orła, bawarski św. Huberta czy św. Łazarza z Jerozolimy. Żonaty Pisarz-kierowca autobusu otrzymał nagrodę na konkursie literackim w Kutnie i dwukrotnie w Zduńskiej Woli. Udzielił też krótkiego wywiadu reporterce Radia Poznań na temat opóźnień pociągów po pierwszej śnieżycy. Zatem na niwie medalowo-odznaczeniowej jest między nimi wyraźny remis. A być może niewielka przewaga literata.

Aleksandr Suworow miał dobre szlacheckie pochodzenie. Pisarz-kierowca trochę kulał w tej sferze, bo ojciec był księgowym, a matka bufetową w kawiarni, ale babka Julianna Bończa-Romanowska miała szlacheckie korzenie i dobre koligacje. A więc i na tym polu walki Pisarz-kierowca i Aleksandr Suworow byli jak bracia syjamscy.

Rosyjski marszałek polny złapał w późnym wieku chorobę bogini Wenery. Pisarz-kierowca tak długo nie czekał. Pierwszy raz zaraził się w przedszkolu, przy podglądaniu dziewczyn. Drugi raz w starszej grupie przedszkolaków, gdy próbował wejść w życie dorosłe. Trzeci przypadek przydarzył mu się w pierwszej klasie szkoły podstawowej, czwarty w drugiej klasie, piąty w trzeciej. Później szło to wszystko torem podobnym, tylko z większą częstotliwością.

Osoba marszałka polnego Aleksandra Suworowa była żywa w opowieściach rodzinnych Bończa-Romanowskich z uwagi na miasto Kobryń, którego właścicielem był zwycięzcą sześćdziesięciu bitew. W Kobryniu mieszkał Józef Bończa-Romanowski, pierwszy zesłaniec syberyjski z rodziny Pisarza-kierowcy. Po spędzeniu ćwierć wieku nad brzegami Jeniseju, powrócił w okolice Kobrynia i w majątku krewnych zabierał się i zabierał do pisania pamiętników, ale na tym zabieraniu się i zabieraniu doczekał końca swojej ziemskiej wędrówki.

W Kobryniu przed wojną pędziła też żywot przez kilka lat Julianna Bończa-Romanowska z rodziną, czyli i z matką Pisarza-kierowcy autobusu.

Pisarz-kierowca mieszkał w młodości w Sobocie koło Lwówka Śląskiego. Dom był ogromny, czternastopokojowy i dobrze urządzony. Na imieniny babki Julianny Bończa-Romanowskiej przychodzili z kwiatami ziemianie bez ziemi. Rodziny szlacheckie wysiedlone z Kresów po wojnie. Tak jak i rodzina Pisarza-kierowcy.

Zaczynali grzecznie i z manierami, bo to była szlachta herbowa. Jedli dobrze i popisywali się bieglą francuszczyzną, bo mieli guwernantki. Mówili biegle po rosyjsku, bo ich przodkowie byli poddanymi cara rosyjskiego. Na rękach mieli herbowe pierścienie, które zakładali tylko od czasu do czasu, a niektóre z kobiet drogie złote bransolety i sznury pereł w dekoltach. Na stole stało zawsze kilka filiżanek ze starej porcelany. Mówiono dosyć cicho, bo podsłuchujących nie brakowało. Po takich imieninach rewizje w domu Pisarza-kierowcy rzadkością nie były.

Śpiewano też stare pieśni kresowe.

Po północy śpiew zanikał i wschodziła polityka.

– Julia, nie gniewaj się, ale Kresy utraciliśmy przez teścia twojego krewnego! Racja, jakby, k..., szedł razem z Ruskimi, to Stalin nie odebrałby naszych ziem na wschodzie albo wziąłby mniej! Racja, Lwów to na pewno by zostawił, a mój majątek niemalże graniczył z obszarem miasta! Moim przodkiem był biskup prawosławny Ukrainy, dziadek rozbudował rodowy pałac, osiem kolumn było z przodu, a ja teraz, k..., mam dwie izby i wychodek za stodołą! Twój kuzyn zamiast żonę Rydza-Śmigłego, to powinien teścia zarzącać!

Wtedy babka wkraczała do dyskusji. Dalekiego kuzyna, zięcia dowódcy II Korpusu, nazywała zazwyczaj zdrobniale i pieśczośliwie Bernardynem.

– Bernardyna widziałam dwa razy na oczy, bo to inna linia Romanowskich!

I żeby nikt nie miał wątpliwości, że tak naprawdę było, waliła pięścią w stół, aż porcelanowe filiżanki drżały.

W tę rozbudowę pałacu przez potomka biskupa prawosławnego do końca chyba nie wierzyła, bo nieraz nadmieniała: nie osiem kolumn, ale dziewięć, bo jak dobrze popodglądał dziewczyny na folwarku, to mógł jeszcze własną kolumnę dorzucić.

Goście nie zawsze ustępowali, tylko argumentowali po swojemu i przeważnie dawali głos jeszcze lepiej, że drżały i filiżanki, i szyby.

– Aleksandr Suworow puszczał żołnierzy do ataku na bagnety i oni ginęli, ale dla ojczyzny, a nasi we Włoszech ginęli dla Amerykanów i Anglików! ... I dla kasy dla dowódców! ... Jak nie wierzysz w kolumny, to jedź tam i sama policz! ... Aleksandr Suworow naszych żołnierzy nie puściłby na zdobywanie klasztoru, który Niemcy i tak zamierzali opuścić z braku amunicji do obrony! ... Takich mieliśmy dowódców, że najpierw przegrali wojnę, a później jeszcze sromotniej przegrali pokój! ... Aleksandr Suworow wstawił się za powstańcem Zygmuntem Sierakowskim, jak go mieli wieszać, bo był uczciwy... Ja mam to samo nazwisko, co żona Kazimierza Sosnkowskiego i ona mówiła w telewizji, że ten atak trzeba było inaczej rozegrać! ... Aleksandr Suworow walczył we włoskich górach, w szwajcarskich Alpach, ale to wszystko dobrze rozgrywał!... Jaki dowódca puszcza żołnierzy na pewną śmierć!

I pięściami w stół.

Jednym z zięciów Julianny Bończa-Romanowskiej był Bolesław Antoniszyn. Polski patriota, mimo że nie miał w żyłach kropli krwi polskiej. Jego ojcem był Ukrainiec z polskim obywatelstwem, przedwojenny komendant Policji w Czerkasach, który na początku wojny został aresztowany przez NKWD i ślad po nim zaginął. Matką – Austriaczka Wanda Kröl, córka pianistki i kapitana wojsk austriackich stacjonujących w Krakowie, zamordowanego w niewyjaśnionych okolicznościach. Trzeba też nadmienić, że Wanda była wnuczką majora wojsk austriackich i prawnuczką kapelmistrza austriackiej orkiestry pułkowej.

Numer ewidencyjny Bolesława Antoniszyna w 3 Dywizji Strzelców Karpackich w II Korpusie był następujący: 1919/8 kpr. pchr. park. mat. Pod Monte Cassino został ciężko ranny, ale po kilku miesiącach doszedł trochę do siebie. Przynajmniej na tyle, żeby w Watykanie wziąć ślub. O tym słynnym zwycięstwie II Korpusu mówił: wielka klęska. Przyrównywał ją nieraz do wyprawy włoskiej Aleksandra Suworowa i jego wykąpaniu się

w fontannie we Florencji czy Weronie. Mówił wtedy: my kąpaliśmy się we własnej krwi.

Po demobilizacji pozostał w Anglii i nie krył rozgoryczenia, gdy patrzył na defilady zwycięstwa idące ulicami Londynu, na które nie zapraszano polskich żołnierzy. Prawdopodobnie w nagrodę za walkę o Monte Cassino.

W przekazach rodzinnych Pisarza-kierowcy zachowały się relacje z rozmowy Bolesława Antoniszyna z byłym dowódcą II Korpusu, odbytej w Londynie. Żonie zrelacjonował ją krótko: nic mu nie powiedziałem, bo za dużo naszych zginęło. Zaraz po tej rozmowie postanowił opuścić Anglię i korzystając z pomocy krewnej teściowej, który był zięciem tego, kogo był, wyjechał do Kanady.

W dziesięć lat po zakończeniu wojny dowódca II Korpusu, generał... [autocenzura] przebywał w Sztokholmie na zaproszenie Rady Uchodźstwa Polskiego. Był innego wyznania, ale uczestniczył w mszy katolickiej, gdzie wystąpił z długim, patriotycznym przemówieniem, w którym praktycznie nic nie powiedział. Później był uroczysty obiad, gdzie również długo mówił, ale w przeciwieństwie do pierwszego wystąpienia, powiedział jeszcze mniej. Na koniec jego pobytu zorganizowano wytworny bal. Obok niego tańczył ostatni ambasador II RP w Sztokholmie Henryk Sokolnicki, przedwojenny dyplomata i powojenny korespondent paryskiej „Kultury”, Norbert Żaba, generał II RP Zdzisław Przyjałkowski, córka dyrygenta Emila Młynarskiego, czy minister Wiesław Patek. A także przedwojenny prawnik z Poznania, uniwersytecki kolega dyrektora Rozgłośni... [autocenzura]. Między tańcami dużo rozmawiano i generał po raz kolejny dużo opowiadał, czyli milczał. Tematami była i Marta Rydz-Śmigły, i jego pierwszy zięć, kasa z USA i Rozgłosnia Radiowa... [autocenzura], której dyrektor podczas pobytu w Sztokholmie chadzał krętymi ścieżkami, a po wojnie był posądzany o współpracę z... [autocenzura]. Pytań było dużo, więc generał w odpowiedzi łączywie pił czerwone wino, by nasmarować dobrze gardło i mieć jeszcze lepsze milczenie.

Politycy z uznaniem odnosili się do jego elokwencji, że nie zaprzeczał, tylko swoim milczeniem wygarnął niewygodną prawdę. Nad ranem jeden z polityków zapytał, dlaczego nie wyzwał Polski z Armią Czerwoną, tylko wyprowadził wojsko do Iranu i generał... [autocenzura] zrobił się tak czerwony na twarzy, że czerwone wino, które popijał, było jakby koloru białego. Ta inna forma redagowania odpowiedzi też była zrozumiała dla niektórych, bo twierdzili, że jak dobrze popije, to i do generalnego błędu się przyzna.

Pisarz-kierowca, absolwent prawa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, przyjaźnił się przez wiele lat ze starszym kolegą uniwersyteckim. Po mszy w kościele katolickim w Lund, pili razem kawę w sali parafialnej, a na dziewięćdziesiąte urodziny starszego kolegi Pisarz-kierowca był podczaszym – chodził po sali i nalewał wino do kieliszków.

Przedwojenny prawnik o balu w Sztokholmie wypowiadał się poważnie i rzeczowo; w PRL-u uważano obronę Stalingradu i bitwę pod Kurskiem za główne przyczyny klęski Niemiec, w demokratycznej Polsce przyjęto pogląd, że wyprowadzenie wojska do Iranu i podróż kurierska... [*autocenzura*] przesądziły o kapitulacji III Rzeszy, a niewykluczone, że niedługo bal w Sztokholmie, wydany dziesięć lat po wojnie, będzie uważany za decydujący o jej rozstrzygnięciu.

Uczestniczka balu, córka przedwojennego starosty powiatu lidzkiego twierdziła, że polkę i mazura generał tańczył dobrze.

Daleki krewny babki Pisarza-kierowcy, nazywany przez nią Bernardynem lub Beniem, był blisko, a od czasu do czasu i bardzo blisko zaprzyjaźniony z żoną Edwarda Rydza-Śmigłego. Po wybuchu wojny marszałkowska wywiozła z Polski wielki majątek oraz... wielką wiedzę. Osiedliła się w Monte Carlo, niedaleko słynnego kasyna. Bernardyn vel Benio od czasu do czasu pożyczal od niej kasę. I raz ją oddawał, a nieraz niekoniecznie spłacał swoje zobowiązania. Ona sprzedawała i sprzedawała majątek wywieziony z Polski i żyła na wysokiej stopie. Grała w kasynie, od mężczyzn nie stroniła, ale fortuna topniała i topniała.

I jak wynikało z milczenia Bernardyna vel Benia, coraz bardziej była zainteresowana, by dostać coś z zasobów dolarowych zdeponowanych na przyczepie ciężarówki. Wyplaconych przez Amerykanów jako rekompensata za zrobienie z polskich żołnierzy mięsa armatniego przy zdobywaniu klasztoru oraz na utrzymywanie w Polsce podziemia zbrojnego, które i tak nie miało szans na jakikolwiek sukces.

Ci z Londynu, co trzymali na emigracji kasę, nie za bardzo chcieli się z nią dzielić. A do tego coraz częściej szeptali, że po wyprzedazy wielkiego majątku, może zacząć wyprzedawać wielką wiedzę. I było to wielu politykom nie na rękę.

Bernardyn vel Benio utrzymywał w Wielkiej Brytanii z córką Juliany Bończa-Romanowskiej niewielkie kontakty, bo było między nimi dalekie pokrewieństwo. I z jego głębokiego milczenia wynikało, że co nieco

z krążącej po Europie ciężarówki-dolarówki, poszło do Francji. Cel przekazu oraz adresat nie zostali dokładnie określani, więc sprawozdania finansowego też nie sporządzono.

Według milczenia Bernardyna, główne pozycje po stronie wydatków, to: namówienie oprychów, poćwiartowanie Marty Rydz-Śmigły, wsadzenie Benia do więzienia, wydobyć go z więzienia i przewiezienie do Anglii.

Na terenie Zjednoczonego Królestwa Bernardyn vel Benio milczał. Pary z ust nie puszczał i z tych jego zaciśniętych warg miało wynikać, że generał Włodzimierz Ostoja-Zagórski wiedział bardzo dużo, więc wykąpano go w łaźni „Pod Messalką”, poćwiartowano i utopiono w Wiśle, marszałkowa Marta Rydz-Śmigły miała wiedzę, więc poćwiartowano ją i utopiono w strumyku, zatem on, Bernard Romanowski, nic nie wie i nigdy wiedział nie będzie.

Bernardyn vel Benio milczał i milczał, więc członkowie Rady Trzech postanowili zakończyć sprawę z Monte Carlo i wyprawili go z kasą do Kanady. Po stronie zysków zanotowali: osobiste polityczne ambicje i porachunki, wstrzymanie wyprzedaży wielkiej wiedzy oraz odsunięcie pewnych osób od ciężarówki-dolarówki.

Krewny babki Pisarza-kierowcy zachowywał się wzorowo i w Kanadzie. Trzymał język za zębami i głęboko milczał. Gdy prowadził audycje w tamtejszym radiu, to posługiwał się wyłącznie językiem migowym.

Na początku dwudziestego pierwszego wieku Pisarz-kierowca pojechał do Kanady. Starał się tam pracować w zawodzie kierowcy, ale zewsząd dostał odmowy, bo wszyscy rozmówcy byli dobrymi psychologami. Spotkał się z ciotką, córką Julianny Bończa-Romanowskiej i co nieco dowiedział się na ten temat, co nieco na inny, a i odrobił na jeszcze inny.

Ciotka miała przeszło dziewięćdziesiąt lat i myliła fakty. Jednych wydarzeń nie była pewna, a co do drugich miała duże wątpliwości. Z trzecimi i kolejnymi wydarzeniami historycznymi było bardzo podobnie. Jednego była pewna i wielokrotnie to powtarzała:

– Tobie nie można powiedzieć żadnej tajemnicy, bo zaraz wszystko wygadasz albo o tym napiszesz, a do tego jeszcze to ubarwisz, jeszcze nazmysz, że w proste prawdy nikt później nie uwierzy.

Pisarz-kierowca przytaknął jej trochę głową.

– Mój prapradziadek pracował w majątku Aleksandra Suworowa i miał o nim dobre zdanie, po Rzezi Pragi znienawidził go i wyjechał na Ukrainę, my byliśmy żołnierzami II Korpusu i... i później wyjechaliśmy z Anglii.

Popatrzyła pustym wzrokiem na Pisarza-kierowcę i pokręciła przecząco głową, jakby sama sobie nie wierzyła.

Pisarz-kierowca co nieco wywnioskował z jej półsłówek czy ćwierci zdań, odrobinę z jej milczenia czy mimiki twarzy i w sumie zebrał trochę faktów. Napisał tam na gorąco co nieco oraz nieco co i jak w Polsce będzie kiedyś można mówić prawdę o... [autocenzura], to co nieco opublikuje o tym. I o owym.

Pisarz-kierowca to na pewno wierne odbicie Aleksandra Suworowa. Tamten nie przegrał żadnej bitwy, bo miał przynajmniej jedną klepkę w głowie. Pisarz-kierowca przegrywa wszystko, gdyż z klepkami nie ma tak dobrze. To opowiadanie, sugerujące drobne zadrapania na twarzy... [autocenzura], to też będzie literacką klęską nad klęskami.

Pół wieku po ostatnich hucznych imieninach babki Julianny Bończa-Romanowskiej Pisarz-kierowca autobusu pojechał do swojej wsi. Chciał wrócić do czasów wczesnego dzieciństwa, by rozpocząć na nowo dorosłe życie. Kończył się schyłek nocy, a świt jakby nie miał zamiaru podnieść się z pościeli. Po wieczornej burzy drogę zaścielały zeschłe gałęzie starych drzew i roztrzaskane dachówki z wiekowych dachów. W sadzie obok pnia starej jabłoni leżała odłamana duża gałąź. I jak dawniej, w wysokich topolach nad strumykiem szeleścił wiatr. Na swoim kamieniu siedział staruszek i pozdrawiał gestami przechodniów. Ręką poruszał wolniej niż kiedyś i nie uśmiechał się tak przyjacielsko, bo prawdopodobnie od dawna już nie żył. Duży dom stał na swoim miejscu i wyraźnie czekał na Pisarza-kierowcę.

Właściciel domu musiał spodziewać się gościa, bo czekał z naftową lampą na progu kamiennych schodów. Przywitali się w milczeniu i Pisarz-kierowca wszedł do jadalni. Na środku, jak i pół wieku temu, stał dębowy stół z rzezbionymi nogami. Przed krzesłem Julianny Bończa-Romanowskiej stała niedopita herbata w porcelanowej filiżance. I nadal widać było niewielkie wgłębienia blatu w miejscu, w które biła pięścią. Po drugiej stronie, przy krześle, na którym siedział krewny biskupa prawosławnego Ukrainy, te wgłębienia były większe. On stracił duży majątek na Kresach, więc i reagował mocniej.

Nadal cicho drżały szyby w oknach. Jakby nie chciały wyciszyć się po tych głośnych, chwilami rozpaczliwych krzykach ziemian sprzed pół wieku.

Pisarz-kierowca autobusu, jako najstarszy artysta w rodzinie, usiadł u wezglowia stołu i zaczął patrzeć w to puste miejsce na ścianie, gdzie kiedyś wisiał portret jego babki.

Nad ranem cicho wyszedł z domu.

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Diabeł na placu Zbawiciela

(fragment)

Rozdział 14

Pokrótce. Oto opowiadanie napisane przez wychowanka Jana Wilgę, które zostało sfotografowane przez tajnego agenta Wielkiego Wychowawcy w czasie sekretnej rewizji w mieszkaniu. Na końcu znajdujemy adnotację sporządzoną osobiście przez Wychowawcę. Cała historia o wychowywaniu jest opowiadana zupełnie konkretnej osobie, czego można było się domyślać już wcześniej. Komu i po co? Dlaczego Wielki Wychowawca z takim pietyzmem odtwarza wybrane szczegóły z życia swojego Wilgi? Czemu autor powieści to za nim powtarza? Czytelnik ma jeszcze inne fascynujące zadania do rozwiązania.

PTAK – opowiadanie

Autor: Wilga J.

Pewnego dnia w naszym świecie odbywał się pogrzeb. Umarł Imię Madej. Jego zwłoki przywieziono do kościoła z piwnic służby bezpieczeństwa. Prokurator generalny orzekł, że na podstawie sekcji ciała zmarłego nie wolno nikogo pochopnie oskarżać. Dlatego nad miasto napłynęła fala burz. Przez tydzień z chmur iskrzyło, z nieba lało się błoto, ustała praca urzędów, fabryk i szewców.

Wszelka ludność siedziała w domach. Była cisza. Tylko chrzest gąsienic od czasu do czasu. Czołgi otoczyły cały dystrykt. Potem znowu cisza. Czarne samochody ustawiały się wokół trasy, którą miał przejść ubogi kondukt. Czarno odziani mężczyźni odślonili pistolety i wyskoczyli z samochodów pancernych. Korki oddziałów policyjnych zatkały wszystkie wyloty ulic. Broń maszynową wymierzono w okna kamienic.

Publikację tą pragnę przypomnieć miłe mojemu sercu osoby: śp. śp. Barbarę Sadowską, jej synka Grzegorza Przemyka – świetnego partnera w tenisie, bł. ks. Jerzego Popiełuszkę i arcybiskupa fotografii Erazma Ciołka. Było 19.5.1983 – P.M.N.

W tej samej dzielnicy od czterdziestu lat mieszkał Imię Ptak. Od czterdziestu lat wychodził z domu bardzo wcześnie, a wracał późno, aby jak najmniej osób widziało, że istnieje. Marzył, aby kiedyś udało mu się kupić pancerne szyby do okien i drzwi ze stali szwedzkiej.

Żył zawsze na uboczu, zawsze z dala od zawieruchy, zawsze uległy, gdy mu kazano, i smutny, gdy odbierał pensję, za którą nic nie mógł kupić, bo nie wystarczała na zapalki. Jadł państwowe obiady, ale kolacje musiał już jeść własne. I na to mu już nie było grosza. Nie miał nawet ubrania. Waciak i walonki straciły dawny, elegancki fason. Jakże mógł się komuś pokazać w tak zniekształconym stroju. Zrezygnował z poszukania odpowiedniej kobiety.

Nikt mu nie był potrzebny, więc i on potrzebny się nie czuł. Jeśli byli jacyś ludzie na świecie, to tacy, którzy go straszili swoją obecnością. Przecież każdy może być niebezpieczny. Każdy może zarazić chorobą albo pracą. Lepiej się nie narażać, to skraca życie. Został zatem tylko telewizor, którego szyba wystarczająco oddzielała od pozostałych. Matka umarła, ojca nie pamiętał. Właściwie było mu z tym wszystkim tak dobrze, że nie obchodziły go cudze awantury o kawałek chleba.

Tymczasem z kościoła pod wezwaniem Świętego Stanisława wyszła czarno odziana kobieta z prawą ręką na temblaku. Milicjant, który zabił syna kopnięciem w śledzioną, następnie złamał przedramię matce, aby nie mogła przeżegnać się krzyżem. Trumnę ze zwłokami wrzucono do szarego samochodu. Ksiądz wypowiedział kilka słów modlitwy i wrócił do świątyni. Nie chciał prowokować uzbrojonych kordonów.

Kondukt ruszył.

Ulica była pusta. Nikt nie odważył się oddawać czci ofierze. Ofiara zawsze ciągnie za sobą oprawcę, a ten stale planuje dalsze zbrodnie.

Imię Ptak siedział u siebie przed telewizorem i obserwował sprawozdanie z pogrzebu. Spiker głośno się zalił, że zmarły Imię Madej został dotkliwie pobity przez lekarzy, i doznał wylewu krwi do brzucha, po czym przez pięć dni męczył się bez jakiegokolwiek pomocy. Złapano trzydzieści karetek pogotowia ratunkowego ze złymi lekarzami i wykryto, że co najmniej ośmiu mogło być zbrodniarzami. Natychmiast skazano ich na ciężkie roboty, odbierając prawo do praktyki lekarskiej nawet w kamieniołomach. Imię Ptak był tym przerażony, bo właśnie zamierzał pod osłoną najbliższej nocy pójść do dentysty. Teraz będzie musiał zrezygnować, przecież nie narazi siebie na bicie po głowie albo wstrzyknięcie trucizny w dziąsło.

Kondukt jechał bardzo powoli, ponieważ nie udzielono licencji, a z samochodu wyjęto silnik i podłogę w szoferce. Kierowca opuścił nogi

na jezdnię, aby odpychać pojazd. Jeden krok wystarczał ledwie na ćwierć obrotu kół. Matka zmarłego Madeja zeskoczyła na asfalt, aby karawanowi było lżej. Ciężar, jaki dźwigała w sercu, był ogromny.

Imię Ptak widział na ekranie potężny tłum kroczący za szarym samochodem z trumną. Co chwila wznoszono okrzyki. Żądano likwidacji medycyny wraz z lekarzami. Spiker namawiał widzów na kieliszek koniaku. To najlepsze lekarstwo na wszystko.

Kamera od czasu do czasu przybliżała się do twarzy pięknej matki zabitego Madeja. Ta twarz była tak śliczna, delikatna i świeża, że Ptak podciągnął stół pod kolana. Chciał się w nią wpatrywać bez przerwy, ale obraz po chwili przesuwał się na gromady ludzi z transparentami i buzia chowała się poza ekran. Imię Ptak zagryzał wtedy wargi do bólu.

Tymczasem na prawdziwej ulicy osamotnione auto pogrzebowe sunęło wśród ciszy zakłócanej szcękami sprawdzanych zamków w karabinach. Odzywało się szczekanie milicjanta, który nadawał komunikat przez radio. Spadały liście z drzew, które zaczęły gwałtownie schnąć. Gałęzie zwiotczały i zsunęły się ku ziemi. Samochód, pchany nogami szofera, musiał się teraz przedzierać między stertami chrustu otaczającego nagie słupy pni.

Imię Ptak miał przed sobą wizerunek twarzy tej cudownej kobiety ukazanej przez telewizję. Już nie dostrzegał innych obrazów. Sięgnął po pismo pornograficzne, aby obudzić swoje dawne zainteresowania, rozłożył na stole, ale to na nic, potrzebna mu była żywa kobieta. Znowu przez moment zobaczył ją na ekranie. Kadr trwał dłużej niż zwykle, jakby odgadnięto potrzeby Ptaka. Jednak za krótko, aby spełnić pożądanie. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Już nie patrzył na telewizor. Lękliwie odsłonił firankę.

Zobaczył aleję ze sterczącymi kikutami kasztanowców, zawałoną chrustem, liśćmi i konarami. Pośrodku długiej drogi przesuwał się popielaty, mały autobus, za którym chwiejnie, drobnymi kroczkami stąpała kobieta zawinięta w zwój czarnej papy. Ptak bezskutecznie wypatrywał ludzi. Chwycił lornetkę i przybliżył ją do oczu, ale nie ujrzał nikogo więcej. Matka zmarłego widoczna była tylko z tyłu. Mógł sobie wyobrazić, jak wygląda, bo przecież ciągle miał jej wyrazistą urodę przed oczami.

Teraz zerknął na telewizor. Tak, kamery się nie myliły. Wszystko to samo, ta ulica, ten samochód i ta kobieta. Jedynie tłumy różniły oglądane obrazy. W telewizji szły równe czwórki, a na ich czele podskakiwali sekretarze.

Imię Ptak przetaił oczy.

Był chory, najwyraźniej dokuczała mu gorączka. Szybko zmierzył temperaturę pod pachą. Miał czterdzieści stopni ciepła. Jednak odwrócił

termometr i odczytał pięć. Mała pociecha. Czterdzieści to za dużo, pięć za mało. Był zatem chory na jedną z dwóch możliwych temperatur. Przeraził się swoim stanem. Od dawna podejrzewał, że nie jest normalny, ale nie sądził, że aż tak bardzo. Wiele lat temu przestały mu smakować papierosy, a po jednym kieliszku wódki wymiotował szklaną stłuczką. W pracy zwrócono mu uwagę, że jest zielony i oczy wystają jak na szypułkach.

Otworzył okno. Rozległy się strzały, ale żaden nie trafił go w głowę. Sypały się szyby, zawaliła się roztrzaskana futryna. Ośmielony nieskutecznością kanonady, stanął na parapecie, rozłożył ręce i odepchnął się nogami.

W chwilę potem podnosił się z kałuży krwi na chodniku. Nie zważał na kule, które go siekły wściekłymi seriami. Wyjmował je z ciała i rzucał za siebie. Ruszył za konduktem. Miał kilkaset metrów do przejścia, a że szło mu się całkiem dobrze, wkrótce dogonił kobietę z gipsem na ręku. Zostawiał na drodze czerwone ślady stóp.

Ze zdumieniem zauważył, że z kilku okien w budynkach otaczających aleję wyskoczyło wiele innych osób. Również i one podnosiły się z wysiłkiem, podbiegały do Ptaka i formowały pochód. Nad jezdnią ciemniało od pyłu wzniecanego przez szalejące pociski. Kurz wdierał się w oczy, usta i uszy. Mimo to tłum rósł z chwili na chwilę, aż wypełnił trasę po brzegi. Grzmot strzelaniny był ogłuszający, domy drżały w posadach. Ludzie szli po trupach i nie zważali na nic.

Samochód stanął. Kierowca z dziurą w czole zwałił się z szoferki jak wiotka kłoda. Jednak mężczyźni naparli na tył wozu i popchnęli go barkami. Kondukt ruszył dalej wśród nieprzejezdnej kanonady. Ptak już miał się przyjrzeć twarzy kobiety, ale auto zaczęło zbaczać, więc wskoczył do kabiny i kierownicą wyprostował kierunek jazdy.

Na szczycie kikuta jednego z drzew pojawił się fotograf. Potem widziano go na innym pniu, na stopionej od żaru ognia artyleryjskiego latarni, na drutach telefonicznych. Ludzie wznosili ręce do góry z rozstawionymi dwoma palcami na wzór litery V. Podpierali się nawzajem, aby wytrwać w marszu.

Imię Ptak kurczowo trzymał kierownicę. Strzał wyrwał z jego twarzy kawałek szczęki. Jechał przebijając energicznie nogami. Wspierany przez pchających, ciągnął ten samochód. Gorączka trawiła go bardzo silnie, w brzuchu czuł płomienie.

Kiedy zbliżyli się do celu, grabarze czekający z łopatami porzucili narzędzia i uciekli w głąb cmentarza, chowając się za stare groby. Milcząca ciżba, wskazująca rozkraczonymi rękami niebo, wdarła się i oblepiła drzewa. Pośrodku parku ziała wielka dziura, wykopana dla wiezionej trumny.

Imię Ptak wyszedł z szoferki i odszukał wzrokiem matkę zabitego Madeja. Spomiędzy czarnych zwojów widać było płamę głowy tej młodej kobiety. Zbliżył się, bo chciał zobaczyć twarz. Ale twarzy nie było. Na jej miejscu widniało złotawe cierpienie, błyszczący, szklisty ból. Podniecony tak wspaniałym zjawiskiem podbiegł jeszcze bliżej i przytulił do siebie delikatną figurkę. Poczul słodki oddech gryzoty. Dotykał porcelany.

Miał już mało krwi w sobie, więc nie słyszał szelestu trumny wpuszczanej do dołu, ani złowrogiego szmeru tysięcy ludzi. Słowa wypowiedane nad grobem były puste i kołatały w jego uszach jak stalowe kulki.

Obejrzał się. W alei ślady po pogrzebowym marszu były wyraźne. Setki ludzi padłych głową do przodu. Wstrząsnęło to nim straszliwie. Niektórzy jeszcze drgali. Upadł prosto na świeżo wzruszoną ziemię.

Imię Ptak ocknął się, pobudzony dusznością. Leżał skrępowany, nie mógł zrobić żadnego ruchu. Nad sobą, tuż nad twarzą zobaczył gładko ostrugane deski. Tracił oddech, nie było powietrza. Jeszcze słyszał stuk grudek gliny spadających na jego trumnę. Jeszcze docierał do niego pobożny śpiew. Odpływała przytomność. W gasnącej świadomości znów pojawił się wizerunek ślicznej dziewczyny, która odprowadzała syna na wieczny odpoczynek. Czuł, że będzie ją kochał. Chciał mieć z nią dziecko i wychować je na dużego chłopca. Chciał, aby była mu matką, żoną i wolnością.

Na ekranie niewyłączonego telewizora w mieszkaniu Ptaka jeszcze raz pokazano piękną dziewczynę. Kamera nieco odjechała. Można było zobaczyć prawie całą postać. Trzymała za skrzydło bociana, który się do niej łąsił i przymilał ze zdechłą żabą w dziobie. Była w ciąży.

Zanim sąsiedzi się zorientowali, odbiornik pokazywał obrazy jeszcze przez dwa tygodnie. Kiedy postanowili włamać się do mieszkania, zastali okropny widok. Imię Ptak siedział martwy na fotelu z pogryzionymi oparciami. Z głośnika telewizora szedł marsz wojskowy. Podłoga usiana drzazgami trzeszczała pod nogami.

Tę śmierć trzeba było ukryć. Nikt nie chciał pozwolić, aby powtórzył się pogrzeb Madeja. Imię Ptak został cichcem pochowany w jednej z warszawskich piwnic.

KONIEC OPOWIADANIA JANA WILGI

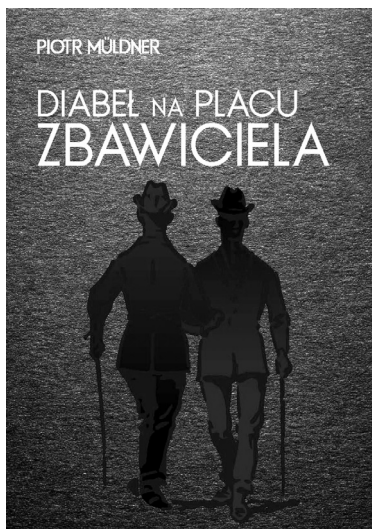
NOTA

Tekst, który przytaczam panu prezydentowi w całości, jasno określa intencje autora, młodego Jana Wilgi. Zrozumiałem na tej podstawie, że wie on o życiu w naszym kraju więcej, niżby wynikało z raportów. Wilga zapragnął odrzucić od siebie cały balast tej zaskakującej wiedzy i wyciągnąć wnioski. A najprostszym wnioskiem, jaki musiał się nasuwać, było to, że konieczne jest podjęcie walki ze stylem życia, który pozbawia człowieka duszy. To sprzyjało naszej wielkiej strategii i miało dość duży wpływ na taktykę. Wystarczy panu podać, że pani Malinna zna to opowiadanie na pamięć i uważa je za modlitewną przypowieść. Adres piwnicy nie jest tu istotny. W dodatku cała ta nowelka została zadedykowana przez autora wybitnemu fotografowi Erazmowi Ciołkowi z opozycji, który to krył się i przemykał w koronach drzew wzdłuż całej trasy przemarszu pogrzebu Grzegorza Przemyka (co za zbieg wyrazów, prawda? wręcz agresywnie nieprzypadkowy, co wskazuje, jak ostro należy ich tępić), syna Barbary Sadowskiej, i wbrew zakazom robił zdjęcia, które następnie ukrył tak doskonale, że solidna rewizja do dziś niczego nie wykazała, a Wilga je jednak gdzieś ma. W sumie artyści tradycyjnie są przeciw nam.

TEKST TAJNY: Y nto tsi einy cinwyp serda. Sceiwopyz r'pan we tildom az ej azawu. I ceimap an eina dai wopoot an zan nilam inap.

(Wiel. Wych.)

Piotr Müldner
Diabeł na placu Zbawiciela
 Wydawnictwo LTW
 Łomianki 2021
 Stron 320
 ISBN 978-83-7565-756-2



Wiesława Oramus

Pani i drzewa

Pani stoi pod drzewem. Wieje leciutki wiatr, w powietrzu unosi się żółty pyłek, osiada na skórze, włosach, garderobie.

Pani wie, że trzeba to zaakceptować, jeżeli chce się nasiąknąć zapachem kwiatów lipy, wnieść go do swojego lokum, bo jest zależność między wiatrem, pyłkiem, a nastrojem, który zapanuje w mieszkaniu; dobrostanem, tak coraz trudniejszym do osiągnięcia wraz z upływem lat bez żadnych zabiegów.

Pani dostrzega zależności, ale i zależności między nimi samymi, często gra nimi, wprowadza jedne, eliminuje inne, hierarchizuje je, wiąże ze sobą, dorzuca, lubi mieć wpływ na nie i na to, co tworzą. Oczywiście w miarę możliwości.

Teraz stoi pod drzewem, wdycha zapach przekwitających kwiatów, nie strząsa z siebie, nie chroni przed złocistym pyłkiem.

Nie oznacza to lekceważenia formy, materialności świata, kosmosu, swojej.

Wiele drzew wypełniło swoim kształtem pamięć, stało się elementem biografii.

To przecież stojąc obok magnolii, gdy znowu przetaczało się przez duszę kłębowisko zależności złych, destrukcyjnych, tworzonych przez jakieś grupy ludzi, dostrzegła pojedynczość kwiatu jako istotę świata, jego sensu.

Były też drzewa, jak smukłe panny z rozwianym włosom, które chciały złapać, zagarnąć tylko dla siebie, dla swojej egzystencji, pajęczyny emocji, oczekiwań wobec każdego, żadnych miłości, uwielbienia, słuchania ich opowieści, podziwiania ekspresji ich emocji, każdego ruchu, gestu.

Były leczące jakimś nietypowym kształtem liścia albo owocu duszę udręczoną destrukcyjną monotonią dnia codziennego i wyciszające chaos, bezład widokiem rzędów tak samo równo przyciętych – jak pod linijkę.

Były zachęcające poprzez konstrukcję pnia do wspinania się, dla samego wspinania się w górę, na czubek albo tylko na najniższy konar, i przesuwanie się po nim, albo dla jakiegoś owocu, albo bujania się, rozkołysania drzewa, albo poddawanie się kołysaniu, rytmowi, kierunkowi wyznaczonemu przez wiatr.

Gubienie się wśród nich mimo zachowana wszystkich wyuczonych i wypraktykowanych zasad poruszania się w lesie i kręcenie się, w kółko, w prawo, lewo, do tyłu i coś, co zawsze pomagało odnajdywać drogę – może sztuka panowania nad emocjami.

I były też takie napierające jak postacie ludzkie, ohydne, ze złych snów, wspomnień horrorów, baśni o potworach z jednych okiem na środku czoła, twarzą bez ust, albo będącą tylko ustami.

Takie, pod którymi można było spotkać cztery pory roku, bo i zielone kępy trawy, nad nimi zwiędły liść i przebijające się przez grudki śniegu krokusy.

Leczące kolorem i oddające kolorem wszystko, co najgorsze spotkało. Były poszukiwane dla jakichś celów, często odwiedzane, widziane tylko raz, dwa razy.

Były z nadmiaru, z braku, zamiast.

No a przecież kiedyś tam, przechodząc obok jakiegoś drzewa, usłyszała jak dziewczynka, mijająca ją, trzymana za rękę przez opiekunką powtarza... pani, pani...

Skojarzyło się to z uproszczonym rysunkiem kobiecej sylwetki w niektórych przybytkach, z rysunkami dzieci, z... całym systemem znakowania czegoś najprostszymi znakami, światem logo. Zaczęło się to też jawić jak jakiś alternatywny byt? olejny, bo ten wśród drzew nie powstał tak błyskawicznie, od jednego słowa, nawet gestu, zaklęcia.

Ten powstawał powoli, wyłaniał się jak z oceanu. Czegoś? Jak zatopiony łód – przez kogoś, z jakiegoś powodu – może tylko z konieczności zarabiania na życie? Co oznaczało relacje z ludźmi, dla ludzi, i powoli stawało się esencją bytu, samym bytem. Miało być pokarmem, stało się trucizną.

Drzewa nie trują, chociaż jedno z nich przypomniało, że można stać się skorupą, wypełnioną próchnem. No i drzewa nie mówią!

A to „pani, pani”? Zaczęła tak o sobie myśleć, pozbywać się czegoś. Czego? Co to było? Wyskubywanie z siebie zdarzeń, faktów, doświadczeń? Z tego kosmosu doświadczeń, relacji z ludźmi tworzenie zależności między nią a drzewami? Różnych, bo teraz chociażby skupionych na zapachu, na doniesieniu go do swojego lokum, wypełnieniu go nim, uchronieniu go przed zmieszaniem z jakimkolwiek innym, zwłaszcza ludzkim, chociaż jest on i tak łatwiejszy do zaakceptowania niż materialność, wizualność człowieka, obraz zewnętrżności, ruchy, czyny i reakcje...

Tylko czasami – idąc w górę, w dół, prosto przed siebie, albo schodząc, doświadcza z przyjemnością obecność człowieka – poprzez kształt

przyciętych krzewów, drzew, nadane im formy – bez widoku jego samego. Jak ducha czy obrazu czyjejś duszy. Nie przeszkadzającego swoją obecnością w kontemplowaniu jego dzieła.

Takich obrazów, lubianych, podziwianych przez panią jest wiele, ale dziś... Dziś wróci pani do swojego lokum oblepiona zapachem kwiatów lipy a nie ludzkimi oczekiwaniami, emocjami, żądaniami, żądzami, słowami kreującymi byty, których nie ma, nie było, formy, służące jakimś potrzebom, korzyściom, oblepiającymi nie tylko skórę, przedostającymi się do krwioobiegu, zatruwającymi cały organizm. Pójdzie między drzewami. Otoczona samą sobą. Jak odnalezionym zagubionym lądem, przyproszonym pyłkiem. Będzie w swoim lokum czekać na efekty terapeutyczne.

Wiesława Oramus

Alicja Patey-Grabowska

Ogórek

A wydarzyło się to w mieście D, w Europie, o czym pisały poważne bulwarowe gazety jak: „Ecie pecie”, „Qui pro quo”, „Duby na pudy” i inne wabiące kolorowymi tytułami popołudniówki.

Otóż na zakończenie sesji „Wpływ ogórka na kreatywność naczelnych”, w czasie której wygłaszali długie i zawile referaty znakomici uczeni, odbył się bankiet.

Długi stół na całą salę, przykryty białym obrusem, obłożony talerzami i talerzykami z kanapkami z wędliną i żółtym serem, udekorowanymi pociętymi w plasterki ogórkami, ale i całymi ogórkami w słoikach, budził zachwyt abstrakcyjno-surrealistycznymi kolorami, nie mówiąc już o lekko kwaśnym, ostrym zapachu, który przenikał przez uchylone drzwi jadalni bankietowej do sali obrad, drażniąc nozdrza i podniebienia dostojnych uczestników konferencji.

Dzwonek. Koniec obrad.

Przez szeroko otwarte drzwi wypłynęła tłocząca się fala. Aby szybciej. Aby bliżej stołu. Ogórki swoją żywą zielenią przyciągały jak magnes. Kilkadziesiąt rąk chwyciło kanapki. Widelcami w kiszzone ogórki. Do ust. Łapczywie. Szybko.

Tłum wciąż napiera.

Malutki profesor Z. z kozią bródką, w rogowych okularach, na próżno usiłuje dostać się do stołu. Wciąż odpycha go profesor nadzwyczajny D., wielki, barczysty, o wydatnym brzuchu, łysy, z czerwonymi nalanymi policzkami. Ale profesor z kozią bródką, znany uczony, wpadł na genialny pomysł. Schylił się i wcisnął pod uniesioną rękę barczystego profesora.

I nastąpił istny pojedynek. Już barczysty wyciąga rękę po kanapkę, a kanapka znika. I to raz po raz. Wyciąga rękę w stronę słoika z kiszonymi ogórkami, ale słoik znika. Gdzie?

– A mam cię – zawarczał barczysty i schwyciwszy uczonego z bródką za cienką szyję, próbował go unieść jak kurczaka do góry.

– Nie życzę sobie – zapiszczał profesor z bródką – takiej agresji.

– A! Profesor Zydelek! – zasyczał barczysty. – To tak się robi? Zabierać komuś spod nosa?! I to mój akademicki kolega!

Tłum napiera. Doktorzy nauk i profesorowie płci obojga napierają na stół, odpychają się łokciami.

Nagle stół zatrzeszczał, zakołysał się, runął blat z talerzami, półmiskami, słoikami. Potoczyły się ogórki. Kanapki rozdeptywane. Krzyk. Pisk. Wrzask. Fotoreporterzy obecni na sesji i bankiecie zacierają z uciechy ręce. Błysk fleszy. Szum kamer. Kelnerzy w czarnych garniturach i białych koszulach, z serwetami w rękach biegają bezradnie.

Dwaj oponenti, profesor z kozią bródka i profesor barczysty, na czworakach chwytają toczące się po podłodze ogórki. I nie tylko oni. Pięćdziesięciu ważnych uczonych przyjęło pozycję godną czworonogów.

I takie było zakończenie sesji na temat: „Wpływ ogórka na kreatywność naczelnych”.

Alicja Patey-Grabowska

Z przygotowanego do druku tomu grotesek pt. „Zez rozbieżny”

Maria Jolanta Piasecka

Przeobrażenie¹

motto

w losie kielkuje grad

białe ziarno

daje wodę życia

Zawiazki kłosów wypuściły pierwsze cieniutkie wąsy. Wkrótce roślinki nabrały sił, łodyżki napęczniały, wreszcie do niedawna jeszcze wiotkie zboża zaczęły falować. Wieśniacy z radością patrzyli na swoje pola. Nikt we wsi nie miał wątpliwości, że plony będą udane. Skąd brała się ta pewność, że zboże tego roku obrodzi obficie? Może brak kąkoli i maków zwiastował urodzaj, może szum wiatru pozwalał przeczuć to, co jakoby miało nadejść.

Hagalaz i Edda mieszkali na skraju wsi. Ich zboże niczym się nie różniło od tego, które zasiali sąsiedzi. Kłosa i łodygi wyglądały zdrowo i dorodnie. Na pierwszy rzut oka w zielonych łąkach nie było widać niczego niezwykłego, oni jednak dostrzegali w swym zbożu potężniejszą niż zwykle siłę słońca i większy upór ziemi. Mieli pewność, że tegoroczne uprawy różnią się od tych z lat wcześniejszych. Hagalaz dawno już tak się nie cieszył. Liczył po cichu, ile sprzeda beczek ziarna. Za uzyskane pieniądze chciał wreszcie kupić wymarzone owce. Wieczorami, po ciężkim dniu, zastanawiał się z żoną, która rasa jest najbardziej przydatna w gospodarstwie i która daje najwięcej wełny.

Pewnego dnia niespodziewanie z północy nadciągnęły ołowiane chmury. W jednej chwili niebo stało się czarne. Wiatr z furią natarł na zielone pola. Hagalaz nie bał się burz ani ciemności, jednak w tym nagłym załamaniu się pogody dostrzegł wielkie niebezpieczeństwo. Przez lata oswajał się z kapryсами przyrody, umiał zabezpieczać się przed nimi w porę, ale tym razem czuł się bezradnie – nie wiedział dokładnie, w obliczu jakiego zagrożenia stoi. Lękał się o swych bliskich. Przeczuwając najgorsze, skrył się z żoną i dziećmi blisko domu w wykopie, gdzie zwykle trzymali mleko. Przytulając do siebie mocno córkę i synka, czuł, jak dzieci drżą ze strachu.

1 Fragment z tomu *Przypowieści z Ziemi Run*, Dom Wydawniczy tCHu, Warszawa 2016

Słyszał dochodzący z zewnątrz świst i huk, jakby ziemia była smagana lawiną kamieni. W pierwszej chwili pomyślał, że to może grad, ale przecież lodowe ziarno nigdy nie dudniło tak głośno. Cóż więc to mogło być? – pytał siebie. Pragnął, by łomot skończył się jak najprędzej i szeptem błagał o to boga Odyna.

Wreszcie nastała cisza. Hagalaz i Edda, zostawiwszy dzieci w wykopie, wyszli na zewnątrz. Zamarli z przerażenia. Patrzyli w osłupieniu na ziemię usłaną bryłami lodu wielkimi jak pięść, które w promieniach przebiegającego słońca zamieniały się powoli w wodę i wsiąkały w glebę. W jednej chwili zrozumieli, że nie będzie ani bogatych plonów, ani owiec. Ich dom, z doszczętnie zrujnowanym dachem, wyglądał jak strzaskane piorunem drzewo, zaś zboże leżało zmiażdżone lodowymi bryłami.

Gdy podnieśli głowy i rozejrzeli się dookoła, raz jeszcze zamarli przerażeni i zdumieni. Grad spustoszył jedynie ich pola, oszczędzając uprawy sąsiadów! Dlaczego los dotknął właśnie nas? Przecież złożyliśmy Odynowi ofiarę z mięsa i napoju. Czym zawiniliśmy? – zadawali sobie pytania, na które nie znajdowali odpowiedzi.

Ludzie ze wsi szybko się skrzyknęli i zaczęli pomagać nieszczęśnikom ze wszystkich sił. Hagalaz i Edda dziękowali za dobre chęci i życzliwość, wiedzieli jednak, że czeka ich bieda, której będą musieli zaradzić sami. Hagalaz starał się nie poddawać rozpacz. Nie pierwszy przecież raz dotykała go niedola. W pierwszej kolejności chciał zreperować dach. Naprawianie zniszczeń wymagało czasu i cierpliwości. Gromadząc drewniane bale, popadał w zadumę, a pamięć podsuwała mu obrazy z odległej przeszłości.

Ojca i matkę stracił, kiedy opuścił dwór konunga Granmara, gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość. Uczył się tam przede wszystkim śpiewu, gdyż miał najdźwięczniejszy i najmocniejszy głos ze wszystkich skaldów, a także niezwykle talent do rymowania. Z męskich serc potrafił tonem głosu wykrzesać odwagę a z niewieściach dobyć melodią więcej tkliwości. Wydawało się, że jego przyszłość jest ustalona i pewna, lecz piękny głos wzbudził zazdrość. Rywalizujący o łaski konunga skaldowie uknuli spisek przeciwko rodzicom Hagalaza, a Granmar dał wiarę kłamstwu, pozbawił ich majątku i wypędził ze swojej ziemi. Ruszyli na tułaczkę bez dobytku, każdy mógł wziąć ze sobą tylko to, co zdołał unieść.

Dobrze pamiętając poniewierkę i śmierć rodziców w nędzy, Hagalaz wybrał spokojne życie wieśniacze z dala od zgiełku wielkiego świata oraz intryg zazdrosnych dworaków. Uprawiając ziemię, zaniedbywał głos i śpiewane niegdyś pieśni, z rzadka tylko nucił swoim dzieciom rymy o czynach

przodków. Mozół pracy w polu stopniowo tłumił dawne zdolności. Ale czy do końca? Niekiedy Hagalaz miał wrażenie, że jego serce zachowało eposy o bohaterach i pieśni o bogach.

Parę dni po katastrofie, zmęczony ciosaniem drewnianych bali, Hagalaz usiadł na pniu, przymknął oczy i się rozmarzył. Wyobrażenia podsuwała mu obrazy z dawnych mitów, młot boskiego Thora, wędrówki Odyna, walki z olbrzymami oraz słynne czyny własnych przodków. Uśpione pieśni rozbudziły w nim radość życia. Patrzył na zrujnowany dom, zniszczone pola i jakby nie dostrzegał już strat. Podola wyzwaniu, naprawi dom, ma dostatecznie wiele sił. Da radę, ludzie nie odmówią pomocy. Z żywnością będzie skąpo, ale przetrwają, a w przyszłym roku ziemia wyda nowe plony. Choć grad zniszczył uprawy, nawodnił przecież ziemię i pojawiła się nadzieja. Lecz Hagalaz nagle posmutniał. Gdy już wszystko odbuduje, zbierze nowe ziarno i kupi upragnione owce o gęstym runie, będzie przecież nadal tym, kim się stawał przez lata. Wybrał życie wieśniaka – ale czy życie tego właśnie od niego chciało? Czy nie sprzeniewierzył się prządkom losu: Urd, Skuld i Verdandi?

Hagalaz poczuł się tak, jakby ten grad, który zniszczył dom i pole, zniszczył też pewność, że ma być tym, kim był do tej pory i że ma robić to, co dotychczas. Prawdziwym nieszczęściem było przecież to, że przez długie lata tracił swój talent i bezwiednie oddalał się od samego siebie. Zrozumiał, że musi czynić dalej to, czego wyrzekł się po wygnaniu i śmierci rodziców. Prawdziwym fundamentem, na którym powinien zbudować swoje życie, był śpiew.

Spróbował coś zanucić. Z początku głos wiązał mu w gardle. Zamknął oczy, by się skupić. Po kilku próbach dźwięk zabrzmiał czysto i Hagalaz zaśpiewał od początku do końca pierwszą pieśń, której się niegdyś nauczył: *Pieśń Trzech Norn: Urd, Skuld i Verdandi*. Jej słowa mówiły o tym, jak bardzo człowiek zależny jest od okrutnego i łaskawego zarazem losu i jak bardzo trzeba się starać, by zasłużyć na dobre imię. Gdy fala natchnienia opadła, śpiewak nie zapomniał o tradycyjnym wersie zamykającym wykonany utwór: „Błogosławieni ci, którzy słuchali”.

Otworzył oczy i aż przetarł je ze zdumienia: oto ujrzał wokół siebie grupkę swoich sąsiadów. Na ich twarzach widział zachwyt i ukojenie. Cisza trwała jakiś czas, po czym ludzie zaczęli podchodzić do Hagalaza i brać go w objęcia. Niektórzy odchodzili, by wkrótce powrócić z darami i monetami. Ściskali mu dłonie z uśmiechem, prosząc, by śpiewał dalej. I zabrzmiała radosna *Pieśń Olbrzymów* o szczęściu odnalezionym w tańcu,

a potem przejmująca *Pieśń Najwyższego* o bogu Odynie, który wisząc na świętym Yggdrasilu otrzymał Runy i podarował je ludziom. Gdy o północy zmęczony, lecz pokrzepiony na duchu Hagalaz skończył śpiewać, dojrzał wokół siebie dostatecznie wiele sprzętów potrzebnych do życia. Miało ono rozkwitnąć dzięki mocy wody, która jako grad zniszczyła to, co stare, by zakwitło nowe. Odrodzony skald dziękował słuchającym, czując, że w zapomnianym talencie odnalazł swój prawdziwy dom.

– Co cię nie złamie, to cię wzmocni, jak mawiają. Na uczcie u Odyna będziesz pił miód z największego rogu, należnego skaldom – dotarły do niego słowa Eddy, która podeszła do męża rozpromieniona.

– Tak mawiają – zadumał się Hagalaz. – Chociaż nie wiem, czy wzmocniły mnie intrygi dworskie lub przedwczesna śmierć rodziców. Teraz jednak stało się coś innego. Nazwałbym to tak: Co cię mocno ugodzi, to cię szybko odrodzi...

– Jeśli jest z czego – szepnęła z wahaniem Edda.

– Być może każdy nosi w sercu podatną glebę – powiedział Hagalaz, patrząc na swoje wilgotne pole. Czuł, że od tej chwili pragnie śpiewać nie tylko ludziom, ale także Ziemi.

Maria Jolanta Piasecka

Krzysztof Rudziński

Z tomu opowiadań: *Nadgryzanie Gryzonii*

Las Bielański z matecznika marzeń

Na ogół w cieplejszych porach roku zabierano nas wszystkich – poczynając od *maluchów* aż do *starszaków* – na teren zabaw, do odległego o niespełna kilometr Lasu Bielańskiego. Bardzo lubiłem te wycieczki ze względu na wprost nieprzebrane bogactwa przeżyć jakie na mnie tam oczekiwały. Już sama droga dostarczała wyobraźni charakterystycznych miejsc w krajobrazie jako gruntu dla tych alternatywnych, niejako imitatywnie drugopłanowych zdarzeń, które w stosownej chwili wysnuwały się z niej przy okazji, oczekując tylko, aby wciągnąć, któregoś z bardziej tym zaciekawionych w swoje podskórne, inklinujące sploty. Zwykle były bowiem za każdym razem zaczepiać wyobraźnię, kiedy się obok nich blisko przechodziło – przypisaną im szczęśliwym trafem tą albo inną własną propozycją. Odwracając uwagę od spraw wiodących wędrówki naszej, dostępnych namacalnie na każdym kroku, obiecywały łaszące się do nóg zamienne odnogi zdarzeń, zawoalowany obejściem wystrój drogowy, odmienną maskę wędrowniczkę, o jakiej nam się dotąd nawet nie śniło. I doprawdy, trzeba było bardzo uważać, aby nie ulegając powabom, tej przez jedną chwilę z rzucających się nam w oczy ciągot, próbującej już gruntu pod naszymi nogami – dotrzeć w tych przedszkolnych parach na ten zaplanowany na dzisiaj teren zabaw w Bielańskim Lesie.

Nie ujmując zaś nic ze sławy tej wielkiej polany naszych przedszkolnych uciech – z umywalkami pod chmurką i torem kolarskim, ze zjeżdżalniami, huśtawkami i karuzelami, z karawelą z bocianim gniazdem, a nawet z blaszanym, naturalnej wielkości słoniem indyjskim, tak oswojonym, że pozwalał nam wszystkim wchodzić sobie na głowę, to dopiero stawiając się w dobrym świetle na tym słoniu i dając się poznać pani z tej dobrej strony – udawało się, będąc mile widzianym – tak jak dzisiaj, w upatrzonym momencie zniknąć jej z oczu.

Zaszywając się w otaczającym podszycie, wychodziło się obronną ręką z drugiej strony, a wtedy w innym świetle okazywał się on być pretekstem – sprzyjającym gruntem pod nogami, wiodącym stąd jednym słowem

– prosto – do odkrytego niedawno szczęśliwym trafem, oddanego mi na wyłączność, matecznika marzeń. Bo co by o nim nie powiedzieć, naprawdę był tylko odwrotną, niewidzianą wcześniej stroną leśnych podszytów. Lubiał bowiem zaraz w moich oczach przeistaczać się w okolice znanych mi baśni, a pociągając za sobą coraz dalej, doprowadzać do takich ostępów, gdzie ukazywanie się wielkiej baby w długim kozuchu, podobnej słowo w słowo do tej za górami, za lasami Janiny Porazińskiej, po zapukaniu w najgrubszą z sosen – było rzeczą na porządku dziennym. Trzeba było tylko uważać, aby nikt więcej nie był tego świadkiem, bo baba humorzasta i płochliwa, najzwyczajniej byłaby zaraz z innej bajki, a tam mógłbym jej wcale nie spotkać. Ale kiedy widziała mnie oddanego sobie, stojącego niczym słup soli, z otwartą gębą, potrafiła odpłacać pięknym za nadobne. Nie tylko, jak miała w zwyczaju, stoliczkiem, który się sam nakrywał na zawołanie, czy równie u niej powszednimi kijami samobijami, ale – nazwijmy to – wyższymi stanami ducha, kiedy wiedziało się jak ją podejść od właściwej strony. Wtedy nie groziło nic złego, a co człowiek doznawał, to tylko powiem, że bez trudu można było przenieść się wtedy w czasie w tym Lesie Bielańskim, z czego, zwłaszcza jeśli chodzi o dawniejsze czasy, w których chciałem się znaleźć, wielokrotnie skwapliwie korzystałem. Trzeba tylko było być cicho i w samej rzeczy nie doszukiwać się niczego nadzwyczajnego, bo baba zniknęłaby w sośnie i nic by z sosny więcej nie wyszło. A tak, chodząc niespiesznie pomiędzy drzewami, klucząc od jednego do drugiego i następnego, zdarzało się doświadczać na własnej skórze, że nagle zza któregoś z nich wyłaniała się postać, którą już wcześniej się znało z ilustracji w tej czy innej przeczytanej książki. I nie czyniła różnicy – rodem z baśni, kroniki czy latopisu – jednakowo przykuwająca uwagę i zjednująca ta niepowtarzalność i wyjątkowość, z jaką każda z nich wychodziła naprzeciw spośród drzew, jakby z drzewa własnego życia, któremu ją widocznie kiedyś, dawno temu, przypisano. Bywało ich czasami więcej i wtedy stawało się przed koniecznością wyboru, której zaufać, poświęcając jej czas, a zaniedbując inne. Pozostawiało się je rozbudzone, dotknięte do żywego, tak nie stosownym do ich stanu, w którym się znajdowały, nieraz od pokoleń, a teraz wodzonych po manowcach w Bielańskim Lesie. Można się tylko domyslać, ale mogło być w tym coś z prawdy, że w sprawie mógł też maczać palce i mieć swój udział stojący nieopodal teatr pod gołym niebem, którego drewnianą widownię często odwiedzałem i to zarówno podczas przedstawień, jak i w innym czasie, jako wnikliwy badacz jego najskrytszych zakamarków. Czulem, że niejedna chwila z tych przedstawień nieusatysfakcjonowana

przeznaczeniem swoim na deskach sceny, wymykała się stamtąd w las, niezadowolona z roli, którą jej powierzono. A osiadając w najbliższej okolicy, była chętną do włączenia się w niezajętą jeszcze, wolną lukę – innych niż jej dotychczas narzucone, a przedstawiane dotąd jako jedyne kulisy dziejów.

A że i z drugiej strony z zewnątrz teatru można było się doszukać podobnych marzeń – stąd nie powinno nikogo dziwić to, co spotykało mnie w Bielańskim Lesie.

Co więcej, dwie naturalne skocznie narciarskie, zlokalizowane jedna za drugą, nieopodal teatralnej sceny tuż przy drodze w kierunku zabudowań dawnego klasztoru kamedułów – stanowiły doskonałą odskocznnię w tych kierunkach, stwarzając okazji zwłaszcza dalekowzrocznym i dysponującym dobrym odbiciem do bujania w obłokach. Także i ze strony samego klasztoru, będącego od bez mała wieku w stanie zdelegalizowanym odwetową sankcją karną rosyjskiego caratu za sprzyjanie Powstaniu Styczniowemu – mogły marzyć się jeszcze czasy świetności z hucznymi odpustami w okolicy, a coż dopiero takiej karczmie Bochenków, czynnej na polanie naprzeciwko bramy klasztornej, zaledwie przed dziesięciu laty. Mogła pomieścić naraz trzystu gości, a każdy z nich miałby niejedno nam do opowiedzenia.

Tak, trzymając się tego, dochodziło się do drewnianej chaty – zdradzę tylko, że było to niedaleko zachodniej rubieży Lasu, na tonącym w cieniu gęstwiny tarnin, izolującym od zbędnych ruchów ciernistym pograniczu z terenami Akademii Wychowania Fizycznego. Tam już baby się nie uświadczyło, za to można było znaleźć sobie własne miejsca nie do opisanie, a właśnie już dawno opisane, pasujące nas do innej roli; zahaczyć się tam i ulokować w dowolnej chwili dziejowej. Uciekałem się do tego zachowania niejednokrotnie, a stamtąd – po latach, już będąc w wieku szkolnym, potrafiłem zejść, gdy nikt nie widział, do moich ulubionych rubieży Rzeczpospolitej w jej złotym wieku, aż na Zadnieprze, a zimą, kiedy był śnieg pozwalający łatwiej iść tropem historii wiodącym dalej, za dawnym torem saneczkowym i rotundą nad kanałem ściekowym – to omijając klasztor z daleka – nawet i do głębokiej Rosji za Batorego, gdzie bywanie choćby w takim Jamie Zapolskim należało do najzwyczajszego porządku dnia. Oczywiście, że uważałem, aby nie zejść za daleko i nie zostać tam na lodzie na tym odludziu, odciętym od wolnego oddechu świata, pokusa była jednak zbyt silna, aby jak niejednemu z tych Lisowczyków, nie korzystać z nadarzających się okazji. I gdyby nie głos pani zwołujący nas wszystkich do powrotu na Smoleńskiego – nie wiem, jak bym się mógł wyrwać szczęśliwie z narzucających się objęć tych podszytów.

Wyszedłem na plac zabaw w ostatniej chwili, w momencie formowania się par do wymarszu, gdy tymczasem Las Bielański maskował do niepoznaki podejrzanę przeze mnie wcześniej sceny...

Zakulisowato

pamięci Rodziców

Było to w tym nadzwyczajnym czasie – oddawanym nam na wyłączność do osobistej dyspozycji – jaki zdarza się każdemu tylko raz w życiu – nikt nie może być pewnym, kiedy nastąpi – nikt nie zna jego dnia ani godziny. Dlatego tak wielu ludziom przytrafia się go przegapić, a później uważać, że nie został im dany. Spotykałem takich malkontentów. Ale gdyby tak pogrzebać w ich życiu... rychło się okazuje, że nie mają najmniejszych podstaw, aby tak sądzić. Wynika to najpowszechniej z ludzkiej krótkowzroczności, bo kiedy spojrzeć dalej, na wprost, daleko szerzej, niż to bywało dotąd – nie trzeba długo czekać na taki zbożny czas w naszym życiu.

Mnie zdarzyło się to – przyznaję – w szczególnym momencie, znamienym i wyjątkowym – kiedy miałem siedem lat w dzień Wigilii Bożego Narodzenia.

Właściwie nie było to w ciągu dnia, a jakoś tak na przedwieczną – co więcej, kiedy się wnikliwiej przyjrzeć temu, co zaszło – rzuca się w oczy, że coś mi najwyraźniej wtedy sprzyjało wyjątkowo. A zaczęło się dwa dni wcześniej, po powrocie ze szkoły.

Usiadłem sobie w dużym pokoju, tak jak lubiłem, przy rozpalonym piecu – a wtedy zawsze mi się dobrze działo – i w pewnym momencie dotarło do mnie, że są już ferie, i że jutro nie muszę iść do szkoły. Wtedy to, chyba po raz pierwszy w życiu, doznałem tej ujmującej przyjemności, że nie muszę się do niczego spieszyć, że przede mną dwa tygodnie laby aż do Trzech Króli. Szmat czasu do przeżycia, w stanie nieskrępowanej wyobraźni, z perspektywą miłych chwil Wigilii i Świąt, a później rozlicznych, frapujących przyjemności długich ferii zimowych. Koniec ferii wydawał się w tym momencie nierzeczywisty, bo rzeczywiście był dopiero w przyszłym roku.

W takim to sprzyjającym stanie wolnej myśli zaczynają odnajdować się miejsca o nie do końca pewnej proveniencji, które później pozostają w nas jako wspomnienia, co do których trudno się przekonać... Kiedy

jednak małodusznie odmawiać im racji bytu, pozostawiają w naszej podświadomości znamioną lukę, której zabliznianie się przypominaną sobie z trudem treścią, ciągnie się nieraz niespełnione do końca życia. Dopiero w dziecięcych oczach, w taki szczególny wieczór jak dzisiejszy, widząc się potrzebne i pokochane, pozwalają nam wracać do siebie tym czy innym zbiegiem okoliczności.

Działo się to w scenerii naszej ulicy – w takiej szczęśliwej porze stwórczych natchnień można było wejść tam niezauważonym przez nikogo, co przychodziło tym łatwiej, im dłużej korzystało się z ukradkowego wejścia.

A będąc już tam niejako przemycnym, jak za przywdzianiem – tych znanych każdemu z baśni Andersena – nowych szat cesarza – niewidzialny dla otoczenia, spróbuję mu sprostać, przysposabiając należycie pióro.

Ale oto już mój osobisty, przyboczny, temporalik zaciął je jak potrzeba, na początku opowiadania na poprzedniej stronie, i opatrzywszy stosownym tytułem: *Zakulisowato* – pozbawił mnie praw autorskich z tego tytułu.

A zatem nie pozostaje mi nic innego, jak własnym sumptem dopisać tylko ciąg dalszy, odsłaniając, co za kulisami. Ujawnić ten wstydliwie przemilczany dotąd powszechnie fakt – pomijany również i przez usługowość podświadomości, nakazującą nam odwracać wzrok i spuszczać oczy – przechodząc nad tym do porządku – że jednak było coś nie tak, jak być powinno w jednym z istotnych miejsc naszej dzielnicy.

Było to u wylotu naszej ulicy Swarzewskiej na jej przecznicę Żeromskiego, a ściślej w rejonie za tą przecznicą. Co prawda nie straszło tam nic, jak to miało miejsce na skrzyżowaniu ulic Kasprowicza z Przybyszewskiego; ale akurat tam to nikogo – ze znających, choćby tylko ze słyszenia, dzieje literatury – nie powinno dziwić, zważywszy na fakt, co zrobił ten, nomen omen, Przybyszewski biednemu Kasprowiczowi.

I zaiste, nigdy się zapewne nie dowiemy, jak mogli decydenci przedwojennych Bielán, nadając nazwy nowo powstającym wówczas ulicom, skazać Kasprowicza na wieczne przebywanie w tak bliskim sąsiedztwie z człowiekiem, na którego wspomnienie jeżył się wymienionemu włos na głowie, a serce porażała groza.

„O niezgłębione, nieobjęte moce!” – powinni się spalić ze wstydu, jak mogli to uczynić zasłużonemu dla literatury ojczystej rodakowi. W dodatku pocziwemu człowiekowi, który by muchy nie skrzywdził, nie wspominając o takim towarzyszu Leninie, którego mając już w rękę, kazał wypuścić wolno, przez co zyskał sobie nieśmiertelną zasługę u bolszewików wszystkich czasów, i ma po dziś dzień mauzoleum własne na Harendzie.

Tymczasem przedwojenni włodarze Bielan – niech nie myślą, że to im zapomniane – musieli przecież wiedzieć, znając Przybyszewskiego, że tak pojęte wypominki wieczne, wołające o pomstę do nieba na każdym kroku tego skrzyżowania ulic, skazują ich samych na wieczną kompromitację u potomności, jako ignorantów pozbawionych taktu. I dlatego ich czyn tu wciąż straszy i odbija się co świadomszym przechodniom swoistą czkawką miejsca i czczym niesmakiem.

Musiałem o tym wspomnieć, aby nie przeszkadzało mi w dalszym pisaniu, jako że takie lichy, nazwane już po imieniu i zapisane, ogranicza swój lokalny zasięg, a uwolnionemu tym faktem mojemu pióru pozwala spokojnie wrócić na Swarzewską, do miejsca zagranego już wcześniej tytułem wstępu.

* * *

Prawdę powiedziawszy, to szczególne miejsce, o którym mowa, nie znajdowało się wcale na końcu naszej ulicy, a właśnie na jej początku, zważywszy na kolejność numeracji domów – rozpoczynając się tam od numeru trzydziestego dziewiątego po nieparzystej stronie Swarzewskiej, a po parzystej od czterdziestego.

Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby po minięciu swej przecznicy, ulica nasza znajdowała tam dalej – że tak powiem – jakąkolwiek tożsamość własną, w postaci zabudowanych posesji, o numerach poczynawszy od trzydziestego ósmego do pierwszego. Sęk w tym, że było tam tylko puste pole aż po horyzont. Nie dawało się przejść tam wzrokiem, aby napotkać coś innego niż szczerą pustkę, niedającą oczu oprzeć o cokolwiek, i dopiero hen, daleko, przy dobrej widoczności, na widnokręgu, dawało się z trudem dostrzec wążutkie pasemko drzew odległej forpoczty Puszczy Kampinoskiej.

Próbowałem bezskutecznie dociec, co stało się z tym początkowym odcinkiem naszej ulicy, ale nikt z dorosłych tego nie wiedział. Zbывano mnie tylko, że tam żadnej ulicy nigdy nie było. Nie chciało się mi w to wierzyć, bo skąd wzięłyby się te numery trzydziesty dziewiąty i czterdziesty, gdyby wcześniej nie znalazły swych poprzedników. I było to dla mnie najzupełniej logiczne.

Postanowiłem, zatem – aby tak jak mój imiennik Krzysztof Kolumb, o którym wiedziałem z posiadanych w domu przeźroczy, że jako pierwszy odkrył Amerykę – także pierwszy coś odkryć, a ta niewidoczna strona Swarzewskiej widziała się mi wprost ku temu okazją wymarzoną. Odtąd nie szczędziłem na to żadnej wolnej chwili.

Przed wszystkim zdałem sobie sprawę z jej poufności. Na całej długości Swarzewskiej, a już szczególnie w pobliżu Żeromskiego, należało trzymać język za zębami, zachowując wszystko w największej tajemnicy. Bo jeżeli ja potrafiłem w tym miejscu zaobserwować, drzemiący w nim potencjał, do wykorzystania dla osobistej korzyści w dziedzinie literatury, to i ktoś inny, przedem czy później, może również pokusić się o to samo, a nawet i przekroczyć granice przyzwoitości, doszukując się tam, Bóg wie czego.

Postanowiłem zatem, rzecz zagmatwać, nadając jej mylący kryptonim, i pozorując ciężar nauk ścisłych, nazwałem „anomaliją Rudzińskiego”, gdyby na przykład w tym wyścigu, na tym tak wdzięcznym a pustym poletku Swarzewskiej, ktoś chciał mnie ubiec.

Przeczuwałem jednak, że nie tyle o czas tu chodziło, a bardziej o właściwe ku temu podejście – może z zaskoczenia – i dlatego dopiero teraz ujawniam jak tam było, widząc już i bliski koniec tej książki na horyzoncie.

Jeszcze w latach przedszkolnych próbowałem, nie jeden raz, przedostać się na niewidoczną stronę Swarzewskiej, ale zawsze wówczas coś się tam kielbasiło, a ja musiałem się tylko obchodzić smakiem.

I dopiero w ten Wigilijny wieczór znaleźliśmy się z tatką koło tego numeru trzydziestego dziewiątego, w pościgu za świętym Mikołajem, który z nieznanego powodu, tego roku, nie pojawił się w naszym domu z pierwszą gwiazdą – wywołując tym mój niepokój czy czasami o mnie nie zapomniał.

Po krótkiej wymianie zdań pomiędzy rodzicami, podczas której próbowano żartem poddawać w wątpliwość, czy byłem wystarczająco grzecznym, aby zasłużyć na prezenty, inne niż różga, z rąk Świętego – zaproponowano mi wyjście mu na spotkanie. Mógł przecież zabłądzić, a co gorsza, myląc adresy, obdarować prezentami kogoś innego.

Pamiętam, jak staliśmy przed domem, rozglądając się po zaśnieżonej ulicy; i jak nagle z daleka, ujrzałem go z workiem na plecach, odwróconego tyłem do mnie i oddalającego się w głąb Swarzewskiej w kierunku Żeromskiego. Krzyknąłem za nim, aby zawrócił, że przez pomyłkę zapomniał o mnie. Ale widocznie z tej odległości mnie nie usłyszał, bo odalał się szybko, sunąc jakby na nartach w kopnym śniegu. Rzuciliśmy się za nim, ile sił w nogach, próbując nadrobić dzielącą nas odległość. Zanim jednak, zaspłani z wysiłku, dobrnęliśmy wreszcie do Żeromskiego – gdzie urywało się światło latarni – on już zniknął nam po tamtej stronie Swarzewskiej niedotkniętej dotąd stopą ludzką.

Wpatrywaliśmy się – bezradni – w ciemność, która wydawała się nieprzeniknioną zanim nasze oczy nie oswoiły się z nią... z upływem czasu.

A kiedy tak patrzyliśmy... i patrzyliśmy... – jak długo, nie wiem –... zaczęły w niej zapalać się... stopniowo... światełka... niby gwiazd... a może tam na choinkach... w pokojach pierwszych domów... a później dalej... tak jakby tam... w mieszkaniach doczekali się wreszcie na jego przyjście... a może – mimo wszystko – były to tylko światełka... gwiazd?

Spojrzałem na tatkę w nadziei, że znajdzie się na miejscu... i powie... coś wiekopomnego... coś rozwiązującego jednocześnie sytuację... i rokującego na przyszłość tej ulicy... ale on nie powiedział nic... czego bym tam sam nie zobaczył.

Tak bez wymiany myśli, bez zbędnych słów... wiedziałem już, że nie mam tam czego szukać... Poczynając od numeru pierwszego... do trzydziestego ósmego – niech pozostanie tam Swarzewska – jaką ją widziałem – zakulisowym fragmentem naszej ulicy, jedną więcej z odkrytych tajemnic Starych Bielan.

* * *

A kiedy wróciliśmy do naszego domu pod numerem siedemdziesiąt osiem, mieszkania dwa, na pierwszym piętrze, w dużym pokoju pod choinką czekała już na wszystkich domowników sterta prezentów. Ale w jaki sposób zdążył je wnieść, przed nami, na górę – nie mam pojęcia.

Krzysztof Rudziński

Andrzej Słomianowski

Andrzejewski: Powrót Teścia

(Opowieść literacko-filmowa. Fragment początkowy)

Pamięci Marii z Abgarowiczów Andrzejewskiej (1906–1971)

*Oil all my turbulence as at Thy dictation
I sweat out my wayward works.
Father Hopkins said the only true literary critic is Christ.
Let me lie down exhausted, content with that.*

John Berryman – *Love & Fame* / 10

*(Uładź całą mą niesforność, gdy pod Twe dykatando
wypacam moje nieobliczalne dzieła.
Ojciec Hopkins powiedział, że jedynym prawdziwym
krytykiem literackim jest Chrystus.
Wyczerpanemu, pozwól mi spocząć, poprzestając na tym.)*

John Berryman – *Miłość & sława* / 10 (przekład A. S.)

1

Czas teraz – XXI wiek, początek drugiej dekady

Osobę na zdjęciu zna dobrze. Znał raczej, bo osoba ta nie żyje już od prawie trzydziestu lat. Czarno-biała fotografia, zrobiona ponad czterdzieści lat temu, jego własna praca. Który dokładnie był to rok? 1968? 1969? Może nawet 1967? Pamięć sugeruje ostrożnie, że 1968, początek marca. Zdjęcie opublikował *Kwartalnik Artystyczny* w roku 2009, w numerze 4 (64). Publikacja miała uczcić stulecie urodzin owej do dziś bliskiej mu osoby. Autor zdjęcia nie podany, podpis z boku zdjęcia mówi: „Archiwum Dokumentacji Fotograficznej Muzeum Literatury”. Rozpoznaje jeszcze jedno swoje

zdjęcie, trzeciego nie jest pewien, może jego, może nie. Ale te dwa, oba jego na sto procent.

Egzemplarz *Kwartalnika* dał mu w prezencie Tadeusz Różewicz wiosną 2010 roku, a więc trochę ponad rok temu. Z Tadeuszem Różewiczem łączy go od jesieni 1999 roku literacka przyjaźń. We wrześniu tegoż roku zaprosił poetę do Saarlouis w Saarlandzie, na organizowany przez Starostwo Saarlouis festiwal kulturalny *Blżej w Europie*. Przez prawie cztery lata pracownik Starostwa, był inicjatorem tego festiwalu i pomagał w jego organizacji. Dużo wtedy rozmawiali prywatnie, starszy poeta i młodszy poeta, spacerowali – nawet pomógł starszemu poecie kupić buty w reprezentacyjnym sklepie z obuwem na Dużym Rynku w Saarlouis. Kontakt utrzymał się do dzisiaj. W 2007 roku Tadeusz Różewicz wydał dwujęzyczny tom wierszy *nauka chodzenia / gehen lernen*, który przekładały na niemiecki trzy osoby – młodszy poeta był jedną z nich. Młodszy poeta ma dużo do zawdzięczenia starszemu poecie.

– Ale wróćmy do tej starej fotografii – mówi na głos sam do siebie. Jest w swoim mieszkaniu w Goerlitz, przez rzekę do Zgorzelca. W parku za oknem chyba już wiosna, początek marca w każdym razie jest wyżowy, słoneczny i suchy Tak, wówczas, w 1968. też był początek marca. Jeszcze działał Uniwerek....

Więc jak to było z tym zdjęciem? – zastanawia się. Wtedy, wiosną albo latem w 1968? Teść jeszcze formalnie nie był Teściem, bo ślub z Agnieszką odbył się dopiero w listopadzie 1970 roku, zaraz na początku. Ale on zamieszkał u przyszłych teściów w 1967, wczesną jesienią, po prostu dołączył do Agnieszki. Poznali się mniej więcej rok wcześniej.

Żadnych notatek, nic, materialne ślady bardziej niż szczątkowe: odpisy metryki ślubu, pocztówka od Teścia, zdjęcie z wesela, na którym pan młody rozmawia z Krzysztofem Mętrakiem – obaj jeszcze trzeźwi. Są poza tym wzmianki w *Apelacji*, w części *Notatki szpitalne*, są jakieś odpryski w *Miażdże*. Jest też jego własna powieść o tamtych zamierzających czasach, do dziś niewydana, jest wiersz *Teść*, prezentowany jakiś czas temu w radio – wej dwójce, no i jest jeszcze to, co mu zostało w pamięci.

Mimo że siódmy krzyżyk coraz bliżej, pamięć ma nie najgorszą i rekonstruuje kawałki przeszłości.

Czas wtedy – XX wiek, początek VII dekady

Dwie sesje zdjęciowe, żeby był możliwie jak największy wybór. Wydawcy na Zachodzie potrzebują aktualnych zdjęć. Obie sesje w gabinecie Teścia – gabinecie, salonie, sypialni, barze, niekiedy mysiej dziurze, bywało że i studio telewizyjnym, gdy przychodziła telewizja, od dłuższego czasu rzadki gość. Chyba że ta z Zachodu.

Teść i Zięć – mimo że jeszcze nieoficjalnie. W jak najlepszej komitywie od początku znajomości, po powrocie Teścia z Francji wiosną w 1967. Zięć, były student Wydziału Operatorskiego Łódzkiej Filmówki, okazał się w Szkole całkiem niezłym fotografikiem, specjalność – portrety, i to głównie za portrety prof. Zbigniew Pękosławski i jego asystent Eugeniusz Haneman dali mu na końcowym egzaminie z fotografii cztery z plusem. Ta jego umiejętność jak znalazł teraz, bo Teść, wybitny polski pisarz, ma dobrze wyglądać na stronach Spiegla, Timesa, FAZ, czy Le Monde, no i koniecznie na skrzydełkach i okładkach zagranicznych wydań coraz liczniejszych tłumaczeń jego książek.

Popołudnie. Ciepło. Okno w gabinecie jest lekko uchylone. Jak zwykle o czternastej domownicy zjedli wspólnie obiad, a potem Teść odleżał rytualne trzydzieści minut sjęsty i wypił kawę.

A teraz obaj przygotowują się do pierwszej sesji zdjęciowej. Druga zaplanowana jest na następny dzień.

– To czego jeszcze nauczyli cię w Szkole Filmowej? Poza fotografią? 'Tuś Toeplitz też cię uczył? – pyta Teść.

– Uczył. Byłem trochę za zielony na naukę – mówi Zięć. – Poza tym od samego początku to był błąd, mnie już wtedy bardziej ciągnęło do słowa niż do obrazu.

– I do butelki?

– Wszyscy pili, to i ja z nimi...

Zżyty z butelką jak mało kto, Teść nie krytykuje; przypomina, nie bez sympatii w głosie, znany fakt. Zięć przepił karierę w Szkole Filmowej. Kiedy skończą sesję zdjęciową, Teść otworzy butelkę czerwonego wina, kupioną wcześniej przez Zięcia na dole w sklepie piętro niżej, od strony Jagiellońskiej. W domu często popijają razem, Teść lubi towarzystwo do lampki wina.

Chwila ciszy i koncentracja Teścia – musi przecież wyjść na tych zdjęciach jak najlepiej.

– Więc w co mam się ubrać?

– Jakby się dało, to bez mocnych kontrastów. Tak trochę pastelowo może, chociaż robimy czarnobiałe. To wiśniowe polo na przykład nie byłoby złe. A spodnie nieważne, bo i tak robimy tylko górę.

– Wobec tego pójde się przebrać i uczesać. Słuchaj, i robimy w okularach?

– Tak. Normalnie i zupełnie naturalnie.

– To dobrze. I dobrze, że mordka jeszcze w miarę gładka i bez wyprysków.

Zawsze elegancki, a teraz jest dodatkowy bodziec – zdjęcia. Nigdy najmniejszego rozchętania, w domu często pod krawatem i zawsze obowiązkowo buty. Pantofle domowe tylko do piżamy, przed pójściem do łóżka i rano w drodze do łazienki. Rano, po goleniu, myciu, śniadaniu i reszcie porannej toalety przy biurku już o ósmej, a często wcześniej. I praca, kocha pisanie. Przeżywa męki, kiedy nie może pisać.

Teś z powrotem w gabinecie siada za biurkiem i zaczynają pierwszą sesję: pisarz przy swoim warsztacie pracy. Pisarz otwiera brązową skózaną teczkę z reliefem Tolstoja, leżącą zawsze centralnie na biurku i poprawia pozycję małej figurki z miśnieńskiej porcelany, przedstawiającej lwa i stojącej blisko krawędzi biurka. Zięc swego czasu zauważył, że Teś ma dwa lwy w swoim pisarskim herbie: Lwa Tolstoja, króla pisarzy i małego lwa z Miśni, który symbolizuje znak zodiaku Teścia. Choć Tolstoj niekiedy ustępuje miejsca Tomaszowi Mannowi.

– No to pstryk, pstryk, pstryk – mówi Teś.

– Jeszcze światło – mówi Zięc i ustawia lampę, fachowo zwaną nitrafotą: na statywie cokolwiek z lewej strony, w górę, ale nie za wysoko, i światła tyle żeby był wyraźny rysunek twarzy i przeciwwaga dla lekko kontrolnego światła z tyłu, z okna. Wysokoczuły czarnobiały film będzie potem wywoływany na drobne ziarno.

Uwijając się, Zięc obserwuje układ światła na twarzy Teścia i przyznaje w duchu, że chciałby wyglądać tak samo młodzieńczo, gdy osiągnie wiek Teścia. Ma w tej chwili niecałe dwadzieścia pięć lat, a Teś niecałe pięćdziesiąt dziwięc i zdecydowanie nie wygląda na swoje lata.

Twarz bez zmarszczek, gładka skóra, zaczesane do góry włosy już mocno srebrne, ale jeszcze bujne. I ta jego jasna nordycka uroda, był podobno rudawo-żółtym blondynem za młodu, na starych zdjęciach wygląda efebowato i coś mu z tego zostało – taka jakaś skoczna młodzieńczość, jak to Zięc określił zaraz po tym jak się poznali. I od dawna okulary, bo wzrok był zawsze raczej słaby.

Fotografuje się go łatwo, już po kilku zdjęciach Zięć wie, że będzie z czego wybierać. Przeznacza jeden film na jedną sesję, czyli trzydzieści sześć zdjęć zrobi teraz, a trzydzieści sześć następnego dnia, przed południem i może dla odmiany w marynarce i krawacie albo, jeszcze lepiej, w tej jasnej kamizelce z wielbłądziej sierści, którą Teść ma, do tego jasna koszula i krawat. Teść ma kilka jasnych koszul w odcieniach beż i gołębi, uszytych u krawcowej na dole po sąsiedzku, od strony Świerczewskiego, więc wybiorą którąś z tych jaśniejszych. Druga sesja będzie bardziej na jasno, tak jak pierwsza jest bardziej na ciemno.

Przed zmianą pozy i tła jest przerwa na gauleoise'a i rozmowę. Odebranie się od codziennej rutyny, na którą składają się literatura i polityka, wprawia Teścia w dobry humor.

– Dzisiaj nie rozmawiamy o nich... Niedługo i tak będziemy znów żyć wyłącznie polityką, bo aby patrzeć jak wkroczą do Czechosłowacji. Ale teraz nie chcę o nich mówić, bo się zeżłę i to będzie widać na zdjęciach. Starzejący się i do tego rozeźlony pisarz, nie, nie, tego nie chcemy... Powiedz lepiej coś o Szkole Filmowej, wszak mamy tam sporo wspólnych znajomych. Wajda też cię uczył? – pyta Teść.

– Uczył. Wajda, Bossak, Stanisław Różewicz, Karabas, Toeplitz, Stanisław Wohl, Jerzy Mierzejewski, Zwolińska, Skwarczyńska, Radzinowicz, Filar, Piechota, Ancuta, Pierzgałski i jeszcze parę osób... Dzięki nim wiem, co to sztuka. Nie tylko film, sztuka w ogóle.

– A fotografia?

– Fotografowaliśmy dosłownie dzień i noc. Pod okiem dwóch asów, Hanemana i Pękosławskiego. Studio, plener, łódzkie ulice, portrety, reportaże. Na III roku operatorskiego była dziewczyna, Renata Pajchel, ona mi dużo pomogła i poza tym знаła wszystkich. Jej rodzice to stara polska inteligencja w najlepszym wydaniu, jej matka prowadzi bardzo fajny dom. Otwarty, a przy tym wytworny, naprawdę na poziomie. Renata poznała mnie z Czyżewską i Kucówną i obu robiłem portrety, właśnie w mieszkaniu Renaty. Na Kościuszki niedaleko SPATiFu. Dzisiaj Renata robi profesjonalnie fotosy do filmów. Chyba jest najlepsza, druga taka z drygiem do fotografii to Nasierowska, też koleżanka przez jakiś czas...

– Panie były trudne do fotografowania?

– Nawet nie. Bardzo inteligentne, Czyżewska błyszczy intelektualnie i ma ostry język, trzeba uważać. Ma słabe włosy, ale tak się czesze, że tego nie widać. Kucówna też bardzo bystra, obie mają naturalny talent, obie bardzo luźne przed kamerą, było wesoło...

– Płeć męską też fotografowałeś?

– Nie, wyłącznie żeńską, miałem łatwy kontakt zawsze, a z kolegami nie. To znaczy nie pozowali mi. Zachowało się trochę przypadkowych fotek z zajęć w Szkole. Janusz Kondratiuk, Wojtek Frykowski, Erol Feridun, Edek Kłosiński, Sławek Idziak, a z aktorskiego Janusz Gajos, Franek Trzeciak, Krzysiek Różycki... Bardzo żałuję, że nie miałem aparatu raz wieczorem w Grand Hotelu, było nas kilku i byliśmy po paru wódkach, no i Daniel Olbrychski schodził na rękach po schodach ze swojego pokoju na półpiętro, po tych eleganckich schodach w Grandzie, i był tylko w slipach.

– No proszę...

– Ale nie tylko piliśmy. Z Zanussim prowadziłem poważne dyskusje naukowe i filozoficzne. Od niego można się było dużo dowiedzieć. Mało kto potrafi tak jak on wytłumaczyć Einsteina, Feynmana, Bohra, Russella, nie mówiąc o twierdzeniu Goedla, klasach Cantora i tym podobnych.

– Widzisz, należałeś do elity i wszystko popłynęło...

– Jakoś tak wyszło niechcący.

– Ale teraz idzie lepiej. Tłumaczysz poetów.

– Uczę się warsztatu, żeby samemu pisać.

– Tylko że tłumaczysz pijaków, twój Dylan Thomas podobno strasznie trąbił.

– Trąbił, co zrobić. Hart Crane i John Berryman też trąbili. A Broniewski i Gałczyński nie trąbili może? A Irek nie trąbi? Wygląda na to, że kto ma większy talent, ten bardziej trąbi.

– Wrócimy do tego. Ale tymczasem wróćmy do fotografii.

Dziesięć zdjęć za biurkiem, dziesięć na fotelu z drugiej strony biurka, a reszta na stojąco i na siedząco, na tapczanie, z neutralnym tłem makatki za plecami z tyłu, poniżej butelki Chianti na obrazie namalowanym przez Nachta-Samborskiego i podarowanym pisarzowi przez malarza. Jedna poza wygląda szczególnie obiecująco: Teść siedzi na tapczanie, ma skrzyżowane ramiona i patrzy do kamery, główne światło jest z okna, z lewej strony, na twarzy bardziej się czuje niż widzi cień ironicznego uśmiechu pomieszanego ze smutkiem, smutkiem gdzieś pod spodem, gdzieś daleko. Biel części twarzy, rąk i odsłoniętego prawego przedramienia kontrastuje mocno z ciemnowiśniowym sweterkiem polo, co może dać lekki efekt graficzny, przy odpowiedniej obróbce. Ręce najbardziej przyciągają uwagę w całej kompozycji – ręce pisarza, artysty rzemieślnika. „Ręka farbiarza”, Auden zatytułował tom swoich esejów poświęconych literaturze i pisaniu, i coś z tego jest w tym zdjęciu. Teść często rozprawia o rzemieślniczym

aspekcie pisania. Fabuła jest oczywiście ważna, tak było zawsze, ale dziś o wiele ważniejszy jest sposób jej przedstawienia, dziś decyduje owo „jak” – lubi przypominać samemu sobie i kolegom po piórze.

Pierwszą sesję zdjęciową poświęcają na portrety. Plany ogólniejsze, pokój, książki, zostawiają na następny dzień. Książek jest dużo, stoją na półkach dookoła, klasyki polskiej i światowej literatury, pod sam sufit, a za plecami Teścia, gdy siedzi przy biurku, stoi osobna półka z przekładami, służąca przy okazji za sejf. Tam Teść trzyma pieniądze niczym zakładki pomiędzy kartkami książek i nigdy nie wie dokładnie, ile ich ma, ale wie, kiedy się kończą. Przywołuje wówczas swoją ulubioną teorię, w myśl której nie ma czegoś takiego jak ostatnia złotówka i rzeczywiście, niebawem pieniądze znowu są, aczkolwiek nie złotówki tylko dewizy – honoraria za przekłady, głównie z Zachodu. Pieniądze zwykle przynosi do domu pani Maria, żona pisarza, zaglądając po drodze do sklepu dolarowego, by kupić karton gauleoise’ów. Teściowa zajmuje się wszystkimi codziennymi sprawami praktycznymi i wspólnie z Ulą, gospożą, prowadzi dom. Domowników jest sześcioro: Teść z Teściową, Agnieszka z Zięciem i gospoia Ula z kilkunastoletnim synem Januszem.

Zanim zapalą kolejnego papierosa, Teść otwiera butelkę czerwonego węgierskiego wina, wyciągając korek powoli, ostrożnie, aby nie było odgłosu, który zaalarmowałby Teściową, czytającą prasę w pokoju przez ścianę. Od czasu ostaniego pobytu Teścia na kuracji rehabilitacyjnej w klinice, alkohol jest tabu w domu pisarza. Trzy kobiety i nieletni Janusz to obóz abstynentów. Teść, co nie było specjalnie trudne, stopniowo pozyskał Zięcia jako jedyne go sojusznika w obozie nie abstynentów. Kiedy nie ma alkoholu, Teść woli być sam, ale przy kieliszku lubi towarzystwo i potrzebuje słuchacza. Zięć jest idealnym słuchaczem, a nadto zawsze można go poprosić, aby może zeszedł na dół i przyniósł jeszcze jeden Bikaver.

Warunki niepisanej umowy pomiędzy Teściem i Zięciem określają status butelki w ich stosunkach: butelka co prawda jest, ale niewinnie, oni obaj nie tyle piją, ile wzmacniają się, relaksują, chcą zapomnieć o polityce, poprawić sobie nastrój. Zięć asystuje Teściowi w tym wszystkim – jako młody aspirujący pisarz jest niczym uczeń w cechu, terminujący u mistrza. Ale o jakimś picu nie może być w ogóle mowy. A już broń Boże o alkoholizmie. To inni pisarze są pijakami i alkoholikami, ale nie Teść i nie Zięć. Tak brzmi oficjalna wersja.

Wino piją z replik kielichów masonskich z grubego ciężkiego szkła, suto oznakowanych masonskimi symbolami. Teść, jak wypada, z większego,

Zięć z mniejszego. Kielichy stoją zwykle na półce z książkami, zawsze pod ręką, łącząc funkcję dekoracyjną z użytkową.

Nalewając, Teść mówi:

– Zasłużyliśmy na nagrodę, to była rzetelna, ale i wyczerpująca praca. Jutro to samo? – To samo, tylko przed południem, tak koło jedenastej. I zrobimy bardziej na jasno, żeby potem łatwiej było wybierać. Ciemniejsze, jaśniejsze, to się potem zobaczy. Low Key i High Key, fachowo mówiąc.

Kielichy z winem na biurku, Teść na swoim zwykłym miejscu za biurkiem, Zięć na ustawionym skośnie przed biurkiem fotelu. A butelka dyskretnie z tyłu za Teściem na podłodze, obok kosza na śmiecie. W osobnych popielniczkach dymiące gauleoise'y.

– To co teraz tłumaczysz? Coś nowego, czy dalej idzie Dylan Thomas? – pyta Teść. Siedzi trochę bokiem, lewy łokieć opierając o biurko. Zdejmuje okulary i przeciera szkła chusteczką wyjętą z kieszeni spodni. Wpatruje się przez chwilę w Zięcia głęboko osadzonymi blado-niebieskimi oczami krótkowidza. Bez okularów wydaje się Zięciowi kimś innym. Okulary w cienkiej pozłacanej oprawie Teść zafundował sobie we Francji.

– Przypomierzam się do Berrymana – mówi Zięć.

– Ile on ma lat?

– Rocznik 1914, to będzie miał 54.

– Pięć lat ode mnie młodszy. No, ale to moje pokolenie. A Dylan Thomas?

– Ten sam rocznik co Berryman. Ale nie żyje już od 15 lat.

– Tamto, co przełożyłeś, podobało mi się... Jak to szło? Te linijki o musztardowym słońcu?

– W gorzycowym słońcu, / W pełnym pędzie rzeki i konwulsjach morza, / Gdzie kormorany szybują... O tych linijkach Teść mówi? Tak zaczyna się „Poemat urodzinowy”.

– Tak, o tych... No właśnie, bardzo piękne. Szkoda go. To był Walijczyk?

– Tak.

– A Berryman?

– Amerykanin, ale z irlandzkimi korzeniami.

– O, to jeszcze gorzej... Powiedz mi coś o nim.

– Szczupły, a właściwie chudy jak deska, młodzieńczy, same nerwy, wrażliwość i inteligencja, genialny poeta i przy okazji akademik, świetny znawca Szekspira, Cervantesa, Conrada, bliski przyjaciel Bellowa, blisko też z Lowellem, Schwartzem i Elizabeth Bishop. Parę lat temu dostał Pulitzera

za „77 Pieśni wyśnionych”, to przełomowa rzecz w poezji. I ciągnie to dalej, te niezwykle pieśni wyśnione, ma to być jeden olbrzymi poemat. Parę dni temu w bibliotece Ambasady Amerykańskiej czytałem, że właśnie skończył. Gigantyczny talent. Też niedawno czytałem wywiad z nim i było zdjęcie. Wąsaty, brodaty, żeby nie okulary, to wypisz, wymaluj biblijny prorok. I narzeka, że go zabija niepewność. Nie wie, czy to, co robi jest dobre i ciągle boi się, że już niczego więcej nie napisze. Piekielna nerwowa i cały czas góra, dół, góra, dół, i mówił też o intensywności pisania...

– To tak jak ja... Mnie to też zabija. To jest niekiedy ponad moje siły...

– No i w konsekwencji często bania od śniadania i pije cugami. W zeszłym roku był w klinice...

– Też jak ja... Słuchaj, to nie jest takie proste... W każdym razie lepsze to, aniżeli piguły, ale tak naprawdę, to tego nikt nie zrozumie. Ja jednak chyba z tym nie przesadzam. Przynajmniej mam nadzieję.

– I jeszcze zauważyłem na tym zdjęciu, że macie podobne ręce. Długie i smukłe palce...

– Tak? – pyta Teść, rozpromieniony. – No, coś takiego! Przełożyłeś już coś?

– Tak. Mam egzemplarz „77 Pieśni...” z biblioteki Ambasady i mam kilka własnych antologii z innymi jego wierszami. Próbuję zrobić coś z Pieśnią i potem chcę, jak Thomasa, dać to do „Twórczości”.

– No to pokaż. Lubię poezję, ale właściwie nie mam o niej zielonego pojęcia. Nigdy nie potrafiłbym napisać dobrego wiersza.

Zięć zajmuje wąski pokój przez ścianę (tą z butelką Chianti Nachta-Samborskiego) po lewej stronie, ongiś służbówkę, która z kolei sąsiaduje z kuchnią, mającą osobne wejście z klatki schodowej. Mieszkanie jest na pierwszym piętrze. Ze słowami – Już jestem z powrotem – Zięć zostawia Teścia samego, aby wrócić za chwilę z egzemplarzem „77 Pieśni wyśnionych” w języku angielskim, oraz garścią luźnych kartek z próbkami przekładów.

– Trudny czy nie bardzo? – pyta Teść.

– Trudny jak diabli... Absolutnie unikalny, ale nie chce być inny. Nie da się z nikim porównać. Rozmach ma jak Walt Whitman i nawet przyznaje się do niego jako wzoru. Tyle że u Whitmana jest niedwuznaczny podmiot: ja, Walt, śpiewam wam o sobie, a u Berrymana jest gramatycznie niejednoznaczny Henry, funkcjonujący w pierwszej, trzeciej, a także w drugiej osobie – tam nigdy nie wiadomo do końca, kto jest narratorem, kto mówi... Jest jeszcze do tego, jak chce sam Berryman, jego namiętna składnia.

- Namiętna składnia? Niebywałe!
- Jego własne określenie...
- Dużo tego masz?
- Parę kawałków i Czternasta Pieśń w całości. Muszę najpierw znaleźć polski idiom dla niego, znaleźć mu polski głos... Głos, ton i styl, chociaż może nie tyle styl, ile anty-styl, i to jest właśnie takie trudne.
- No to czytaj. Bardzo mnie on zaintrygował.
- Pociągają po łyku Bikavera i Zięć staje bokiem do okna, dwa kroki przed Teściem – lubi czytać na stojąco.
- To będzie wobec tego ta Czternasta Pieśń najpierw – mówi.
- Zamieniam się w słuch.

*– Życie, kochani, jest nudne. Nie wolno tak mówić.
W końcu niebo błyska, wielkie morze tęskni,
my sami błyskamy i tęsknimy,
a poza tym matka powtarzała w kółko, kiedy
dorastałem – Przyznać się do tego, że człowiek
się nudzi, oznacza brak*

*Duchowych Rezerw. Więc konkluduję, że nie mam
duchowych rezerw, bo strasznie jestem znudzony.
Lud mnie nudzi,
Literatura mnie nudzi, zwłaszcza wielka,
Henry mnie nudzi, jego kłopoty & achy i ochy,
jak drugi Achilles,*

*co kocha ludzi i odważną sztukę, która mnie nudzi.
I widok wzgórz, & gin, wywołują ziewanie
i nawet pies nieoczekiwanie
zabrał się & swój ogon, gdzieś daleko
w góry albo nad morze bądź do nieba, i zostawił
za sobą: mnie, merdanie.*

– Coś takiego! – mówi Teść, śmiejąc się. – Po psie zostało tylko merdanie... Ale jest w nim dużo przekory, jakaś zasadnicza niezgoda, wietrzę buntownika i trochę błazna. Przeczytaj to może jeszcze raz.

Zięć czyta jeszcze raz, potem Teść czyta na głos, by, jak mówi, wczuć się we frazę Berrymana, potem Zięć odczytuje przełożone fragmenty

innych Pieśni, a w przerwach Teść dolewa do kielichów i nie wiadomo kiedy butelka jest pusta. Teść wstawia ją do wiklinowego kosza na śmiecie.

– Daj mi ten ostatni kawałek, który przeczytałeś – mówi, wstając i odchrząkując. Wykonuje znany Zięciowi ruch głową, oznaczający, iż decyzja została podjęta. Wysuwa brodę do przodu i podnosi ją lekko do góry, jednocześnie poruszając szyją i mięśniami karku, jak gdyby chcąc się uwolnić od ucisku krawata lub przyciasnego kołnierzyka koszuli. (Teść znany jest z awersji do sztywnych i ciasnych kołnierzyków.) Trzymając w lewym ręku kartkę z częściowo przełożoną Trzynastą Pieśnią, rusza w stronę drzwi, otwiera je, odchrząkuje, wychodzi do holu, robi dwa kroki w lewo i za moment stoi w drzwiach salonu, w którym Teściowa czyta prasę i robi z niej wycinki. Obszerny salon to zarazem jej pokój do pracy i sypialnia.

– Ach, Maryśku, posłuchaj! – mówi rozentuzjasmowany. – Posłuchaj jakiego odkryliśmy wspaniałego poetę!

– Odkryliśmy? Kto? – pyta Teściowa. Zięć nie rusza się ze swego miejsca w fotelu przed biurkiem Teścia. Przysłuchuje się rozmowie przez dwoje otwartych drzwi.

– Andrzej i ja – mówi Teść. – Andrzej zaczął to właśnie przekładać. Przeczytam ci kawałek, posłuchaj!

*Bóg niech będzie z nim. Henry żył jak szczur,
z bujną strzechą włosów na głowie
w młodości.*

Henry nie był tchórzem. Na ogół.

*Nigdy nie porzucał spraw; przeciwnie, trwał przy
nich, gdy, na przykład, zaczynało brakować litości.*

Widzisz, Maryśku, jaki język! Jaka prostota! I jaka siła wyrazu!

– Kto to? Co to za poeta?

– John Berryman. Amerykanin. *Pieśni Wyśnione*. Zbiór siedemdziesięciu siedmiu wierszy, składających się na całość. Niezwykła poezja! Jak Andrzej to przełoży, będzie rewolucja w języku polskim...

– To świetnie. Przydałaby nam się jakaś prawdziwa rewolucja. Ale opublikują to? Nie będzie kłopotów z cenzurą?

Teściowa ma raczej niski głos i miękko artykułuje spółgłoski. Na ogół jest małowólna, lubi ironię i z reguły mówi to, co myśli. Kiedy nie wypada czegoś powiedzieć, milczy.

– Cenzura, te ścierwa, nie będziemy się nimi przejmować, Maryśku – mówi Teść.

– Jerzy, czy coś piliście? Kiedy zaczynasz mówić o ścierwach, znaczy, że już coś piłeś. Masz coraz mniejszą tolerancję na alkohol.

– A jak mam o nich mówić? Wszak to ścierwa i swołocz. Zabijają nam duszę i niszczą naszą kulturę...

– Jerzy, pytanie było, ile już wypięś?

– Maryśku, fakt, wypiliśmy trochę wina i właśnie chcielibyśmy jeszcze wypić po lampce. Świetnie nam się rozmawia o Berrymanie i jego poezji. Dużo korzystam przy Andrzeju. A w tej małej owocarni na rogu tam dalej na Jagiellońskiej, obok kina, mają doskonały bułgarski Medoc.

Słychać odgłos przestawianego krzesła i Zięć domyśla się, że Teściowa wstała od biurka i że stoi teraz oparta o nie, zwrócona twarzą w stronę drzwi, w których, wspierając się na się na kłamce, stoi Teść. Zięć często jest świadkiem podobnych scen i rozmów, i czuje się wówczas głupio – czuje się winien.

– Bułgarski Medoc, na miłość boską! To tak, jak te rosyjskie koniaki. Jerzy, kto widział kiedykolwiek bułgarski Medoc? Medoc to wszak kwestia geografii. Ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o twoje zdrowie, o to że się sam systematycznie wykańczasz. I na dodatek rozpijasz młodego. Przecież nie tak dawno temu mówił ci Ałapin i mówiła ci ta lekarka u niego, w jakim stanie jest twoja wątroba. I oboje wbijali ci do głowy, że wątroba to jedyny organ, dzięki któremu organizm może pozbywać się alkoholu. Przecież rozumiesz to, nie jesteś prostak. Do tego dochodzi chroniczne zapalenie wielonerwowe, ubytki kory mózgowej wskutek przewlekłego alkoholizmu, zmniejszająca się progresywnie odporność na stres i wyraźne symptomy charakteropatii. Zmienia ci się osobowość, niestety, nie na lepsze... Do tego jest jeszcze kwestia naczyń i twoich słabych oczu. Przecież jesteś świadom tego wszystkiego. No i co?

– Ach nie przesadzajmy, Maryśku, nie przesadzajmy... Lampka czy dwie wina jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

– Ba! Żeby to była lampka, czy dwie, ale sam dobrze wiesz, że to nieprawda. Mówimy tutaj o butelkach, a nie o lampkach. Mówimy o butelkach czerwonego wina, konsumowanych regularnie, ostatnio dzień w dzień. Niebawem znowu będziesz musiał iść do szpitala, bo im się dłużej pije, tym trudniej przestać. I w końcu bez lekarzy już się nie da przestać.

Zięć wie, jak ta rozmowa się skończy. Teściowa w istocie jest bezsilna. Za minutę czy dwie Teść wróci do gabinetu, wyjmie z szuflady złożony w pół i spięty dużym srebrnym spinaczem plik banknotów, wyciągnie jeden i powie:

– No, to może przynieś jeszcze butelkę, akurat starczy nam do wieczora.

I Zięć przyniesie.

Andrzej Słomianowski

Z przekładów Anny Bańkowskiej

John Barleycorn¹

Trzej ludzie z zachodu przybyli,
Ażeby fortunę skusić,
I śluby solenne złożyli:
John Barleycorn umrzeć musi.
I póty orali, siali, bronowali,
Wbijając go w ziemię po szyję,
Aż w końcu śluby solenne złożyli,
Że John Barleycorn już nie żyje.
W ziemi go bardzo długi czas trzymali,
Tam deszcz porządnie go zmoczył,
Wtem mały sir John swój łebek wystawił,
Czym bardzo ich wszystkich zaskoczył.
Do lata samego na polu tkwił on,
Aż pożółkł i cały się chwiał;
Wnet długą brodę zapuścił sir John
I z dziecka mężem się stał.
Wtedy ludzi najęto z kosami ostrymi,
Przy kolanach go ścięli ci żeńcy
I związali go w pasie, i toczyli po ziemi,
I dręczyli go jak barbarzyńcy.
Potem ludzi najęto z widłami ostrymi,
Którzy serce mu poprzekłuwali,
Na koniec ładowacze, ci zrobili mu gorzej,
Bo do wozu go wnet uwiązali.
Wokół pola całego wieźli go do stodoły,

1 Jest to jedna z 200 wersji anonimowej angielskiej ballady biesiadnej, po raz pierwszy ogłoszona drukiem w XVII w. za czasów króla Szkocji i Anglii Jakuba I. Tytułowy John Barleycorn to personifikacja jęczmienia, z którego jak wiadomo wytwarza się piwo. Anna Bańkowska przełożyła tę pieśń do książki Johna Lewisa Stempela *Szarak za miedzą*, tłum. Hanna Jankowska, Wyd. Poznańskie, Poznań 2021.

Gdzie mu dola okrutna sądzona,
Bo na sieczkę starannie go tam przerobili,
Nieszczęsnego Johna Barleycorna.
Sprowadzono też chłopów z wielkimi cepami,
By mu skórę odjęli od kości,
Potem młynarz go miażdżył między kamieniami
I nikt nie miał dla niego litości.
Oto mały sir John, w swojej czarce brązowej,
A w szkle brandy złociste jak słońce;
Widać, mały sir John w swojej czarce brązowej,
Najmocniejszy się okazał na końcu.
Myśliwy lisa nie upoluje,
Do rogu nie nadmie policzków,
Druciarz wam garnka nie zalutuje
Bez barleycorna dwóch łyčzków.



Bruk. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Alicji Patey-Grabowskiej

Walter Neumann

Orędzia miłości

Nieszczęlni dla cichego
orędzia miłości,
łączymy się w sieć,
której okami jesteśmy.

Także umarli,
ponownie obudzeni w naszych słowach,
są wpleceni
w obrazy lata,
cienie
na oczach i rękach.

Tak krzyżujemy
ich czas z naszym czasem
w jeden dźwięk
bez początku, bez końca.

Czas uwięziony w szkle

Czas uwięziony w szkle, wibracje stref,
ostatni wers wieczoru
na granicy snu.

Słowa, lżejsze niż wino,
które wyparowuje w noc.
Bez czasu
liść róży unosi się lżej
nad głębiną

Książki

Książki
otwarte groby,

mówią o
prowansalskiej świetności,
o śniegu
po tamtej stronie gór z lawy.

W dzień, kiedy słońce
wzbiło się najwyżej,
z kartek mylnie przerzucanych
wychodzą krainy zmarłych.

Przyjaciele tylu istnień
rozsypują
słowa
na tamtą stronę ziemi.

Walter Neumann – poeta niemiecki, laureat wielu nagród literackich. Urodzony w Rydze w 1926 r., po wojnie zamieszkał w Republice Federalnej Niemiec, przez długi czas, nad Jeziorem Bodeńskim.

Wiersze pochodzą z tomiku *Orędzia miłości* (Botchaften der Liebe) w tłumaczeniu Alicji Patey-Grabowskiej (Grapio, Warszawa 2001). W 2018 r. ukazała się książka Waltera Neumanna *Dziennik Młodego Niemca – wspomnienia* w przekładzie Liliany Lewandowskiej (Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń).

Przekład i nota o autorze – Alicja Patey-Grabowska

Węgierskie poetki w przekładach Konrada Sutarskiego¹

Anna Kiss (1939-)

Pamiętasz? (Emlékszel?)

Jak pięknie było, kiedy to spotkaliśmy się po raz pierwszy!
Znałeś jedynie moje imię. I nie byłam pewna, co odczuwam,
Lecz myślałam, kiedyś wspólna będzie nasza droga.
Polubiłam cię, a lata mijały.

Ty też tak to pamiętasz?

Jak pięknie było, kiedy to rozmawialiśmy po raz pierwszy!
Śledziłam Twoje słowa, jak matka na słowa dziecka uważa,
choć nie była to rozmowa podniosła,
to jednak pokochałam cię... na swoje nieszczęście.

Ty też tak to pamiętasz?

Jak pięknie było, kiedy to uśmiechnąłeś się po raz pierwszy!
Stałam tylko i topniałam ze szczęścia, że to dla mnie,
szczęśliwszy ode mnie nie mógł być nikt na świecie.

Ty też tak to pamiętasz?

Jak pięknie było, kiedy się zegnaliśmy!
Smutna byłam, lecz w głębi cieszyłam się,
wszak mogłam oderwać się od pożądania,
które trawiło mnie miesiącami, latami całymi.
Ty też tak to pamiętasz?

1 Pisząc o pamięci Katynia na Węgrzech, przetłumaczyłem i przytoczyłem tam również wiersz Erzsébet Tóth (1951-) *Z katyńskiej ziemi*. Tu natomiast pragnę zaprezentować garstkę wierszy i nazwisk innych węgierskich poetek, też stanowiących czołówkę kobiecej poezji w tym kraju – K.S.

Jak pięknie jest teraz, gdy więcej nie cierpię!
 Pozwoliłam ci odejść, by nie spotkać cię więcej,
 choć oczy me nadal obłądnie widzą twoje piękne ciało,
 i jednak w myślach wciąż uwielbiać cię będę.

Ty też tak to odczuwasz?

Katalin Mezey (1943-)

Przepis (Recept)

Siedzmy przed ekranem
 do chwili śmierci
 i podziwiamy najnowszą modę.
 Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać,
 huragan wyłamie
 nie nasze drzewa,
 zaś inteligentna rakieta
 skręci nie ku narożnikowi
 naszego domu,
 a zapuka
 do któregoś z sąsiadów.
 Do chwili śmierci
 będzie zatem czas,
 abyśmy to zobaczyli.

Éva P. Maklári (1943-)

Do kiedy? (Meddig?)

Jak tu teraz coś woła, ostrzega,
 w ciemnościach rozbłyskuje, ogniem grozi,
 druzgocący wiatr spada na spokojne miasta,
 łagodne brzegi wód wyją i szaleją,
 upał pustyni zmienia się w śnieg przenikiwy,
 to kula ziemiska w dłoniach Boga

aż drży w oburzeniu i bluźni sycząc,
 zaś Bóg patrzy nań dobrotliwie,
 nie tego chciałem – mówi z cicha.
 A świat ramionami wzruszając drwi sobie,
 choć łzy płyną po policzkach Boga.

Eszter Dobozi (1956-)

Adieu, bólu (Adieu, fájdalom)

Odrzucę cię, jak szmatę,
 i powiem, adieu, bólu,
 pokiwnam ci, byś poszedł sobie,
 jutro już nie będziesz ze mną,
 nie ze mną będziesz, wyniesiesz się,
 gdzieś daleko, w diabłątko
 zmienisz się, rozpadniesz,
 staniesz się komornym pyłem,
 odartą skórą, taką będziesz,
 kokonem, z którego wyleciał motyl,
 zapomnę o twoich ukłuciach,
 wypadnie mi z pamięci
 oszałamiające rwanie,
 pozwolę też odejść temu, kto od środka
 boli, wyrzucę go,
 jak wyświechtany kozuch, pozwolę
 odrodzić się sobie.

Przełożył Konrad Sutarski

KOLEKCJA LITERACKA

SERIA 2

TOMY I – XV

Andrzej Chąciński

WKRÓTCE nadejdzie świt



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom I

Andrzej Chąciński – Wkrótce nadejdzie świt

Autor: Andrzej Chąciński

Tytuł: Wkrótce nadejdzie świt

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2021

nr wydania: I

liczba stron: 310

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-962200-0-4

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Marek Sołtysik

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Klamrą spinającą książkę Andrzeja Chącińskiego są sceny z intymnego życia w egzotyce lat tuż powojennych. Do twardych, ale swojskich realiów Polski, której kształt się dopiero formował, wraca pisarz, legenda podwilżowej „Współczesności”. Jądrym tomu *Wkrótce nadejdzie świt* są gorzkie emigracyjne przeżycia nie tylko narratora, lecz także postaci tak sugestywnie przedstawionych, że chyba nie kreowanych... choć siła talentu może więcej, niż przypuszczamy. Andrzej Chąciński nie stara się epatować – a porusza. Po latach za oceanem i na wyspach pozostał sobą. Píše bez ozdobników. Przedstawiając powszedniość, nie rozgrzebuje duchowych trzewi, nie jest jednak małym realistą, bystry i dyskretnie współczujący jest realistą globalnym.

Marek Sołtysik

Marek Nowakowski, pisząc o opowiadaniach Andrzeja Chącińskiego w posłowie do książki *Podróż do Londynu*, zaproponował określenie bohatera: to Odyseusz Odwrotny, szukający swojego miejsca na obczyźnie. Opowiadania z tomu *Wkrótce nadejdzie świt* nie upoważniają do tak klarownej formuły. To raczej Każdy, Jederman, mężczyzna szukający swojego miejsca i wciąż doznający zawodu.

Anna Nasiłowska

O autorze:

Andrzej Chąciński urodził się 13 stycznia 1932 r. w Warszawie, zmarł 18 grudnia 2021 r. tamże.

W październiku 1956 r. został członkiem grupy literackiej „Współczesność” i współzałożycielem jej periodyku literackiego. W latach 1958–1960 był sekretarzem redakcji „Współczesności”. Po zwolnieniu pracował do 1968 r. w miesięczniku „Nasz Sklep”. Wydał w „Czytelniku” dwa zbiory opowiadań: *Piękne niedziele* (1965) i *Rozstanie z Ireną* (1971). Trzecią jego książką był tom opowiadań *Podróż do Londynu* („Agawa”, 2009).

W 1972 r. został członkiem ZLP. W latach 1968–1972 podejmował dorywczo pracę zarobkową w Londynie. Następnie wyjechał do Australii, skąd wrócił po półtora roku. W 1979 r. znalazł się tam ponownie. Pracował w Australii do 1997 r. W 1998 r. nawiązał bliską współpracę z wychodzącym w Melbourne „Tygodnikiem Polskim”, trwającą do 2010 r. W Polsce w dzienniku „Życie” ukazał się jego artykuł *Nasza mała destabilizacja*, o pierwszych czterech latach istnienia „Współczesności”.

W 2016 r. wrócił na stałe do Polski.

Fragmenty

W zastawionej metalowymi szafkami sali panował półmrok. Jasno było jedynie przy oknie pod sufitem. Czuło się zapach roboczych kombi-nizonów. Zza przepierzenia dobiegał kaszel mężczyzny myjącego się pod prysznicem.

– Jak ci poszło? – spytał Karol siedzącego obok kolegę.

– No właśnie. Chciałem się ciebie poradzić. Powiedziała, że jest do mnie przywiązana. Że się jej podobam i takie różne sprawy. Że w łóżku do siebie pasujemy. I dobrze się czuje, kiedy się wybieramy gdzieś dalej samochodem.

- Konkretnie? Powiedziała ci coś konkretnego?
- Że jakiś człowiek chciał ją zaprosić na kolację.
- Wcześniej nic ci o tym nie mówiła?
- Wcześniej coś mówiła. Że byli na kawie. Ale to było dawno. Nie zwracałem na to uwagi.
- I niczego więcej nie zauważyłeś?
- Nie. Może to, że ostatnio była w innym nastroju.
- Jakim nastroju?
- Jakimś takim. Zadowolona, a przy tym trochę zamyślona. Przyjemna, ale w trochę inny sposób.

Wyszli z sali. Przejdziem między półkami doszli do stołów, na których leżały stopy pism. Obok każdego z nich znajdowała się paleta pełna owiązanych sznurkami paczek. Tu i tam stały masywne wózki na makulaturę. Karol sięgnął po pierwszą paczkę i ostrzem noża przeciął sznurek. Wyciągając z pudełka egzemplarze pism, rozmyślał o spotkaniach z Geną. Ile dni minęło od dnia, gdy się wyniosła? To, że przyszła, znaczy, że nie chce zrywać kontaktów. Być może jej sprawa z tamtym się nie ułożyła? A może boi się, że Karol złoży na nią donos do biura zatrudnienia? Że bierze zapomogę i pracuje. Stara się, żeby myślał, że nie wszystko skończone. Może jednak to, co było między nimi, dla niej też jest coś warte? Myśląc o tym, rozcinał opakowania i układał na stole egzemplarze pism. Niektóre wrzucał do pojemnika na makulaturę. Od taśmy przenoszącej gotowe do wysłania paczki, dolatywał warkot silnika. Z dwóch samochodów zza bramy jeden ruszył, zgrzytając skrzynią biegów. Niesiony wiatrem obłok spalin zniknął gdzieś w krzakach, między parkingiem a płotem.

Stojąc przy foliującej paczki maszynie, kolega Karola przesunął ręką wyłącznik i popychając wózek, wszedł między dwa rzędy metalowych półek.

Patrząc w jego stronę, Karol przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył podczas przerwy na obiad. Temu też ciągle coś się nie udaje, pomyślał. Wcześniej jeździł do starszej rozwódki, a teraz jest z Polką, która ogląda się za mężczyznami. Jednak ciągle stara się kogoś dla siebie znaleźć. Inaczej siedziałby z butelką whisky przed telewizorem albo przegrywał pieniądze na koniach.

Przypomniał sobie mężczyzn, z którymi spędzał czas w pracy. Ubrani w wytarte do połysku dżinsy i podarte koszule, układali pisma na stołach albo pchali wózki z paczkami. Ich zmęczone twarze i ruchy wskazywały, że parę godzin wcześniej byli pijani. Któregoś dnia jeden z nich zemdłał, odbierając paczki z transportera. O paru innych Karol wiedział, że w czasie

przerwy obiadowej gromadzą się za budynkiem i razem jadą do baru, po czym zaszywiają się w różnych kątach hali i prawie nie ruszając się, czekają na koniec zmiany.

Wypełniona paczkami hala stopniowo stawała się dla nich drugim domem. Jednak wspólnie wykonywana całymi dniami praca nie sprawiała, że pracownicy stawali się sobie bardziej przyjacielscy. W godzinach pracy raczej unikali bliższych osobistych kontaktów, co akurat było zgodne z polityką kierownictwa. Kobiety, które na prywatnych rozmowach spędzały zbyt wiele czasu, przenoszone były na oddzielne stanowiska. Podczas przerwy na lunch jedni szli do zakładowej stołówki położonej w części biurowej, inni spożywali w kącie hali przyniesione z domu posiłki, popijając je kawą z automatu. Nie przejawiali wtedy ochoty na rozmowy z kolegami.

Karol zdjął fartuch i przejściem między półkami poszedł w stronę ubikacji. Zatrzymał się przy stanowisku Grega, sprawdzającego pracę swojej maszyny.

– Ja na twoim miejscu nie robiłbym z tego żadnej sprawy – powiedział do niego. – Starałbym się, żeby nie czuła, że przejmujesz się jej zachowaniem. I jednocześnie spróbował ją do siebie zbliżyć. To znaczy dać do zrozumienia, że to, iż jest z tobą, jest dla niej najlepszym rozwiązaniem.

Greg uważnie spojrzał na niego znad maszyny.

– To znaczy?

– Że mógłbyś się z nią związać na stałe.

Greg skrzywił się.

– Już parę razy o tym jej mówiłem. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby ją zatrzymać.

Karol nic nie odrzekł, spostrzegł bowiem idącego w ich stronę kierownika zmiany. Kiwnął tylko głową Gregowi i szybko odszedł w stronę ubikacji.

Załoga jego działu to była prawdziwa międzynarodowa mieszanka. Nadzór sprawowali Australijczycy. Wśród szeregowych pracowników byli Turcy i Polacy, spotykało się Włochów i Hindusów, było też kilku Greków, choć ci raczej unikali pracy w dziale zwrotów. Wykonywało się tu bowiem najcięższą pracę w całym przedsiębiorstwie. Zwłaszcza pod koniec miesiąca, gdy następowało spiętrzenie robót i trzeba było zostawać po godzinach. Związywało się wtedy paczki czasopism taśmą i zwoziło elektrycznym wózkiem do magazynu w głębi hali. Za te dodatkowe dwie czy trzy godziny pracy wypłacano od ręki pieniądze. Kupowało się za nie gotowe posiłki,

bo na przygotowanie czegoś do zjedzenia w domu nie starczało już czasu. Rano trzeba było znowu stawić się w pracy.

Wracając z toalety, Karol spojrzał w stronę Grega. Kolega stojąc obok maszyny rozmawiał z kierownikiem. Wyglądał, jakby mu coś opowiadał. Kierownik machał ręką w stronę palet z paczkami.

Znowu u niego podpadł, pomyślał Karol, zajmując miejsce za stołem. Otworzył pudełko z pismami. Szybko wyciągał pogniecione egzemplarze z pudełek i w równych stosach układał na stole. Kątem oka spostrzegł kierownika biegnącego do telefonu, który dzwonił w biurze.

Podczas przerwy znowu spotkał Grega. Razem poszli w stronę automatu z kawą. Z pełnymi kubkami usiedli na stosie połamanych palet.

– Czego chciał od ciebie? – spytał Karol.

– Pytał o maszynę. Bo wczoraj bardzo słabo zgrzewała. Nie wiedział, że wczoraj wymienili

jeden element. Powiedział, że przysła kogoś, żeby mi pomógł roznieść paczki do wysłania.

– Nie miał pretensji, że z tobą rozmawiałem?

– Nie. Przyszedł z biura. Z biura nie mógłby mnie obserwować.

Chwilę milczeli, rozglądając się po wypełnionej paletami hali. Na drodze biegnąca jej środkiem wjechał transporter z belą egzemplarzy pisma „Nowa Idea”. Kierujący nim chłopak o naznaczonej blizną twarzy coś wykrzykiwał i podskakiwał na stopniu maszyny. Pochylił się i na pełnym gazu wjechał w lukę między półkami.

Greg spojrzał w jego stronę.

– Wyglupia się i w końcu spowoduje wypadek – powiedział. – Nie wiem, dlaczego go tu trzymają.

– Trzymają, bo ma brata w biurze. Inaczej już dawno byłby za bramą.

Nie spiesząc się, poszli w stronę swych stanowisk. Karol otworzył pudełko wypełnione komiksami i kilka z nich wsunął pod stół. Raz na miesiąc miał prawo zabrać do domu parę sztuk.

Był zadowolony, że udało mu się załatwić tę pracę. Zdawał sobie sprawę, że gdzie indziej mógł tyrać ciężiej. Tu zaś zajmował się tylko układaniem w stosy tygodników zwróconych ze sklepów. A że czasopisma prezentowały szeroki wachlarz tematów, mógł przy okazji zaspokajać swoją ciekawość świata. Wprawdzie przeczytanie w pracy czegoś więcej niż tytułu i numeru pisma było zabronione, lecz Karol dobrze się orientował, co może znaleźć w każdym z nich i te, w których było coś dla niego interesującego, odkładał

do oddzielnego pudełka. Czekwały tam na wyznaczony przez kierownictwo dzień miesiąca, kiedy pracownikom wolno było skorzystać z prawa do zabrania do domu paczki czasopism. Karol ze swojej paczki zatrzymywał dla siebie tylko kilka sztuk, resztę przeznaczał na prezenty. Gdy udawał się do osób, które go od czasu do czasu zapraszały, poza pudełkiem czekoladek czy butelką wina, zabierał kilka czasopism.

Z czasem gotowość do robienia przyjemności znajomym stała się dla niego dość kłopotliwa. Kiedy po trzech miesiącach pobytu w Australii załatwił sobie telefon, rozmowy ze znajomymi w większym stopniu dotyczyły czasopism niż tematów, które miałby ochotę poruszyć. Kilka razy zdarzyło się, że po rozmowie ze złością odłożył słuchawkę. Jeśli później spełniał te prośby, to tylko dlatego, że zawierając nowe znajomości, nie miał wielkiego wyboru – mógł albo siedzieć samotnie w domu, albo spotykać się z osobami, które działały mu na nerwy. Często wracał z takich spotkań z postanowieniem, że będzie jednak spędzał czas w pojedynkę niż w takim towarzystwie.

Na pogadanie z kolegami z pracy nie mógł liczyć. Zaraz po sygnale oznajmającym koniec zmiany, wszyscy w pośpiechu zbierali swoje rzeczy i biegli do samochodów stojących na parkingu. Tak mało uwagi przywiązywali do znajomości z pracy, że nawet rozmowy w drodze na parking prowadzili w pośpiechu.

Teraz znowu pomyślał o sytuacji, w jakiej znalazł się po spotkaniu z Geną. Jestem sam i jakoś daję sobie radę – przyszło mu do głowy. – I trochę do tej sytuacji się przyzwyczaiłem. Już po paru spędzonych z nią minutach, łatwiej mu się robiło wszystko, co miał do zrobienia. Położył się wcześniej niż zwykle i spał dobrze aż do rana. O świcie z większą niż zwykle ochotą pojechał do pracy.

Spokojnie, bez odczuwanego wcześniej przygnębienia, zaczął myśleć o koniecznych do załatwienia sprawach. Pójść do pralni, zapłacić za telefon, poszukać jakichś tanich koszul w domu towarowym.

Także on, jak wszyscy w pracy, po wypłacie odczuwał zmianę nastroju. Powiększające się oszczędności już po paru tygodniach sprawiły, że poczucie bezpieczeństwa w nim rosło. Wracając do domu, w każdą środę wstępował do banku, by wpłacić dużą część wypłaty na swoje konto. Następnie parkował samochód przy supermarkecie spożywczym, gdzie robił zakupy na cały tydzień. Poruszanie się między półkami z wieloma pięknie opakowanymi towarami, w sklepach nieznanymi jeszcze w jego ojczyźnie, ciągle sprawiało mu przyjemność. Wszystko to jednak nie poprawiało jego

samopoczucia. Całe dni spędzał wśród kolegów w pracy, a ciągle doskwierał mu brak towarzystwa.

Wrzucił do pojemnika tekturę z pudełek i ciągnąc brzęczący na betonie wózek, poszedł w stronę palet wypełnionych paczkami.

Kierownik, siedzący za stołem w biurze, odsunął leżącą przed nim gazetę i sięgnął po zeszyt oprawiony w szary papier.

– Którą paletę zrobiłeś? – zapytał.

– Piątą.

Mężczyzna potrząsnął głową i mruknął z uznaniem:

– Dobry chłopak.

Chwilę patrzył, jak Karol ciągnie wózek z paczkami, po czym podrapał się w tyłek i rozparł się w fotelu za stołem.

W drzwiach łączących halę z częścią biurową ukazała się sekretarka dyrektora. Wysoka blondynka, w obcisłej sukni i butach na szpilkach. Kołysząc się w biodrach i odrzucając włosy spadające na czoło, podeszła do grupy kobiet. Wybrała parę numerów pisma i szybkim krokiem odeszła.

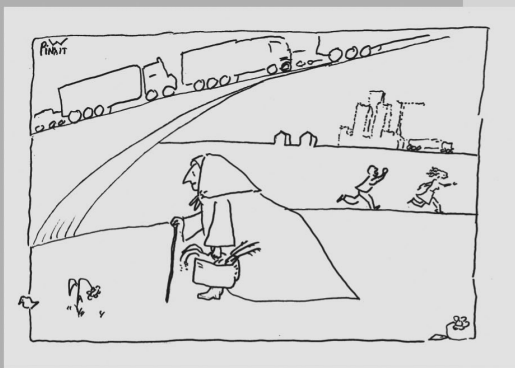
Parę minut przed czwartą Karol złożył pisma i niewidocznym dla kierownika przejściem raz jeszcze poszedł w stronę ubikacji. Wracając, spostrzegł jedną z kobiet, jak parę numerów nakrywa fartuchem i wsuwa do torby na ubrania. Inne pakowały w pośpiechu swoje rzeczy do bagaży i w lusterkach poprawiały fryzury. Greg odłączył zasilanie maszyny, rozpiął kombinezon i też wsunął za pasek spodni parę egzemplarzy. Obciągnął kombinezon i sztywnym krokiem ruszył w stronę wyjścia z hali. Kiwnęli głowami stojącemu w bramie strażnikowi i wyszli na błyszczący w słońcu parking.

Jeszcze parę minut czekania w kolejce do bramy i przed maską samochodu Karola zajaśniała prosta linia drogi. Dookoła rozpostarła się zielona równina. I nigdzie żywej duszy. Pusto na chodnikach i skwerach przed domami. W dzielnicy, w której mieszkał, było to samo. Karol spojrzał na zegarek i policzył, ile czasu zostało mu do wieczora. Z niechęcią pomyślał o powrocie do mieszkania.

Andrzej Chąciński

Jolanta Cywińska

WŁADCY czterech ścian



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom II**Jolanta Cywińska – Władcy czterech ścian**

Autor: Jolanta Cywińska

Tytuł: Władcy czterech ścian

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 224

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-5-7

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Piotr Wojciechowski

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Opowiadania wracają do łask. Po latach, kiedy w Polsce uważano je za rodzaj literackich wprawek, wreszcie wydawcy zaczęli rozumieć, że to ważny gatunek prozy. Dający wiele możliwości autorowi, a jeszcze więcej przyjemności czytelnikowi. Cywińska jest mistrzynią dialogu, budowania napięcia, ale też bawienia czytelnika nonsensem, groteską i żartem. Nawet jeśli dotyka spraw ważnych i poważnych jak śmierć, czy przemoc domowa. Jeśli coś w życiu nie jest możliwe, ona opisuje to tak, że wierzymy, iż istnieje – jak podniebny lot kanapą czy znikające ściany. Mamy tu duże miasta, miasteczka, wsie i ich mieszkańców: czasem buraczanych i zaściankowych, ale zawsze z krwi i kości. Nam bliskich, bo przecież każdy z nas zna kogoś takiego.

Małgorzata Karolina Piekarska

O ludziach można różnie, na serio i z przymrużeniem oka. Jolanta Cywińska, która przez lata pracy dziennikarskiej poznała dobrze nie tylko aspirujących do nowych elit mieszkańców warszawskich blokowisk, ale i ambitnych obywateli prowincjonalnych miasteczek, postanowiła uczynić z ich opisu groteskę. I o ile jedne jej opowiadania jedynie zbliżają się do granic pure nonsense'u, a inne otwarcie ją przekraczają, to w niemal wszystkich odnajdujemy mrożkowskie klimaty. Bo choć czasy się zmieniają, ludzie pozostają w gruncie rzeczy tacy sami i Autorka zdaje się nam o tym na każdej stronie swego zbioru przypominać.

Zbigniew Zbikowski

O autorce:

Jolanta Cywińska – pisarka, dziennikarka i terapeutka. Ukończyła Etnologię i Antropologię Kulturową na Uniwersytecie Warszawskim oraz studium psychoterapii w Instytucie Psychologii Stosowanej w Warszawie.

Fascynuje się człowiekiem i prawami rządzącymi ludzką naturą. W swojej twórczości ukazuje ludzi targanych wątpliwościami i zmagających się z niełatwymi wyborami. Autorka jest również psychoterapeutką, a akcje jej książek są niejednokrotnie tłem dla ukazania najszybszych zakamarków ludzkiej duszy.

Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Opublikowała książki: *Stracić głowę* – 12 opowiadań (2002), *Zamek na skraju światów* (2006), *Etiuda matrymonialna* (2009), *Trzy kroki od miłości dwa kroki od śmierci* (2016).

Na jej autorskiej stronie www.cywinska.waw.pl znajdują się m.in. recenzje i streszczenia wydanych książek.

Fragmenty

Moi rodzice bezradność wobec życia zakrzykują pozornym sukcesem i prą do przodu, objając sobie boki o kolczaste ściany wielu możliwości. Matka znakomicie się sprawdza jako szefowa działu nowatorskich projektów w wielkiej korporacji. Przyznam, że mnie to zaskakuje, bo jest osobą tuzinkową, nie przekraczającą nigdy utartych schematów, mimo to miejsce pracy leży na niej jak ulał. Kocham ją bardzo. Matek w ogóle nie wolno nie kochać. To nieetyczne. Jednak nie mogę jej odpuścić, udając, że nie widzę,

jaka jest. To krzywdziłoby i mnie, i ją. Ona też nie może mi darować, że się nie dość przykładam do życia i pozwalam mu lecieć, jak chce. Ja z kolei nie wierzę, żeby te moje starania wiele zmieniły. Dzisiaj zachłanne rzucanie się do wodopoju kariery już nie gasi pragnienia. Każdy czas ma swoje prawa. Ten dzisiejszy na razie swoich jeszcze nie dookreślił. One dopiero są w organizacji, a poprzednie wyparowały, skropliły się i wraz z deszczem wielu próżnych łez, opadły na ziemię.

Tyle w kwestii matki. A ojciec? W zasadzie, jak zwykle się mówić, jest idealną jej drugą połową. Pracuje jako dyrektor do spraw logistyki w dużej firmie spedycyjnej. Podobny jest do mamy, tyle że mniej związany z domem. Potrafi perfekcyjnie zorganizować sobie życie na zewnątrz i nawet gdy jest z nami, myśli o czym innym.

Podejrzewam, że chętnie podszczypuje sekretarki. Daje mu to odrobinę radości. Jest w trudnym wieku, przytrzaśnięty między kończącą się młodością a nieuchronną starością, więc rozpaczliwie podpira się młodszymi kobietami, chcąc zatrzymać uciekający czas. Nie mamy o to pretensji. Wiemy, że jest zbyt strachliwy, żeby zostawić żonę wraz z całym dobytkiem i odejść w nieznane, a co gorsza, niepewne.

Ojca z natury wszystko nudzi, choć lubi drogie komórki i samochody. Z tego powodu co jakiś czas nasz domowy budżet przechodzi wstrząsy, wysyłając się na przekraczające jego możliwości zbytki. Potem wpadamy w wir niepokohamowanych oszczędności i obywamy się bez wielu potrzebnych rzeczy. Tak wygląda nasz cykl roczny, który zataczamy razem z Ziemią. Kiedy wydaje się, że spadamy, pęd powietrza nas zatrzymuje i jakoś sobie radzimy.

Jest też dziadek. Mieszka z nami od kilku lat i chyba dobrze nie pamięta, którego z rodziców spłodził, bo jedno i drugie nie chce mieć z nim bliższych kontaktów. A wszystko z racji przynależności dziadka do innej epoki historycznej i braku z jego strony chęci dostosowania się do nowych czasów. Dziadek nas obserwuje, czasami wspomina przeszłość, częściej jednak siedzi milczący albo ogląda telewizję. Właściwie dawno skończyłby już w domu opieki. Sama słyszałam, jak rodzice o tym przebąkiwali, ale chroni go emerytura wypracowana w Niemczech, a wypłacana w Warszawie. Miał dziadek fart, że do tych Niemiec swego czasu wyjechał i kilkadziesiąt lat zabawił. Dzięki jego pieniądзом rodzice wiele spraw popchnęli do przodu, a zwłaszcza kredyt we frankach szwajcarskich, zaciągnięty na nasze, bądź co bądź, luksusowe mieszkanie. To zdecydowanie wyratowało go od domu spokojnej starości i będzie ratowało aż do śmierci. Dziadek z natury jest

pogodny, ale rodzicom wydaje się kimś nie z tego świata, bo kompletnie nie rozumie, dlaczego jego bliscy tak sobie komplikują życie. Na przykład dzisiaj zapytał:

– A po co wy w ogóle na te narty jedziecie? Przecież nawet tego nie lubicie i nogę łatwo złamać, i niebezpiecznie. Ja raz w sześćdziesiątym ósmym wybrałem się z Wojtkiem Wypychem na...

– Dobrze, dobrze, ale to zupełnie co innego. Teraz jest inaczej. Zimowy wyjazd na narty zupełnie inaczej człowieka pozycjonuje towarzysko, zwłaszcza jeśli ma się dobry sprzęt. Zresztą nie znasz się na tym – przerwała mu matka.

– I nowy samochód też inaczej pozycjonuje – wtrącił ojciec, poprawiając przed lustrem krawat, bo właśnie szykował się do wyjścia i robił ostatnie poprawki.

– Gdzie mój projekt umowy z Friendem? Nie widzieliście? Siedziałam nad tym do północy i gdzieś się zapodział. Wpadłam na genialny pomysł, opowiem ci, jak wrócę, tylko gdzie on jest? Gabi, nie widziałas przypadkiem?

– Widziałam w łazience, sama go tam położyłaś.

– Racja, chciałam jeszcze na niego zerknąć. Nie umiem siedzieć bezczynnie.

– Nie rozumiem cię, mamo, po co na sedesie...

– Daj spokój, jesteś obsceniczna.

– Krzysiu, zobacz, która godzina. Spóźnisz się do szkoły, a jak się będziesz guzdrał, wylądujesz jak twoja siostra na byle jakiej uczelni.

Mowa o moim młodszym bracie, który żyje obok nas od siedemnastu lat, obojętny na wszystko jak drzewo i daleki jak księżyc. Nawet ze mną mało rozmawia, nie mówiąc o rodzicach. Krzysiek jest mistrzem budowy własnego nieprzenikalnego świata.

– Mamo, ona wcale nie jest byle jaka. Poza tym nie ma to aż takiego znaczenia – zaprotestowałam. Ale matka już nie słuchała, bo właśnie mówiła do dziadka:

– Tatusiu, śniadanko jak zwykle z lodówce, kanapki z wieloziarnistym pieczywem i twarożek.

– Tak, tak – mruknął dziadek niechętnie.

– Kochani, dzisiaj może mi dłużej zejść w firmie, przyjeżdżają z centrali.

– Dobrze, dobrze kochanie – odpowiedział ojciec. – Czy wiesz, że tego tancerza, którego poszukują od tygodnia, znaleźli zamordowanego? Głowę

mu ktoś odciął, słowo honoru. Teraz tej głowy szukają... Aha, przypomniało mi się, wędlinę trzeba kupić, bo już wyszła. No więc szukają tej głowy i szukają, i nie znaleźli.

– Diabeł ogonem przykrył – wtrącił dziadek. – Za moich czasów mężczyźni, tacy prawdziwi mężczyźni, tańcem się nie zajmowali.

– Za tatusia czasów, owszem. Ale świat się zmienił, wydelikatniał, złągodniał, stał się bardziej subtelny, a nie taki szorstki i bezwzględny jak kiedyś – wyjaśniła matka.

– Ale za moich czasów albo kogoś zabijano, albo nie. Nikt głów nie odcinał. To, to jakieś średniowiecze po prostu – zaprotestował dziadek.

– No dobrze, trzeba już iść. Gadu, gadu, akurat rano najbardziej wam się zbiera na rozmowy. Przez te korki trzeba wychodzić pół godziny wcześniej.

– Tato, możesz przecież jechać komunikacją – doradziłam.

– Wiesz, że mam kawał niewygodnej drogi do pracy, a poza tym dyrektor nie powinien tłoczyć się w tramwaju razem ze zwykłymi pracownikami.

– Mamo, a ty?

– Nie zwracaj mi głowy. Zawsze jeździłam samochodem. Nie wyobrażam sobie inaczej.

Stałam w salonie przy oknie i zaczęłam obserwować tę naszą poranną krzątalinę. Właściwie mnie nie dziwiła. Znałam ją od lat, jednak dzisiaj wyjątkowo mnie denerwowała. Przysunęłam się do chłodnej ściany. Chciało mi się krzyczeć, ale po co krzyczeć, kiedy każdy jest zajęty i tylko spojrzy ze zdziwieniem, a potem znowu zacznie mówić o umowach, spotkaniach, wyjazdach, ubraniach. I jak zwykle usłyszę od matki troskliwe rady, jak przeżyć życie, żeby nawet nie zauważyć, że się żyje. Oni są mistrzami marnowania każdej chwili i nawet o tym nie wiedzą.

Dziadek też siedział spokojnie na kanapie i czekał, kiedy wreszcie wyjdą. Potem zbierze resztę sił i zejdzie na dół do sklepu, gdzie kupi sobie boćkę albo salceson, wbrew dietetycznym pomysłom matki. On twierdzi, że na tym, co mu dają, długo by nie pociągnął, ale że lubi spokój, więc spokojnie wyrzuca te matczyne kanapki do śmietnika. – Niby chleba nie można wyrzucać, ale ten ekologiczny, to co to za chleb? W dodatku z twarożkiem i kielkami rzodkiewki. Kto by to zjadł? – tłumaczył, gdy zostawaliśmy sami.

Zastanawiam się, czy ta troska o dziadka nie wynika przypadkiem z jego emerytury w euro. Bo skąd w moich nowoczesnych rodzicach wzięłyby się tyle opiekuńczości? Ale może podejrzewam ich niesłusznie. To, że

znajdują szczęście na dnie torby z zakupami, trochę ich wprawdzie wypa-
czyło, jednak, mam nadzieję, nie do końca.

Kiedy nad tym rozmyślałam, spostrzegłam, że coś dziwnego dzieje się
z naszą reprezentacyjną kanapą, która nie wiezieć dlaczego zaczęła lekko
unosić się nad podłogą, choć to przecież niemożliwe. Prawo grawitacji ni-
gdy by jej nie pozwoliło na takie wysokości, a przecież nikt go dotąd nie od-
wołał ani nie wykazał jego bezużyteczności. Złapałam się za głowę. Może
to halucynacje? Jednak nie, kanapa jest coraz wyżej, a na kanapie siedzi
dziadek, obserwując ją ze zdziwieniem, podobnie jak ja.

– Mamo! Mamo! Coś niesamowitego wyrabia się z naszą kanapą.

Matka wbiegła do salonu, a zaraz za nią ojciec. – Co się dzieje?!

– Ona się rusza.

– Zaraz sobie z nią poradzę – stwierdził ojciec z miną Jamesa Bonda.

– Krzysiu!

– Tak, tato?

– Chodź tutaj szybko! Siadamy na kanapie.

– Ale ja do szkoły muszę.

– Na chwilę tylko.

Podbiegli obaj i usiedli, po chwili dołączyła do nich matka. Zostało
tylko jedno puste miejsce dla mnie. Wahałam się, bo nie widziałam, żeby
naszej kanapie robiło się od tego siadania lepiej.

– Nie ma rady. Trzeba reklamować – stwierdził ojciec, usiłując wszel-
kimi sposobami ściągnąć niesforny mebel na podłogę. Postanowiłam im
pomóc, bo w końcu rodzina powinna się wspierać. Usiadłam więc i dopiero
wtedy się zaczęło. Nagle unieśliśmy się aż pod sufit, a stamtąd jakiś dziw-
ny pęd powietrza pociągnął nas jeszcze wyżej. Wkrótce przeniknęliśmy
przez dach i zanim zorientowaliśmy się w sytuacji, szybowaliśmy wysoko
nad Warszawą, zdziwieni, zbuntowani i mocno do siebie przytuleni, chyba
pierwszy raz w życiu. Tylko dziadek trochę narzekał, że mu się w głowie
kręci i że to chyba od ciśnienia, ale gdy tylko zrozumiał, co się dzieje, za-
milkł i ciekawie rozglądał się dookoła. Znacznie gorzej się zrobiło, gdy
świadomość chwili odzyskali rodzice, którzy, o ile w ogóle nie rozumieli
nieracjonalnych zachowań u ludzi, to tym bardziej u mebli, i w dodatku
spieszyli się do pracy.

– Co się dzieje? Mam lęk wysokości i za dziesięć minut powinnam być
w biurze. Dziś mam ważne spotkanie – zaprotestowała matka. Po tych sło-
wach w kanapie coś zazgrzytało i wysunęło się oparcie dla nóg, z którego
zwykle korzystaliśmy, oglądając telewizję.

– Hurra, fizyka się upiecze i matma też! – krzyknął uradowany brat, który wołałby polecieć choćby na Marsa, niż spędzić kolejny dzień w swojej wysoko stojącej w rankingu szkole.

– Michał, natychmiast coś z tym zrób, przecież nie możemy tak lecieć nie wiadomo dokąd, poza tym może padać i kanapa się zniszczy! – krzyknęła matka.

– Zaraz, zaraz, muszę się zastanowić – odpowiedział ojciec.

– No, wymyśl coś, przecież jesteś mężczyzną.

– No tak. Kanapy zdecydowanie nie powinny latać, to jest kompletnie pozbawione sensu. Może gdybyśmy kupili tę tańszą, to by nie latała, ale ty chciałaś przed koleżankami ładnie wypaść. – I nagle krzyknął strasznym głosem: – Wracać mi na ziemię! Już!

Kanapa oczywiście nie zareagowała. Tymczasem odezwał się dziadek:

– Jak myślicie, dzieci, czy ja pójde do nieba? Tak sobie myślę, że może to po mnie anieli przysłali, a wy przy okazji też się zabraliście?

– Do nieba? – obruszyła się matka – Co dziadek opowiada, to nie tędy droga.

– Dlaczego? Przecież niebo jest wysoko, a my właśnie tam lecimy. Z wami będzie mi przyjemniej, tylko Gabrysi i Krzysia szkoda. Są jeszcze tacy młodzi.

Obejrzałam się. Rzeczywiście szybowaliśmy coraz wyżej, a pod nami, jak co dnia, kłębiło się miasto i rolowała bez końca codzienność. Widzieliśmy jadące samochody, pojeżdżące tramwaje, drzewa i coraz bardziej oddalającą się ziemię. Machano nam z okienek przelatujących samolotów, a my siedzieliśmy jak oglupiali, zastanawiając się, czy tego dnia w ogóle się obudziliśmy i na którym jesteśmy świecie.

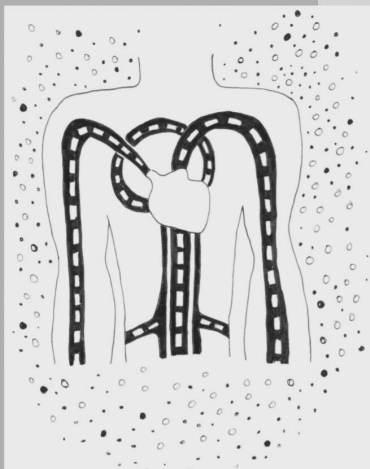
Po pierwszych emocjach w rodzicach wzięła górę ich praktyczna natura i usiłowali się jakoś w tych nowych okolicznościach urządzić. Nie ulecieliśmy jeszcze kilometra, gdy złapali za komórki, żeby dodzwonić się do pracy i poinformować o swojej dzisiejszej nieobecności. Rzecz jasna, żadnemu z nich nie przeszłoby przez myśl, aby powiedzieć prawdę. Pracowali w miejscach poważnych, w atmosferze czystego, wydestylowanego racjonalizmu. Zresztą nikt by nie uwierzył, że ich kanapa miała aż tyle polotu. Wszak meble odzwierciedlają upodobania właścicieli, a moi rodzice nie wierzyli w nic, co nie wynikało z umowy, nie widniało w dokumentach, czego nie mogli potwierdzić oryginałem...

Jolanta Cywińska

Michał Dąbrowski

WSZYSTKO

wydaje się niepełne



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom III**Michał Dąbrowski – Wszystko wydaje się niepełne**

Autor: Michał Dąbrowski

Tytuł: Wszystko wydaje się niepełne

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 96

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-959291-7-5

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Joanna Jagiełło

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Wiersze Michała Dąbrowskiego czytałam, myśląc, dlaczego on nie pisze opowiadań, przecież wystarczy wypełnić gotowe sytuacje szczegółami i to są opowiadania, znakomite opowiadania współczesne. Dopiero potem zrozumiałam, dlaczego „Wszystko wydaje się niepełne” i takie musi pozostać, by zdziwienie, „że to tak”, nie utopiło się w powodzi słów.

Anna Nasiłowska

Codzienność w pandemii to czas na krótkie, szybkie refleksje, ale też długie i głębokie analizy. O dzieciństwie i babci, o znajomościach bliższych i dalszych. Dlaczego się kończą i gdzie podziało się to coś, co nas

kiedys z kimś łączyło? Wiersze Michała Dąbrowskiego wiozą czytelnika przez swój świat jak taksówka czy nocny autobus. Wiozą do knajp, na dachy warszawskich wieżowców i w plener. Na dawne wakacje, które teraz są już tylko wspomnieniem, bo ze znajomymi, z którymi je spędzaliśmy, drogi nam się rozeszły. I tak jedziemy wierszami wszędzie tam, gdzie pewnie w normalnych czasach byśmy pojechali mniej chętnie, ale teraz pędzimy niemal łączywie wraz z autorem. Bo wreszcie gdzieś wolno nam pojechać. Ale cóż... nawet autor o sobie pisze, że jest już innym człowiekiem. Poezja Michała Dąbrowskiego sprawia, że w pandemii nikt nie jest samotny.

Małgorzata Karolina Piekarska

O autorze:

Michał Dąbrowski (ur. w 1982 w Warszawie) – pisarz, poeta, krytyk literacki.

Absolwent kulturoznawstwa. Od 2009 roku współtworzy audycję literacką „Książki pod lupą”. Zadebiutował w 2011 roku utworem *Dłoń*. Portal literacki granice.pl ogłosił ją „Książką na Wiosnę 2011”. W 2012 roku ukazała się druga powieść *Transgresja*. W 2014 roku jego monodram *Szczęście* otrzymał II nagrodę w XI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Stanisława Grochowiaka w kategorii dramatu i słuchowiska radiowego.

Michał Dąbrowski publikowany był m.in. w „Wyspie”, „Pomostach”, „Latarni Morskiej” i „Podglądzie”.

W 2015 roku ukazał się tom poezji *Wiersze*. Mieszka w Warszawie na Ochocie.

Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Fragmenty

lepiej milczeć

niektórzy ludzie
nadmiernie ekspresyjni
cały czas w ruchu
ciągle mówią
opowiadają
nieistotne zdarzenia
urywki czyichś przygód
miejsca na mapie miasta
jednorazowe znajomości
mnóstwo rozmazanych zdjęć

wiem, czemu mnie tam nie ma

już lepiej milczeć
i samotnie z kotem
wyglądać przez okno
na nasz wycinek świata

w nocy

o drugiej w nocy udałem się niedaleko,
z papierosem pod okap;
źle mi z tym, to kolejna taka noc,
dłuży się –

słyszę dźwięki:
szmery,
kocie kroki,
cykanie rzeczy,
wszystko mnie dotyka i nie daje wytchnienia –

śnię się rzeczy głupie i złe: dziwny kolega ze

[studiów oznajmia mi, iż jest śmiertelnie chory,
a ja przepędzam moich przyjaciół i znajomych
[z mieszkania, aby być tylko z nim;
większość z nas ma maski na twarzach

papieros palony w dziwnym stanie
[nie- i bez- senności,
jestem zawieszony w próżni, zresztą ta noc
[również, myślę;

tymczasem za oknem:
otyły mężczyzna na balkonie, nie, jednak nie on,
on jest niezauważalny,
to głosy cieni z osiedla
w tę czerwcową noc
nadają życiu rytm

bez rewizyt

od lat nie mieliśmy kontaktu, zniknęliście gdzieś, przesłonięci przez
kolejne osoby; wtedy, ponad dziesięć lat temu, wydawało mi się, że będzie-
my trzymać się razem zawsze, do końca

nasze wspólne wakacje, grupowe wyjazdy, spotkania bez okazji, od-
wiedziny

w domach, na kluby nie było pieniędzy, mnóstwo wspólnych zdjęć,
dużo planów na przyszłość, dalszą i nie

teraz nic z tego nie zostało, najwyraźniej tak miało być, wystarczyło, że
jeden związek rozpadł się w drobny mak, później rysy pojawiły się na całej
grupie, nic nie dało się zrobić

pamiętam nasze ostatnie spotkanie, znamienne, że na moich urodzi-
nach, był to ostatni akord tej znajomości, potem bez żalu zamknąłem za
wami drzwi, oczywiście obyło się bez rewizyt

teraz nie mamy ze sobą niczego wspólnego, nawet przypadkiem na siebie nie wpadamy, nie podajemy nowych numerów telefonów ani adresów po przeprowadzkach, taka kolej rzeczy

sam niewiele pamiętam,
wszystko zlało się w całość,
byliśmy wtedy za młodzi,
nienastawieni na zapamiętywanie

przyszłość

zobaczcie, jak nisko jest słońce:
pojawia się raz na kilka godzin,
oszukuje, ucieka przed nami

kot budzi mnie o tych samych porach,
drapie w drzwi od sypialni;
wyrwany ze snu patrzę za okno

to jest czas, gdy się umiera,
świat jest szary, nieruchomy,
a moja ulica roi się od duchów

za oknem jest cicho, strasznie,
szare niebo ciąży nad nami;
przyszłość już nie jest niewiadomą;

przyszłość jest zła

Michał Dąbrowski

Nicolas Bouvier

NA ZEWNĄTRZ i w środku



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom IV**Nicolas Bouvier – Na zewnątrz i w środku**

Autor: Nicolas Bouvier

Tytuł: Na zewnątrz i w środku

Przekład i posłowie: Anna Dutka-Mańkowska

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 184

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-8-8

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

W tych niezwykłych, poetyckich reportażach z bardzo różnych miejsc na świecie szwajcarski podróżnik, fotograf, prozaik i poeta w języku francuskim zaklął swój głód życia w całej wielości zarejestrowanych twórczo niuansów, nienasyconie, które najdoskonalszy swój wyraz znajduje w poezji. „Życie towarzyszyło ci jak rój pszczoł / a ty płaciłeś nie targując się / przeogromną cenę piękna” (cytat z jednego z wierszy). Wprowadzony do tomu podział na „stronę zewnętrzną” i „to, co w środku” jest w zasadzie umowny, symbolizuje przede wszystkim zachłanność poznawczą i mistrzostwo językowe Bouviera. Tłumaczka tomu, Anna Dutka-Mańkowska

(skądinąd romanistka), jest sama niezwykle interesującą poetką, toteż jej przekład, niełatwy, czyta się znakomicie: *chapeau bas!*

Krystyna Rodowska

Nicolas Bouvier zasłynął książkami podróżniczymi. Skąd zatem w jego dorobku tom poetycki? Z potrzeby – jak się zdaje – pójścia o krok dalej w próbach uchwycenia niewyrażalnego. Cała twórczość autora *Oswajania świata* wyrasta bowiem z rozdźwięku między intensywnością przeżyć a ułomnością języka, którym staramy się je opisać. W wielowymiarowym języku poezji Szwajcar dostrzegł szansę na zmniejszenie owej przepaści. Szansę tę w pełni wykorzystał, o czym zaświadczały świetne przekłady Anny Dutki-Mańkowskiej, która z wielkim wyczuciem oddała w polszczyźnie delikatną tkanę tych wierszy.

Andrzej Appel

O tłumacze:

Anna Dutka-Mańkowska urodziła się w 1953 roku w Krakowie. Na UW ukończyła w 1977 roku romanistykę ze specjalnością językoznawczą, a w 1979 roku italianistykę ze specjalnością literaturoznawczą. Do roku 1982 – redaktorka w Redakcji Słowników Obcojęzycznych „Wiedzy Powszechnej”. Obecnie – pracownik w Instytucie Romanistyki, językoznawca, doktor habilitowany, profesor uczelni.

Autorka dwóch zbiorów poezji: *Wśród dzikiej mięty*, Wydawnictwo MAJ 1991, *Pierwszy dzień stworzenia*, Oficyna Krakowska 2000, i wierszy dla dzieci *Koalicja z misiami koala*, Sorus 2016.

Tłumaczyła literaturę włoską: obszerne fragmenty I. Sveva, Starość, 1987, A. Valciniego, *Bal w Hotelu Polonia*, PIW 1983 oraz poezję autorów Szwajcarii romańskiej: A. Perrier, *Wiersze*, OPEN 1998, *Nad Jeziorem Lezańskim*, Collegium Columbinum 2019.

Współpracowała z działem przekładów w „Pamiętniku Literackim”.

Publikowała w „Kresach”, „Sycynie”, „Podgłędzie” i w „Literaturze na Świecie”.

Członkini SPP od 1999 roku.

Fragmenty

Ulises

Dla Claude'a

Na południe od relingu
nie ma już nic aż do Antarktyki
Lewiatany i syreny orzą morskie łąki
ten portolan sfałdowany przez fale
gdzie ogromne płaty nieba
spadają zmęczonymi ulewami
i nawet Bóg
nic o tym nie wie

Co wieczór patrzysz jak złoty krążek słońca
z krzykiem zanurza się w cętkowanym morzu
mrugają ślepią grubych kocurów zwiniętych wśród lin
Niebieskie mieczniki pierzchają przed dziobem
zgraja umykających złotników

Od miesiący nie dostałeś listów
jesteś ostatnim z pariasów na pokładzie statku
z umęczonym sercem, szmatą w garści
cały już czarny od wspomnień
nikniesz od drgania śrub napędowych
w uszach słyszysz pradawny śpiew krwi

Słoneczne grudki pamięci
i wyliczanie cudów
gdy umiałeś żyć byle czym
życie towarzyszyło ci jak rój pszczoł
a ty płaciłeś nie targując się
przeogromną cenę piękna

Praz-de-Fort, 1978

Przylądek Kyoga

Na krańcu przylądka, na końcu wszystkiego
świątynia shinto obramowana deszczem
ciężkie belki z kasztanowca
których zniszczone słoje
raz jeszcze chłoną ulewę
przykład stolarki jakiej już nie uświadczysz?
można tak powiedzieć!
pięknej, dla tych którzy ją wykonali, być może
w chwili gdy ocierali czoło
ale dla mnie? rysownika, literata, turysty
a w każdym razie tak nienasyconego.

Półnagi starcze
siedzący na ostatnim stopniu
który kierujesz ku mnie zielone spojrzenie
poprzez zmierzwione włosy
widok to chyba ciekawy
spuść powieki, stary człowieku!
ty i twoje odpowiedzi
zjawiacie się zbyt późno lub zbyt wcześnie
pora żniw minęła
przestwórz zimy i strach przed nią zajmują mnie bez reszty
to śnieg i nieobecność
błagam teraz o ciepło

pokrzywy i kurz
domki zniszczone przez wiatr i morze
jak długo – pytam was –
trzeba mi jeszcze włączyć po świecie
to ja które tak bardzo chciałoby dorosnąć.

Tango-Hanto,
wrzesień 1964

Turkiestan Chiński

Czterdzieści lat marzyłeś o tym miejscu
 żywej bruździe upraw w czerwonym bezkresnym piachu
 Ten wieczór jest altaną z błękitnego cienia
 gdzie woda szemrze kryjąc się przed wzrokiem
 Dzień wyczerpany, ciało wymęczone
 piekące źrenice, skóra sucha od wiatru
 schodzą się i spiskują w ukryciu

Piosenkarka ma oczy podkrążone ze zmęczenia
 bardzo lubię tę zabójczą muzykę
 Ostre pociągnięcie smyczka podcina gardło
 cytara i klarnet krwawią
 gronami ciepłych porzeczek

Głos tej kobiety: chrapliwy, przesycony krwią
 tworzy modulacje i skargi
 gasi gwiazdy
 Odtąd wszystko jest raną i słodyczą

Turfan, lipiec 1984

Perdido street

Pierwsze mrozy
 Na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Columbus street
 Gra na saksofonie i przytupuje oderwanymi podeszwami
 do rytmu
 Czarne włosy, siwa broda, wiek nieokreślony
 Dźwięk jest piękny jak bardzo stary aksamit
 rozbrzmiewa echem w podwórzu domów
 z czerwonej cegły

Gospodynie stawiają siatki pełne kukurydzy
 albo batatów i słuchają
 Jedna robi znak krzyża, drugiej płyną łzy

Jakiś dostawca przystaje, opiera rower o akację
i z zamkniętymi oczami zaczyna wyginać się
jak kobra
Rozpoznałem melodię, którą grał: *Perdido street blues*
Kapelusz zdeformowany i brudny, który położył
przed sobą, napętnia się dolarami
America...!

Kiedy wiatr porywa mu banknot, przydeptuje
go nogą nie przerywając grania
Sklepiarze koreańscy, wietnamscy i portorykańscy
wszyscy stoją na progu, żeby nic nie uronić
z tego cudu
i zaczynają kręcić tyłkiem
Młodość wróciła do mnie jak policzek
Głowa stała się ulem pszczoł złocistych
Stałem tam, długo, przy tej muzyce,
która zagarniała z sobą mój czas utracony
jak unoszone z prądem kłocę pociętego pnia

Nowy Jork, 1992

Wiersz astralny

W hołdzie Vladimirowi Holanowi

Gwiazda Eddingtona nie kłamała zatem
przestrzeń się rozszerza i rozciąga
jaszczurcza skóra na opak
serce bijąc od wszystkiego nas oddala
Już omotani w zapomnienie
dryfujemy jak galaktyki
a opływający nas chłód
obiecuje nam wielkie rzeczy
Kątem oka widzisz jak znikasz
dokąd samo oko nie zniknie

Czy naprawdę trzeba odejść tam
gdzie nawet podlany gwiazdami
figowiec nie zazieleni się znowu
tak daleko
w taką czeluść
jak ci to powiedzieć?
kiedy się znów ujrzymy?

Której komecie spadłej z żyznego nieba
skąpiec użyczy wreszcie swoich pustych pokojów?

Genewa, lipiec 1981

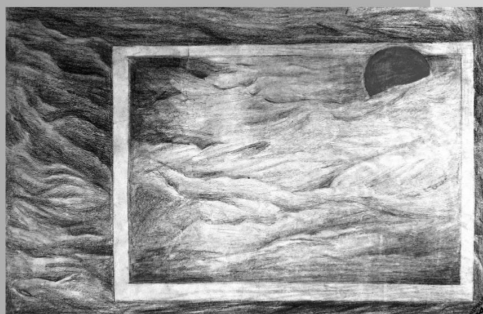
Nicolas Bouvier

Przełożyła Anna Dutka-Mańkowska

Ewa Eysymontt

CON-CORDIA

i inne wiersze



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom V

Ewa Eysymontt – Con-Cordia i inne wiersze

Autor: Ewa Eysymontt

Tytuł: Con-Cordia i inne wiersze

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 106

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-6-4

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Janusz Andrzejczak

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Bardzo poruszające wiersze. Naznaczone niepewnością, poszukiwaniem siebie, pytaniami. „O” nieskończone, ale i najzwyczajniejsze. W powszechnym życiu. W tym osiedlu, tej kamienicy, na rogu tej uliczki, co to WTE-DY I TAM. Staramy się wedle norwidowskiego motta „patrzeć prostopadłe w niebo”, ale czy umiemy zobaczyć? Mieszkamy prawdziwie tu (chyba na Służewie nad Dolinką). Modlimy się, spadając co chwila z trzeszczącej gałęzi. Nieuleczalnie chorzy na wieczność, bo może tylko Bóg jakoś napisać się daje. Pakujemy to, co się dało i co się nie udało. Wszystko teraz składamy do jednej walizki. Piszę słowami tych wierszy – tak już są we mnie. Odma-wiam z poetką: Bardzo czyste są / nasze winy. / Jak szkło. / Bardzo biegli są

/ nasi winowajcy. / Jak rtęć... Niepokojąca, zmuszająca do myślenia poezja. Powiedziałbym, metafizyczna, lecz to tak poskręcane określenie. Ale poezja na pewno z dziedzictwa Sępa-Szarzyńskiego, Karpińskiego, Lieberta. Choć po swojemu dotykająca i życia codziennego, i wieczności. Nas samych i Boga. Ta „szamotanina we krwi” nie jest bezładna. Wszystko, co zapisuje poezja Ewy Eysymontt, ma znaczenie – nie gdzieś tylko w zatrzaśniętych twierdzeniach kontemplacji. Każdy wiersz jest najpełniej obok nas. Gdy jak to zwykle winda nawaliła, wspinamy się po schodach, żeby otworzyć – Takie tam, wielokrotnie skrobane i malowane, drzwi do WTEDY I TAM.

Ernest Bryll

Znaczeniowym i wyobraźniowym ośrodkiem nowych wierszy Ewy Eysymontt pozostaje serce. Z jednej strony jest to serce należące do bohatera tekstów, z drugiej odsyła ono do rzeczywistości Bożej, wskazując – niejednoznacznie, lecz jedynie przez sugestię – na osobę Chrystusa, odwołując się przy tym do ikonografii przebitego serca Zbawiciela. Rytm serca bijącego w wierszach Ewy Eysymontt jest niespokojny, dyktowany lękiem i niepokojem, znajdującym jakąś ostoję w Sercu Jezusowym. Nie mamy tu wszakże do czynienia z liryką religijną rozumianą jako proste przytaknięcie katechizmowej prawdzie. Rzeczywistość tych wierszy ewokuje atmosferę dramatyzmu, znaczonego tak doświadczeniem wewnętrznym bohatera, jak i przywoływanym w tekstach doświadczeniem historycznym. Składają się one na tragizm ludzkiej kondycji wychylonej ku nadziei, upatrywanej w Sercu Najwyższego. I ono jednak jest tu zawsze sercem krwawiącym, rozdartym raną i bolejącym – niejako wraz z człowiekiem – nad udręką stworzenia.

Zofia Zarębianka

O autorce:

Ewa Barbara Eysymontt urodziła się w Lublinie, wychowała na warszawskim Mokotowie. Poetka, redaktor, dziennikarz. Ukończyła polonistykę na UW.

Od 1969 r. drukowała wiersze w prasie i antologiach. Autorka tomików poetyckich: *Cztery głosy świata* (1981), *Votum* (2004). Odchowując dzieci, mając się różnych prac, twórcze istnienie przypominała w Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Nie zarzucając poezji, jako dziennikarz współredagowała pismo dla dzieci i młodzieży „Kumpel” przy „Powściągliwości i Pracy”, „Cienie

i Światło” (dla osób niepełnosprawnych). W parafii dominikanów, w K.O. „Solidarność – Służew” oraz SM „Służew nad Dolinką” pracowała społecznie wśród zaniedbanego wtedy blokowiska, skoro tu znalazła z rodziną przystań. Współtworzyła gazetki, np. „Wiązania”, „Herold Służewa”; pisywała do „Dominika nad Dolinką”. Jako rzeczniczka prasowa w Urzędzie Dzielnicy Mokotów (1992-1999) otrzymała, bardzo dla niej cenne wyróżnienia, medal dr. Jordana i tytuł „Przyjaciela Dzieci”.

Con-Cordia i inne wiersze, niejako powtórny książkowy debiut, łączy epoki w życiu autorki (w latach 1999-2007 powalonej przez depresję), zawsze wiernej żywiołowi poezji.

Fragmenty

Historię odmieniam przez przypadki

Kto dziś w niebo patrzy prostopadłe...
C. K. Norwid „Assunta”

Historię odmieniam przez przypadki
Mianownik niepodległość
Biernik wojnę
Narzędnik z narodem

Wołacz
zwołujący harujący wół
jęk i polot

Wołacz
ku niebu spojrzenie prostopadłe
i prosto padła z nieba na ziemię
odpowiedź
odkrzyk
okrągłe Jego Serca
O

czerwiec – lipiec 2020

Pakowanie

To co się udało
i co się nie udało
– wszystko teraz wkładam
do walizki
systematycznie
głód obok głodu
radość przy radości

I ciemne płacze pakuję
i jasność
i słów marszruty
– mocno dociskając pasy

Na wierzchu kładę kamień
żeby już wszystko to razem
scalić, spiąć, streścić.

Zacieśnić w linijkę serca

2013

Repetitio

Zbyszkowi Jakubikowi

Ciało:
Moja jemiolo,
mój cieniu,
diamencie,
gdy ukryta pod skronią
w krwi obieg mi szepczesz –

zgubić ciebie nie mogę
ani też zrozumieć –
mówisz, że odejdiesz,
mówisz, że miłujesz.
Dusza:

Moje okrutne,
zdradzieckie i biedne –
mówię zawsze to samo,
tłumaczę tę zdradę:
zanim tyś powstało,
zanim ja powstałam –
już knułam odejście
i już cię kochałam.

Ciało i dusza razem:

A kiedy
płomień nas wreszcie spustoszy

– i gdy zwidzę się duszy
spopielałym jabłkiem
– i ujrzy ciało, że mnie sad unosi

wyrzucimy z zanadrza
biel chustek;
niech spłoszy
ten znak,
który sobie oddamy
ukradkiem.

Ulica Kowalska w Lublinie

Piotrowi Matywieckiemu

A ja skąd? Zza rogu,
z tej pochyłej uliczki,
która całkiem straciła nadzieję.
Z drewnianych schodów
o niewygodnie wyżłobionych
przez tam-i-z-powrotem
stopniach.
Z wiecznie śmierzdzącej bramy

i z bezgwieздnego podwórza,
spośród owrzodzeń ścian,
oślinionych rur,
chrypienia rynien –
objanego o mur krzyku
z pożyczoną piłką.

Jestem
z dopalonych po ustniki przekleństw,
nagle jak igła lamentu kobiety
wśród nocy –
nigdy tu niezachodzącej brzydoty.

Jestem zza rogu,
z tej uliczki,
z której odchodzili,
oglądając się za siebie,
ociągając,

z kamienicy, która do końca
– do WTEDY I TAM –
wzbierała w ich struchlałych sercach
tęczą najprawdziwszego raję

Fakt

Gdzie? W przedwyobrażeniu,
gołymi stopami:
osobno każdą raz-raz
ze stop-klatki.

Na stopach pieczęcie
z krwi ciężkiej,
wstęgi wielu wstecz pokoleń,
które teraz w pobliżu ciszy
śledzą trajektorię swych atomów,
pilnują porządku dziedzictwa,

hierarchii i chronologii krwi,
pilnują
szybko schnącej w upale i kurzu
narracji pradziadów.

Szedł więc dalej.
Wędrował wąskim wątkiem Męki
z przedwyobrażenia w powyobrażenie.
W opowieść,
w myśl o tym, co się już stało.

W bosy,
na pokrwawionych stopach,
fakt

2013

Sylwia Gibaszek

UKŁADY izolowane



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom VI**Sylwia Gibaszek – Układy izolowane**

Autor: Sylwia Gibaszek

Tytuł: Układy izolowane

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 74

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-959291-8-2

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Bożena Boba-Dyga

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Autorka z wielką swobodą przechodzi ze światów tak doskonałych jak demokracja pszczelich rojów do krain zorganizowanych w cyberprzestrzeń własnego ciała, paradoksalnie tym bardziej niepoznanych i tajemniczych, a jednak uczących definiowania pojęć, w które się uwikłały. Wiedzie śladami liryki garwolińskich pastwisk, leszczyńskich przedziałni jedwabiu albo nagłych zdarzeń gdzieś na Sycylii, które wytrącają z kolein codzienności. Wszystko po to, żeby w pozornym nadmiarze wiedzy o życiu znajdować wzory geometrii uczuć i postaw, a na tej podstawie także zarysy prawdy. Piękna poezja, każdy może w niej znajdować własne tropy i oceny.

Piotr Müldner-Nieckowski

Nowe wiersze Sylwii Gibaszek, inspirowane w pewnym stopniu sytuacją pandemiczną, przynoszą też nowe rozpoznania. Tytułowe *Układy izolowane* z typową dla jej pasji poznawczej przekorą i ironią przedstawiają obraz związku dwojga ludzi poddanych rygorom ochronnym. W wierszu 2020 poetka drwi z autorów kalendarza, zapowiadających „dobry rok”. Odpowiadając gdzie indziej na pytanie „Skąd jesteś?”, wywodzi swoje pochodzenie „z szumu niewidzialnych elektronów...”. Takie są teraz standardy bycia w świecie, uzależnionym od elektroniki i zdalnych kontaktów między ludźmi. Ale poetka ma też świadomość innej genealogii, łączącej ją z przodkami i rytmem przyrody.

Adriana Szymańska

O autorce:

Sylwia Gibaszek urodziła się 18 sierpnia 1977 r. w Warszawie. Autorka siedmiu zbiorów poezji. Jest absolwentką Wydziału Filozofii UW. Specjalizuje się w filozofii kina. Ukończyła też psychologię oraz Studium Carla Gustawa Junga w Łodzi w zakresie pomocy emocjonalnej w sytuacjach kryzysowych. Na co dzień uczy etyki i filozofii (w języku polskim i angielskim). Swoje wiersze, eseje oraz prace plastyczne publikowała między innymi w „Toposie”, „Twórczości”, „Tekstualiach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Wyspie”, „Przeglądzie Powszechnym”, na portalach: „Zeszyty Poetyckie”, „Latarnia Morska” i „Helikopter”. Jej teksty znalazły się w antologii debiutów po 1988 roku *Miasto nowego millenium*. W 2016 reprezentowała Polskę jako poetka w Europejskiej Antologii Twórczości Literackiej Kobiet.

Fragmenty

Neverending Story

Być jak John Malkovich
od absurdu po erotyki dopięte na ostatni
guzik świeżo wykrochmalonej koszuli

Pisać jak Adam Zagajewski
żyletką albo brzytwą po ścięgniach istot
rzeczy

Mieć temperament Kasztelanowej
Kossakowskiej z Ksiąg Jakubowych

W przebraniu Zorro nabijać fajkę
za mocnym dla wielu mężczyzn tytoniem

Wspierać wolnomularzy
samej otworzyć na oścież łóżę masońską
w sali gimnastycznej liceum
gdzie uczyć filozofii

W ogóle przegiąć tak
żeby popękały wszystkie sprężyny
stały pracowite zegary
a stolica pozostała bez prądu
na długie historie
przekazywane z ust do ust
wszystkimi arteriami

Pierścień Gygesa

I am invisible man – śpiewa Freddie Mercury
gdy premier pije kawę
na tarasie czterdziestego czwartego piętra
spogląda z wysokości na śpiące miasto

Gdyby tak mieć pierścień Gygesa
móc oddawać się namiętnościom
nierządowi władzy absolutnej
incognito – myśli

Tymczasem nad uchem premiera
przelatuje pneuma

Z prędkością światła zmienia
bieg świata
paraliżuje płuca
układy scalone
samoloty
uwięziła ludzkość w sieci
jak ławicę szprotek

Niepotrzebny wcale pierścień Gygesa
I am invisible...

Obcy inny wykluczony

Magdalenie Środzie

Adam
ma trzydzieści lat
autyzm
waży sto trzydzieści kilo
ojciec nie przyznał się do
tak trefnego egzemplarza
ludzkiego rodzaju

Adam z całą mocą swego jestestwa
uderza w ściany i meble
robi tak każdego dnia

Niestety nikt nie odpowiada
jedynie sąsiedzi
wzywają policję

Matka
kobieta marginalna
minus size
czterdzieści kilo żywej wagi
przepraszając że żyje mówi
panie władzo
ale co ja mogę
Nikt nie mówi
jej dzień dobry
prawie niewidzialna
zwłaszcza gdy
wiezie Adama na wózku
jedynie pani Zenobia
z opieki społecznej
kłania się każdego ranka
utykając po schodach
z siatką ziemniaków cebuli
jabłek dla Adama

Przypowieść antydemokratyczna

Robotnice czczą królową jak relikwie
polerują komórki do których składa jaja
niczym złoto najwyższej próby
z pietyzmem urządzają woskowe komnaty

wachlują
wycierają pyłki

nie myślą wiedzione czystością
rasy miodowych genów
modlą się nektarem do swojej pani
celebrytki od urodzenia

królowa pszczoł przychodzi
na świat z wielkim rozgłosem
natychmiast po wykluciu gwizdże
jak lokomotywa

z pozostałych mateczników
odpowiadają tym samym
o kilka sekund a nawet minut
spóźnione wicekrólowe

echolokacja niezwykle przydatna
od razu wiadomo
gdzie są te które natychmiast
trzeba przekłuć
świeżym żądłem jak włócznią
w świecie pszczoł
liczy się władza absolutna
ślepe posłuszeństwo feromonom

Na bagnach

usypiska zbutwiałego drewna

huby z nimi
niedbale
sycą się niebytem

brzozy w bagnie jak kobiety
na peronie w Radości

jadące do pracy przed świtem
po lasach echo pociągów się niesie

bezzębne więdźmy śpią pod brzożami
sączy się fiolet z niedopitych butelek
rozgrzanych niedopałkami

o brzasku zostają
różowe mydliny po gwiazdach

kiedy ranne wstają zorze
kosmos bardzo litościwy
tuli do siebie bezdomnych i sytych

gejów i ich matki
księżne dziwki księgowe
pomywaczki

a nawet tych co mają wieprzową wątrobę
w miejscu serca i krew na rękach

wszyscy są tylko aspektami
ułomnego wszechświata

tylko torf po nich zostanie
całe lata świetlne
nad czarnymi dziurami

Sylvia Gibaszek

Stanisław Janke

MÒRZKÙLOWIE



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom VII**Stanisław Janke – Mòrzkùlowie**

Autor: Stanisław Janke

Tytuł: Mòrzkùlowie

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa,
Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej
w Wejherowie

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2021

nr wydania: I

liczba stron: 172

format: 125×200 mm

numer ISBN 978-83-961519-7-1; ISBN: 978-83-66052-87-1

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Janusz Andrzejczak

Redakcja tomu: Roman Drzeżdżon, Mateusz Klebba

Korekta języka kaszubskiego: Roman Drzeżdżon, Mateusz Klebba

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Nie ma w tej książce sensacyjnych wątków, nie ma spektakularnych zwrotów akcji, nie ma nadzwyczaj urodziwych kobiet ani bogatych mężczyzn pragnących władzy nad światem. Jest za to (o)powieść-metafora, która zaprasza do (po)myślenia o tym, co być mogło albo co być może. To (o)powieść, która w taki czy inny sposób zmusza Czytelnika do rozstrzygnięcia, czy to, o czym pisze Autor, jest prawdziwe, czy też – jest to tylko

imaginacja. Pewne jest także to, że pomiędzy prawdą i iluzją nie ma tam Autora, jest tylko Czytelnik i jego (po)myślenie.

prof. Adela Kożyczkowska

Najnowsza mikropowieść Stanisława Jankego *Mòrzkùlowie* została napisana w języku kaszubskim, najbliższym mu medium artystycznego nazywania świata. Jest to opowieść rozgrywająca się w średniowieczu, kiedy na scenę historii wkracza Barnim, książę pomorski, a wraz z nim kulturowa obecność Kaszubów. Janke nasycił utwór mnóstwem elementów etnograficznych, które ukazują tradycję kaszubską w jej specyfice i bogactwie. *Mòrzkùlowie* to utwór wieloskładnikowy. Czytelnik może skoncentrować uwagę tak na głównym męskim bohaterze Wòdze, jak i na wątkach kulturoznawczych, z przedchrześcijańskimi wierzeniami Kaszubów i sferą obrzędowo-obyczajową oraz społeczno-mentalnościową.

prof. Daniel Kalinowski

O autorze:

Stanisław Janke jest dziennikarzem, poetą i prozaikiem, tłumaczem, twórcą i historykiem literatury kaszubskiej. Pochodzi ze wsi Lipusz, urodził się 20 marca 1956 r. w pobliskiej Kościerzynie. Od 40 lat mieszka w Wejherowie. Jest autorem kilkunastu książek poetyckich i powieści napisanych w języku kaszubskim. Wśród jego powieści kaszubskich znajdują się *Łiskawica* (Błyskawica) 1989 i *Cěsk* (Strach) 2020. *Łiskawica* została przetłumaczona na język angielski jako „Flash in the Dark”. Napisał też sztukę sceniczną *Roczėzna* (Urodziny). Wydał także powieści w języku polskim: *Żółty kamień* 1998, *Lelek* 2001, *Piękniewo* 2005, *Droga do Korony* 2008 – rzeczy osadzone w realiach współczesnych Kaszub. Przetłumaczył na kaszubski *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza (*Pón Tadeùsz*) 2010. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Polskiego PEN Clubu. Jest Honorowym Obywatel Gminy Lipusz.

Fragmenty

Nôstarszi Mòrzkùlowie pòwiôdelë, że baro dôwno temù òd stronë mòrza przëszlë stolëmòwie. Òni wëzdrzelë jak lëdze, mielë jasné włosë, ale bëlë tak wësoczi jak nôwiãksze chójczy, a niejedny jesz wiãkszi. Stolëmòwie bëlë taczi dłudzi, że szlë ren przez jezoro, a głowë jima wëstòwałë nad wodą. Òni mòglë zrëwac blónë z nieba, a nima cëskac na pòla, abò dwigac wiôldzé kamë a nima szmërgac, niejedny z nich tima kamama sã ze sobą biòtkòwelë. Czej òni szlë, tej dërzała zemia. Te wszëtczé dolëznë w Mòrzkùlie, to òni mają wëtrãptónë. Jich białczy, stolëmczi, sëpalë piòsk do jezorów, a robiłë òstrowë abò półòstrowë. Czasama jich lëdze pùcowelë. Jeden stolëm chciò miec lëdzką białkã, a òna sã zgòdzëła, le mù zadała taką robòtã – żebë òn przeniòsł chójczy z jednégo kùńca lasa na drëdżi. I to òn zrobił, wërwòł je z kòrzeniama, przeniòsł i zasadził na drëdżim kùńcu. Ale tej białka zadała mù jesz jednã robòtã, òn miòł przënesc sëchi piòsk znad mòrza, z dunów, a na jednã grëpã zaniesc. I òn tegò nie pòtrafił zrobic, bò piòsk przesëpiwòł sã jemù midzë pòlcama. Jiny stolëm widzòł jak na pòlim mòli człowiek, wedle niegò robòczk, òrze w sztëre wòłë. Tak stolëm wzał nen sztëk pòla, tegò chłopca z wòłama, wsadził w rãków a przëniòsł dodóm. Jegò białka równak rzekła: „Dòj le mù pòkù, nen mòli stwòr nas wszëtczych stãdka wënëkò”.

Ale do zgùbë stolëmów zaprowadził nié człowiek, le smòczi. Stolëmów ni ma, bò je pòzarlë smòczi, z nima òni sobie równak nie delë radë, bò smòkóm z pësków szedł òdżin, a jich pòlëlë. Smòczi miałë sémë ògònów, temù je zwelë sémëgromisté, a to w całoscë òznòczało, że są baro wiôldzé, ò wiele wiãksze niżle stolëmòwie. Ale òne téż wëdżinãlë, bò w kùńcu słuńce zaswiécëło jima w pësczi òd przòdkù na lewé ùszë i tej òne pãklë, a jich krew sã rozlała na pòle, chtërne dzys sã zwie Czerwònicã. Niejedny gòspòdòrze, chtërny òrelë pòle, a tamò ùzdrzelë wiôldzé gnòtë, bëlë dbë, że òne są pò zabitéch przez smòczi stolëmach. Jeden gbùr nawetka wzał taczi wiôldzi gnòt i pówiesył sobie w paradnicë na pamiãtkã.

Nòbarzi ze wszëtczych Mòrzkùlowie bòjelë sã wieszczich. Wieszczim bëło ju dzeckò, chtërne sã ùrodzëło w czòpùszkù na głowie abò z dwùma zãbama na przòdkù. Niejedny jak to widzelë, to taczé dzeckò wiészëlë abò topilë. Dozdrzeniałi wieszczci miałë colemało czerwòną twòrz. To mògł bëc téż człowiek, chtëren wiedno widzòł dësze ùmarlëch abò chłop, chtëren chòdził òbczòs swòjégò spikù pò chëczach. Krew wieszczégò Mòrzkùlowie

dowelë do wëpicò ùmiérającym, a tej òni pò smiercë nima sã nie stowelë. Niejedny ùmarlémù kledlë pòd jãzëk strzébrznégò dëtka, a jiny – krziżëk zrobiony z wòskòwiznë. Czej w jaczis rodzëźnie docygelë sã, że ùmarli mòże bëc wieszczim, tej jemù przed pòchówkã dowelë do rãczy sztëczk ja-dra, żebë òn je długò rozpëzglëwòł, a lëdzóm dół pòkù. Ksądz jima gòdòł, że to są babónë i klakutë, ale tak pò pròwdze òn téż miół ùrzas przed wieszczima. A òni wëlòzël z mòdżiłów i błãdzëlë pò zemi. Jak wiele w jed-ny rodzënie ùmiérało, tej to òznòczało, że westrzódka nich bëł wieszcz. Żebë òn nie wcygòł zëwëch w smierc lëdze òdkòpiwelë mòdżiła a ùcynelë jemù jednym mòchã głowã torfowã szpòdã, a jã kledlë midzë stopë, żebë ni mógł pò niã sygnãc. To pòmògało, ale ùrzas wcyg bëł. Ti wieszcz, jak lëdze òdkòpiwelë zarczi⁵⁶ i zdrzelë na nich, to òni colemało mielë òtemklë òczë, a nima i głowã rëchelë, cos pòd nosã mërmòtelë, a kòszlã i wszëtczë ruchna mielë pòżartë. Mòrzkùlowie bëłë ùrzasłi, czej czëlë zwãk bùgrowaniò.

Czej wieszczu szedł, tej to robiło:

– Łup, łup, łup... łup, łup, łup...

Mòrów sã téż bójelë, ale nie tak jak wieszczich. Mòrë wëchòdalë z lëdzy jakò dësza, a sã tacëlë colemało w brzadze. Òne sã wierã brałë òd biał-ków zgardonëch przez chłopów, òd dzëwczątów pòrzëconëch przez bën-lów. Jiny pòwiòdelë, że òne téż sã skriwają w kòtach, mësach, kãtorach czë żnijach. Czasama sedzałë w biédach, tej tëch nie bëło wòlno zabijac abò wëriwac jima lecëdelków jak to robią dzòtci, bò to bë dało pòmstã. Niejedny pòwiòdelë, że mòrã mdze ta, co sã ùrodzy z zajcowã gãbã. Òne mòrzëlë lëdzy i zwierzãta, colemało w nocë, le nòpierwi jima spiwalë. Człowiek dëszony òprzez mòrã wiedno bëł jaż zmòkłi òd ti ùcamiãdżi. Pò tim miół téż wiòldzi ùrzas, a bëł czësto zmetlałi. Lëdze przez to zaczinelë chòrzëc i ùmierac. Kògò mòra dësz, nen żebë temù zaradzëc mùsi spac na brzëchù, rzecã w gòrze. A czej òna gò tamò kùsnie, tej òna zarò ùceknie. Dobrze téż je spac z camrã drzewa, bò to jã mòże zmilëc, òne tej sadzą na nen kloc, a nie widzą człowieka. Czej kògòs dëszila mòra, tej nen człowiek miół pòwiedzec:

– Przindzë znòu witro reno na frisztëk, a przëniesë ze sobã lëszeczka. Czej reno przëszła białka z lëszeczkã, tej to òznòczało, że to òna je tą mòrã.

Czej Nënka bëła ju w pòłowie niesama, tej òdczuwała krãpë, bò Wòda dostòwòł cwiardi brzëszk. Nënka wiele tej jadła, a miała szmakã na słoné i kwasné. Òna téż pòstrzëgła, że z ji cëców wëcëkò sara, ale tej czej òna nacëskała piersną bardówkã. Tatki ji gòdòł przekàsno, że òna ju pùchnie. Białkóm w niosbie zakòzywelë robic w pòlu, ale òna na to nie zwòzała

i robiła jesz wiācy niźle przódě. Ale òna nie zdrzała w szpédzelk, bò dzeckò bë mògło bëc zgnilé, nie chòdzëła do ùmiérającëch ani na cerkwiszczë, bò dzeckò bë mògło zarò pò ùrodzenim ùmrzéc. Òna wiedno szła z drodżi przed kalékama i òbarchniałima, bò tej dzeckò bë mògło sã stac jak òni. Baro téż ùwôżała, żebë nie jic midzë dwùma jinyrna białkama w niosbie, bò tej bë Wòda òstòł mòrą. Òna téż wszëtczim òdmôwiała, czëj jã prosëłë, żebë bëła chrzestną, bò jakbë sã zgòdzëła, to bë w ni dzeckò ùmarło.

Stanisław Janke

Agnieszka Wesołowska

NIEFRASOBLIWA



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom VIII

Agnieszka Wesołowska – Niefrasobliwa

Autor: Agnieszka Wesołowska

Tytuł: Niefrasobliwa

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2021

nr wydania: I

liczba stron: 98

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-9-5

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Piotr Müldner-Nieckowski

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Takich wierszy nie da się zaplanować. Kiedy autorce się zdarzały, były zapewne odkładane i czekały, aż zdecyduje się na nie jakaś szczególna książka. Okazały się traktatem o pewnym stanie psychiki, o niefrasobliwości. Ale nie beztróście. Są czymś w rodzaju studium wolności, i to właśnie nie tej dowolnej, a także ciągiem lirycznych odpowiedzi na pytania, kim się jest, gdy w chwilach wielkich napięć trzeba się wycofywać do swego

wnętrza. I jak się z tego stanu wydostawać. Też które słowa i metafory są wobec tego właściwe. Czy odpowiednio reagują.

Piotr Müldner-Nieckowski

Ani to konstrukcja, ani dekonstrukcja świata. Agnieszkę Wesołowską pociąga świat rozproszony. Człowiek rozproszony. Ulegający baśni. Złudzeniu. Czemukolwiek, co mogłoby istnieć. W poetyckim rozmarzeniu nawet istnieć powinno, ale... nie istnieje. Fenomen tych utworów to tkanie czegoś, czemu brak determinacji. Bo determinacja nie jest życiu do życia niezbędna. Tu nie chodzi o przetrwanie. Tu chodzi o pokorne piękno, np. piękno straty. „Mam prawo tracić”. Piękno straty w „świecie, który przebrał miarę” budzi zachwyt bez zachwyty. Budzi nieistnienie: „skończy się ta zwrotka / i wszyscy się rozejdą / usłyszą podobne słowa / i wcale ich nie zauważą / dlatego czasami piszę wiersze”.

Krzysztof Bielecki

O autorce:

Agnieszka Wesołowska urodziła się w 1984 roku. Związana była z pismem literackim „Łabuź”, który wydawany był w Łobzie na Pomorzu Zachodnim. Tam też mieszkała od urodzenia, potem przez jakiś czas w Szczecinie, Krakowie i Poznaniu. Ukończyła Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie, Wydział Pedagogiczny. Od kilku lat znowu mieszka w Łobzie.

Autorka arkuszy i książek poetyckich, m.in. *Ars vitae. Listy do niešťczęśliwych* (Oficina Wydawnicza Atut, Wrocław 2008); *Dwuznaczny* (Książnica Pomorska, Szczecin 2000; wyróżnienie im. K. Iłakowiczówny za książkowy poetycki debiut roku); *Zgubić pytania* (Żebracza Inicjatywa Wydawnicza Klubu Literackiego Łabuź, Łobez 1999).

Współpracowała z Polsko-Niemieckim Towarzystwem Literackim (Verein zur Förderung der Deutsch-Polnischen Literatur) WIR. Publikowała w różnych czasopismach (m.in. w „Pograniczach”, „Zeszytach Literackich”, „Dekadzie Literackiej”). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Wiersze zebrane w książce pochodzą z lat 2007 – 2013.

Fragmenty

* * *

Ten pełen liści w chmurach
mówi mi że mam
rzeńskie czoło

mówi tonem młodego kornika
pleśniejącego drewna
wszystkiego co zaczyna
nowe życie

że po moich policzkach
płynie poranek że odlatuje potem
do ciepłych miejsc

zawsze na dłoni
trzymam dziesięć agrestów
tajemnicę narodzenia

potem jeszcze spoglądam
na znak krzewu
na twoim czole

* * *

Patrzysz jak chryzantema
za oknem obce liście

to wszystko co ma
do powiedzenia jesień
a moje ciało słucha
i nie wierzy w złoto
na obrazach

ziele losu

rośnie dziko
we mnie

Na swoje dwudzieste
piąte urodziny

A przecież miałam być granicą
do której się nie dociera
podróżą z której się nie wraca
jeziorem które nie zamarza zimą

miałam wyczerpać radość
całymi garściami miałam zbierać
jagody księżycy
oddawać piękno świata
jak długi

a co robię
przenoszę góry
zbierające się nad miastem
stosy niezaprzeczalnego sensu
dźwigam

usiłuję dostać się
do wnętrza
domu
w którym zatrzasnęłam
ważne przedmioty

usiłuję dostać się
do wnętrza
kukułki
w której przechowuję
siebie i kilku bliskich

chcę dokapać się
własnej kałuży
szczęścia

* * *

Zazwyczaj mieszczę się na jednej stronie
jak Calineczka mieściła się
w doniczkach w łupinach

co prawda mogłabym
być jej matką
choć nie wiem nie wiem
tamtej kobiecie
nie było chyba lekko

powietrze czasem jest strone
i wtedy nie wiadomo nawet
jak westchnąć

widzisz ja jestem
gotowa tylko na życie
dobre lub złe

bajka przerasta
świat mój sklecony z ziemi
spada mi na czoło

* * *

Wiesz tu jest bardzo cicho
tak cicho że słyhać
jak jabłka zmieniają kolor

po południe w lesie
chrust zaowocuje
jeszcze tej zimy

Agnieszka Wesołowska

Waldemar Okoń

DNIEWNIK



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom IX**Waldemar Okoń – Dniownik**

Autor: Waldemar Okoń

Tytuł: Dniownik, czyli kronika niezapowiadanych śmierci

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2021

nr wydania: I

liczba stron: 496

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-4-0

ilustracje: brak

cena: 40,00 zł

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

To, co w nas zapisane, to transcendentna potrzeba streszczenia czasu i próba powiązania tego z podświadomością. *Dniownik* Waldemara Okonia to dowód zatrzymania w słowie tego, co nasycza nas w ciągu dnia światłem, doświadczenie mijającego życia, traktowanego jako fenomen twórczej pamięci.

Gabriel Leonard Kamiński

Lektura *Dziennika* Waldemara Okonia jest wtajemniczeniem. Jest odczytaniem otaczającego nas świata w taki sposób, jakby autor tej książki znalazł się po drugiej, magicznej stronie lustra. Takie lustra znajdziemy w borgesowskim Uqbarze, trafimy na nie w skromnym lizbońskim mieszkaniu Fernada Pessoa, ale najpewniej przejrzymy się w nich, czytając wielkie literackie diariusze zapisujące rzeczywistość poetyckim szyfrem. Siła tego dziennika nie polega jednak na tym, że z jego pomocą możemy wrócić do tego, co minęło. *Dziennik* potrafi bowiem zatrzymać czas; jak każde genialne dzieło.

Krzysztof Rudowski

O autorze:

Waldemar Okoń – poeta, historyk sztuki, krytyk artystyczny, kurator wystaw sztuki współczesnej, absolwent filologii polskiej i historii sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego, specjalizuje się w historii sztuki XIX i XX wieku. Opublikował szereg książek oraz kilkadziesiąt artykułów poświęconych tej epoce. Wydał również dziewięć tomów poezji – ostatni, *Jeszcze jeden tom wierszy* (wersja polsko-francuska) w roku 2021, scenariusz widowiska teatralnego *Antoni S., czyli Wieża Babel* (1995) i cztery wybory prozy poetyckiej. Poza tym książki prozatorskie: *Max z drugiej strony ulicy* (2015), *Jestem jak echo. Rok 1983* (2017), baśń dla dzieci i dorosłych *Michał i Księżyc* (2019), monografie *Jan Matejko* i *Stanisław Wyspiański* (1998) oraz *Kresy w malarstwie polskim* (2006). Stypendysta Fundacji Lanckorońskich i Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej. Od 1996 roku członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Profesor, pracuje w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego.

Fragmenty

Czytam o pięknym i ostatecznie szczęśliwym życiu Zbigniewa H. Polska epoki komunistycznej miała swoje uroki. Była wyraźnie zdefiniowana, ucieczka od niej stawiała się w tak zwanym inteligentkim świecie czymś oczywistym, emigracja, pomimo swarów i kłótni, zbliżała ludzi, poezja miała znaczenie, o poetach nieustannie mówiono i pisano. Ton dyskusji nadawał niewielki procent społeczeństwa, który obecnie jest w największym stopniu lekceważony i poniżany. Pogarda dla sztuki ze strony dawnych towarzyszy szmaciaków i obecnych narodowo-patriotycznych ciemiaków, to dwie różne pogardy. Obecna jest o wiele bardziej przerażająca, ponieważ jest rodzimego chowu i nie stoi za nią żaden zewnętrzny, prymitywny agresor. Szkoda, że Zbigniew H. nie dożył dzisiejszych czasów. Ciekawe, jakie wiersze napisałby jako sztandarowy obrońca stoickiego ładu moralnego i wyznawca absolutnej harmonii w sztuce. Jego biografia liczy blisko dwa tysiące stron. Ktoś to jednak napisał i opublikował, mówisz, może nie jest aż tak źle. Może przemawia przez ciebie zwykła ludzka zazdrość, może przemawia polska niechęć do sukcesów innych ludzi. Może przemawia, mówię, jestem człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce. Czasami jestem po prostu lekko wkurwiony, ponieważ nie wiem, jaką powiną zakończyć ten tekst i dlaczego biografia, którą czytam, też mnie ostatecznie wkurwia, chociaż jest niezwykle pouczająca i niesie w sobie wiele godnych zapamiętania i dostojnych myśli.

W reklamie ohydnych, plastikowych ciasteczek grupa młodych ludzi stojących na pięknej, śródziemnomorskiej plaży nagle ożywia się po zjedzeniu jednego ciasteczka. W tle staruszek stojący przy wyciągniętej na brzeg łódce też zaczyna podrygiwać w takt pojawiającej się nagle rytmicznej melodii. Staruszkowie w reklamach zachwalają lekarstwa na liczne dolegliwości wieku starczego i podrygują nieudolnie w tle dorodnych młodzieńców i dynamicznych panienek. Jako staruszek chciałbym przeciwko temu zaprotestować. Nie kupię tych ciasteczek i nie życzę sobie być tłem dla młodzieńczych wygibasów. U boku staruszka powinna być świeża,

młoda dziewczyna z biustem przynajmniej czwórką DD, albo starsza pani o pięknych, srebrnych włosach, z dużą rybą w dłoni symbolizującą okazałego dojrzałego penisa. Morze Śródziemne może pozostać i łódź przypominająca jakże znaczący tytuł opowiadania Hemingwaya. Kocham to opowiadanie, ponieważ zawiera w sobie sporo głębinowego erotyzmu, nieobecnego w klasycznej polskiej literaturze. Wystawa prac plastycznych zatytułowana „Erotyzm po polsku”, którą widziałem kiedyś w Warszawie, pełna była bólu, cierpienia i charakterystycznej dla nas łózkowej martyrologii. Teofil Lenartowicz, któremu spodobała się w Rzymie pewna ponażna Włoszka, pisał w liście do przyjaciela, że nie mógł jej ostatecznie pojąć, „ponieważ Polska jest w potrzebie”. Na szczęście młodzi ludzie jedzący ohydne ciasteczka nie wiedzą, kim był Teofil Lenartowicz. Może wie coś o nim staruszek stojący przy łódce, którego zachęcam, aby przestał podrygiwać i zajął się poważnie którąś z proponowanych mu przeze mnie kobiet. Ryba będzie wtedy miała szczególny smak i zapach, jak dotyk pokrytej kroplami słonej wody skóry, jak promienny zachód słońca na pustej, dzikiej plaży.

Tertulian: „Syn Boży został ukrzyżowany, nie zawstydzi to, ponieważ zawstydząć powinno. I umarł Syn Boży, jest to godne wiary, ponieważ jest absurdalne. I pogrzebany zmartwychwstał, jest to pewne, ponieważ jest niemożliwe”. Cytuję za Miłoszem, który nie podaje źródła cytatu. Być może nie są to słowa Tertuliana, ale polecam je naszym księżom, którzy mogliby czasem coś sensownego przeczytać. Uwielbiam paradoksy, prawda jest paradoksalna. Uwielbiam absurdy, piękno jest absurdalne. *Et sepultus resurrexit; certum est, quia impossibile est.* Coś jest pewne, ponieważ jest niemożliwe, coś jest niepewne, ponieważ jest możliwe. Dzisiaj odwracamy znaczenia, nasze paradoksy są jeszcze bardziej perwersyjne i nie muszą dotyczyć spraw wiary. Tertulian bardzo wyraźnie rozgraniczał sprawy duszy i ciała. Dzisiaj ciało stało się naszą duszą i poświęca mu się nieskończenie więcej uwagi niż sferze ducha. Duch został zinstytucjonalizowany lub uleciał w niepewne, nirwaniczne dale. Zielona łąka jest już mało przekonująca, podobnie jak chóry anielskie i staruszek z siwą brodą. Osiągnęliśmy pewność, że nic nie jest pewne, a teatr absurdu przeszedł do szacownego archiwum, w którym kurzy się i blednie, ponieważ rzeczywistość przerasta

go każdego dnia w coraz większym stopniu. Czy są jakieś paradoksy związane z dobrem? – pytasz. Pewnie są, mówię, ale większość z nich jest niedobra. Dobro prowokuje do snucia zawitych rozważań nudziarzy i moralistów. I dewotów, dodajesz. Oczywiście, mówię, dewotów, na szczęście w osiemnastowiecznej Polsce niewiele ich było, za to dewotek znacznie więcej.

Nasz ciepły futerałik, wata, otulina. Tutaj mieszkamy i coraz trudniej jest nam wyjść na zewnątrz. Na zewnątrz są tylko smoki, góry wysokie i przepaści bez dna. Każde z nas ma tu swoje miejsce, odrobinę wolności, trochę czasu dla siebie. Patrzymy z góry, jak inni się męczą, siedzimy na tarasie osłoniętym od nadmiaru słońca i od zbyt silnych wiatrów. Potrzebny jest też parasol i świadomość, że nie musimy dzisiaj nic robić. Dlatego patrzymy przed siebie wpatrzeni w swoje wnętrza. Niekiedy pojmujemy je dosłownie, ale fizjologia nie jest mocną stroną sztuki klasycznej. Body art nas lekko przeraża, by nie powiedzieć śmieszy. Nasze obsesje są bardziej subtelne. Nie przestawiaj kubka na półce, ulóż buty, posprzątaj po sobie, znowu naczynia w zlewie są brudne i siadają na nich muchy. Zauważyłeś/zauważyłaś, że muchy w tym roku są bardziej natrętne i mają wielkie, błękitne odwłoki? Jak w „Panu Tadeuszu”, muszę to sprawdzić, mówię, są to muchy szlacheckie, które mają błękitną krew i potężne skrzydła, jak nasza husaria pod Wiedniem. Wszystko jest nasze, futerałik, husaria, muchy, fizjologia. Jesteśmy właścicielami tylu rzeczy i pojęć. Tylko serce nie jest do końca nasze. Może przestać nagle bić bez naszej wiedzy i zgody. To nie jest *fair*, ciało najwidoczniej nie jest nasze. Należy do kogoś innego, kto nim zarządza do czasu, aż mu się to znudzi i powie: wystarczy. Przedstawiciele body artu mają rację, że tak usilnie się nim zajmują. Chcą najwidoczniej udowodnić innym i sobie, że nad nim panują i mogą nawet ostatecznie je zabić. Do tego niepotrzebny jest body art, mówisz, wystarczy pętla albo trucizna. Pomyśl o sposobie Seneki, też jest całkiem dobry. Myślę, wtulam się coraz bardziej w mój futerał. Myśli krążą tam leniwie, muchy szczęśliwie odleciały do muszowego raj, ciało/ciała zasypiają, dążą do odkupienia czy czegoś takiego. Ale kto je od nas w naszym wieku zechce kupić? Nie myślmy już o tym. Śpij lepiej. Nie zwracaj głowy.

Leniwe przepływy lata po raz kolejny. Czy zauważyłeś, że Magritte jest lepszy na ilustracji niż w oryginale? Czasami tak bywa, mówię, szczególnie w partiach nieba. Czy jest jakaś partia nieba? – pytasz. Tak się mówi wśród historyków sztuki, jest też partia ziemi, nie ma tylko szczęśliwie partii ludzi. Ludzie są figurami albo postaciami, historia sztuki jest mądra, woli to, co jest stałe, a nie to, co się zmienia i jest śmiertelne. U Magritte’a jednak ani ziemia, ani niebo nie są stałe, rozbił je na sześciany i prostopadłości, zachowując pozorną jedność błękitno-zielonego tła. Ukazana figura też jest fragmentaryczna, zauważasz, kobiety często są fragmentaryczne, szczególnie w antycznej rzeźbie. To nie są kobiety, mówię, to są rzeźby, one podlegają destrukcji. Kobieta przeważnie ma ręce i głowę, ma też o jedno żebro więcej niż mężczyzna, z którego została wydobyta i ulepiona. Dziwny pomysł, mówisz. Dlaczego z żebra, a nie z czegoś innego. Wolałabym inną część męskiego ciała, jeżeli oczywiście mogłabym wybierać. Na szczęście kobiety nie miały wyboru, mówię, to był raj, a nie katalog sprzedaży wysyłkowej. Magritte dobrze o tym wiedział, ponieważ był wybitnym artystą. Kochał przez całe swoje życie jedną kobietę i zawsze ją malował. Później malował już nie ją, a jej obraz utrwalony w pamięci, później malował już tylko swoją pamięć, lekko zakrwawioną na skroni i z przymkniętymi oczami. Na końcu zwiedły liść i obłoki, piękne, przelatujące wysoko obłoki.

Droga do Milicza prowadzi kilkanaście kilometrów przez las pełen saren, dzików i krzyży znaczących miejsca śmierci jadących z nadmierną prędkością. Proste odcinki z trójkątem nieba wyciętego w zieleni. Opatrzność czuwa nad kierowcami, którzy starają się tam zdążyć przed Panem Bogiem, tylko nie wiem, dokąd. Do Krotoszyna czy do Trzebnicy? Patrząc ku górze łatwo jest wyobrazić sobie Jej Trójkąt inaczej, niż to rysuje się na pobożnych obrazkach. Powinien być odwrócony podstawą ku górze i skierowany ostrzem w naszą stronę. Wtedy łatwiej moglibyśmy zrozumieć, dlaczego jest tam tyle wypadków i jaka jest rola sił nadprzyrodzonych w naszym życiu. Nie wiem tylko, jak byłoby z jej okiem, które nigdy nie śpi. Czy też powinno być zwrócone ku górze? W końcu Przeznaczenie jest bezkierunkowe i nie przypomina istoty ludzkiej, podobnie jak cztery żywioły i najnowsze modele samochodów. Słucham muzyki klasycznej dla

kierowców. Mozart łagodzi obyczaje. Podobno holenderskie krowy przy dźwiękach jego koncertów skrzypcowych dają więcej mleka, podczas gdy przy rapie i metalu bodą i ryczą przeciągle. Milicz jest coraz bliżej. Niebo jest coraz dalej. Trójkąt zniknął i nie wiem, jaka jest teraz jego pozycja na tle letnich obłoków. Oko patrzy na mnie uważnie. Sprawdza, czy nie przekroczyłem nadmiernie dozwolonej prędkości. Światelka pozostawione pod krzyżami cicho płaczą. W radiu „Lacrimosa”, z moich oczu leją się łzy, czyste rześiste.

Waldemar Okoń

Krzysztof D. Szatravski

WSZĘDZIE



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom X**Krzysztof D. Szatrawski – Wszędzie**

Autor: Krzysztof D. Szatrawski

Tytuł: Wszędzie

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 98

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-3-3

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Piotr Wojciechowski

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Już pierwszy wiersz pokazuje, jaki świat interesuje Krzysztofa Szatrawskiego. Ukryty, ale swą tajemnicą rozkwitający. Pojmujemy też wstępnie, jaką metodą autor się posługuje, aby pokazywać i analizować to, czego nie widzi nikt prócz niego. Bo zanim przeczytamy jego kolejny wiersz, jesteśmy przekonani, że tego nie ma. I oto olśnienie! Jest!

Poeta dysponuje rzadką umiejętnością wydobywania „siebie z ciebie”, stosowania własnych sposobów przedstawiania emocji i nieznanego,

nieoczekiwanego. Raz jest to chwila obecna, kiedy indziej zdarzenie wyrwane z historii, przyniesione z drugiej półkuli choćby przez anioła, a sprawa zawsze okazuje się ważna, nasza, własna...

Piotr Müldner-Nieckowski

Podróż bywa powrotem do źródeł, wtajemniczeniem lub spotkaniem z samym sobą. Z prawdziwej podróży wraca ktoś inny niż na nią wyruszał. W pewnym sensie życie jest podróżą. Tom Krzysztofa Szatravskiego *Wszędzie zderza nas ze wszystkimi sensami podróżowania i z tym, że miasto to po prostu miejsce, ale i ziemia wybrana, wysniona, obiecana.*

Anna Nasiłowska

O autorze:

Krzysztof D. Szatravski, ur. w 1961 w Kętrzynie, poeta, prozaik, muzyk i literaturoznawca, autor przekładów z języka angielskiego, hebrajskiego, niemieckiego, rosyjskiego, badacz kultury i recenzent muzyczny, autor tekstów piosenek i poezji konkretnej. Wydał osiem książek poetyckich, m.in. *Tak cicho śpiewa północ* (1997), *Pieśni miłości i rozstania* (1999), *Wiek nowy* (2014), *Czas płonących ogrodów* (2018). Jego wiersze tłumaczono na kilkanaście języków. W Rosji ukazała się książka *Nizhe sna* (przekł. Eugenia Dobrowa, Czeboksary 2020), a w Rumunii *Cartea indoielilor* (przekł. Leo Butnaru, Iasi 2020). Laureat wielu nagród literackich – polskich i zagranicznych, w tym Nagrody im. Maksymiliana Wołoszyna (2016), odznaczeń – Zasłużony dla Kultury Polskiej (2016), Za zasługi dla Województwa Warmińsko-Mazurskiego (2018) oraz statuetki św. Jakuba (2020). Honorowy Obywatel Miasta Kętrzyna (2018).

Fragmenty

Jeszcze wcześniej

jest całkiem cicho
jeszcze
godziny się nie liczą
w tym mieście

zupełnie nieznaczące
 przemijanie
 a cienie już krótkie
 jakby słońce stało w zenicie
 jest ulica i płonie w jasności
 anioły w pośpiechu
 przygotowują się
 do codziennych obowiązków
 w przejrzystym powietrzu
 poruszają się tak prędko
 że kręci im się w głowach
 i coraz szybciej zataczają kręgi
 aż wszystko się zdaje
 całkiem przezroczyste

Wieczność

taka cisza i gwar taki
 w dolinie wspólnot nie słysząc nawet echa
 i żadna uroczystość nie trwa dłużej
 niż ułamek chwili

a jaka ciemność i blask jaki
 wieczór na balkonie gdy dołem płynie życie
 i żadna rzeczywistość nie jest uczcą
 ani odpoczynkiem

o przyjaciółach, którzy śpią
 kiedy pochód ze śpiewem Hare Krysna
 przechodzi im nad głową, w domu narodów
 jeszcze więcej milczenia

St. Petersburg o świcie

jest poniedziałek po święcie marynarki wojennej
 słońce rozświecila szerokie ulice jest pusto

taksówka zatrzymuje się tylko na światłach
na rogu grochowej i prospektu admirałskiego
na domu w którym mieściła się czerezwyczajka
tablica z profilem Feliksa Edmundowicza
odczytuję jeszcze nazwisko wodza rewolucji
taksówka mija kolejne domy i tablice
których treści nie zdążę zauważyć

na Newskim przed witryną Zary
dziewczyna w marynarskiej czapce
stojąc na palcach całuje chłopca w mundurze
splata ręce nad jego karkiem
jakby były cumą i mogły zatrzymać tę chwilę

na kolejnych światłach nie ma nikogo
tylko wiatr miota plastikowym kubkiem
który się toczy – to w tę, to z powrotem
i wciąż nie może zamknąć kręgu

Pięć zimowych haiku

*

w styczniu mróz srogi
puste ulice smaga
ciepło od okien

*

w nocnej alei
lampy spod białych czepców
gubią fotony

*

śnieg na jeziorach
pod nogami trzeszczący
ścieli się dywan

*

prężą się świerki –
na srebrne panny z nieba
spada milion gwiazd

*

sierpniowe miasto –
zapomniany kontynent
w zimnej otchłani

Wszędzie

myślałem, nie ma już aniołów
opuściły nas wszystkie
na zawsze i na wszędzie
może nie mogły dłużej znieść
naszej obecności w świetle dnia
w chwili, kiedy w końcu uwierzyliśmy
że możemy smakować życie
do woli śpiewać, bez bólu kochać
aż nastąpi kres historii
nic się jednak nie wydarzyło
anioły niezauważenie
podążały swoją drogą
podnosząc los
rzucony im w dniu stworzenia
zawsze na czas
świat zdawał się kurczyć
zaciskała się pętla przestrzeni
dopóki nie zrozumieliśmy
że zostaliśmy tylko my
pozostawieni sami sobie
i powietrze
drży jeszcze
od uderzeń wielkich skrzydeł

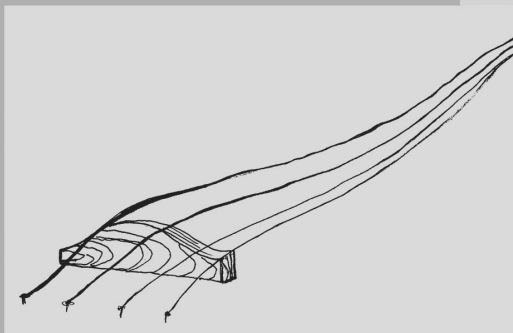
Krzysztof D. Szatrawski

Barbara Szczepańska „Judyta”

RÓWNANIA

z trzema nie/ś/wiadomymi
mężczyznami

czyli burzliwe życie małej Pi i małej Mi



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom IX**Barbara Szczepańska „Judyta” – Równania z trzema****nie/ś/wiadomymi mężczyznami****czyli burzliwe życie małej Pi i małej Mi**

Autor: Barbara Szczepańska „Judyta”

Tytuł: Równania z trzema nie/ś/wiadomymi mężczyznami
czyli burzliwe życie małej Pi i małej Mi

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2021

nr wydania: I

liczba stron: 124

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-2-6

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Bożena Boba-Dyga

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Muzyka i matematyka mają ze sobą wiele wspólnego. Pitagoras twierdził, że wszystko jest liczbą, a każdy element wszechświata można wyrazić za pomocą ułamków, z czego wywodzi się pojęcie harmonii sfer, koncepcji łączącej muzykę z matematyką. U Barbary Szczepańskiej wchodzi w to jeszcze poezja. I to nie byle jaka. Niezwykle spójny tomik, w którym Mi wraz z Pi opłatają mężczyzn jak winorośl. Autorka idzie w abstrakcję,

groteskę i żart, uderza czasem w dramatyczne tony. A wszystko po to, by pokazać nam, że Yin i Yang żyć bez siebie nie mogą.

Małgorzata Karolina Piekarska

Równania z trzema nieś/wiadomymi mężczyznami tworzą skrzącą się dowcipem grę językową i zarazem grę z życiem, budując liryczną opowieść, której bohaterkami są mała Pi i mała Mi. Można sądzić, iż są to siostry rywalizujące o względy trzech mężczyzn. Jednak Pi odsyła do liczby Pi, natomiast Mi jest nutą solmizacyjną „e”. Oryginalny zamysł twórczy wpisuje burzliwą biografię bohaterek w próbę odnalezienia poprzez nie harmonii życia zgodnie z Keplerowskimi poszukiwaniami kosmicznego ładu. Pokój pomiędzy Pi i Mi miałby obrazować przekroczenie przeciwieństw naznaczających egzystencję walką pomiędzy płciami, naturą a kulturą, przeszłością a przyszłością. Pojednanie możliwe jest jednak tylko na chwilę, a osiągnięcie go zdaje się wykraczać poza doczesność.

Zofia Zarębianka

O autorce:

Barbara Szczepańska „Judyta” (Barbara Szczepańska-Herman) – urodziła się i mieszka w Krakowie, poetka, prozaiczka, wokalistka, autorka sztuk teatralnych, musicali i tekstów piosenek. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej i Podyplomowego Studium Logopedii. Laureatka ogólnopolskich nagród poetyckich i II nagrody w Przeglądzie Piosenki Autorskiej OPPA w Warszawie. W latach 80. występowała w Krakowskiej Piwnicy pod Baranami. Jest autorką pięciu tomików wierszy, zbioru opowiadań, książek dla dzieci, bajek muzycznych, płyt z piosenkami autorskimi. Brała udział w warsztatach komediopisarstwa i warsztatach scenariuszowych „Script Forum”. Jest stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, Związku Autorów i Kompozytorów ZAKR, Stowarzyszenia Artystyczno-Literackiego STAL i Izby Architektów Polskich. Występuje z zespołem muzycznym. Strona internetowa: www.barbaraszczepanska.art.pl.

Fragmenty

Mała Pi spotyka małą Mi*

dominanta wielkiej góry
rzucała cień
na klawiaturę
lustro wykrzywiało
twarze tańczących
po czym zamilkło
szklana winda stanęła
na wysokości zadania
między piętrami
lasu
zieleń nie dawała
jej odczuć
nadmiaru chlorofilu

tylko mała Pi
romansowała
z saksofonistą ssała
jego okrągły
ustnik perwersyjnie

zazdrosna Mi udając
obojętność kołysała się
na pięciolinii
próbując cokolwiek
zrozumieć
z nienaturalnego zachowania
lojalnej Pi

w końcu zatrzymała się
i wbrew zapisowi

prześlizgnęła

o następny
półton

*Mi – nuta solmizacyjna „e” na pierwszej dolnej linii pięciolinii w kluczu wiolinowym

Czworokąt

ich trzech a ona jedna
nic nie mówi tylko wzdycha
może udaje a przecież
przystała na ten układ
bez pruderii

ta figura jej odpowiada
przyznają ci trzej
z pewnym wahaniem
niebezpiecznie
podniecającym

jej zwinne ciało
w ostatniej chwili chwyta
równowagę tracąc
diament

który spada
z przyśpieszeniem
nieziemskim z jej
pępka znacząc
trajektorię

nowej planety
rozkoszy ujętej
wzorami trudnymi

do obliczenia

na arenie najśmielszego
w tym miejscu cyrku

podświadomości

Dwoistość

ich sąsiedzi uciekając przed Niemcami
w metalowej skrzynce w ścianie schowali
zaoszczędzony dorobek swojego życia
modlili się do Boga o szczęśliwą ucieczkę
i powrót

po latach obcy ludzie w opuszczonym
domu odnaleźli metalową skrzynkę
i przeglądając jej zawartość dziękowali
Bogu za wspaniały prezent od losu
który im dał

Podróż

skończyło się
przyciąganie ziemskie
zdążyli się jeszcze
odwrócić plecami
do siebie

odchodząc w swoją
stronę każde z nich

wpadało
w inną

czarną dziurę

Blues

nie odbierzesz mi
tego bluesa
odejdę z nim daleko
za siedem gór i rzek
siedem mórz i siedem
cudów świata i będę go
śpiewać napotkanym
zmęczonym ludziom
takim jak ja

będę opowiadać historię
naszego dwunastotaktowego
pieprzonego życia
dzień po dniu

nutka po nutce niech
dowiedzą się o takich jak ty
bo tylko ja zapamiętałam
każdy twój poranny
i wieczorny akord
do bólu

po prostu ten nasz
pieprzony blues

Tamta

Pamięci mojej siostry, Ani Krajewskiej

nie ma tej dziewczynki
w podkolanówkach
z motylem we włosach

z tornistra wypadły kredki
i zeszyty w linie

nie ma tej roztańczonej
długonogiej panny w koronkowej
sukience z pierwszych stron
modnej gazety

nie ma tych obiecanych
słów są tylko zmięte
i podarte listy rozgnieciony
orzech i nowy naszyjnik
ze sztucznych pereł

nie ma tej kobiety
o podkrążonych oczach
i nieprzespanych
nocach

jest tamta dziewczynka
w podkolanówkach
z motylem we włosach
z torebki wypadły kredki
zgubiły kolory
zeszyty zgubiły linie

jest tamta dziewczynka
narysowana

ołówkiem 2B

Barbara Szczepańska „Judyta”

Kazimierz Świegocki

MICKIEWICZ

egzystencjalny



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom XII**Kazimierz Świągocki – Mickiewicz egzystencjalny**

Autor: Kazimierz Świągocki

Tytuł: Mickiewicz egzystencjalny

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: listopad 2021

nr wydania: I

liczba stron: 286

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-962200-1-1

cena: 30,00 zł

Ilustracje: Marek Sołtysik

Redakcja tomu: Zbigniew Zbikowski

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Do lektury Mickiewicza powinno się wracać w różnych momentach życia. Książka Kazimierza Świągockiego pokazuje, że warto: przynosi ożywczą interpretację egzystencjalnych wątków *Sonetów krymskich*, pomniejszych wierszy, utworów tłumaczonych przez Mickiewicza, a zamyka ją szkic o *Panu Tadeuszu* i *Dziadach*. Do zacnego grona piszących o Mickiewiczu filologów dołączył filozof.

Anna Nasiłowska

Interpretacje profesora Świągockiego, filozofa i poety, są jak deszcz, którego łaknęła chyląca się ku ziemi, osłabła kania. Ożywcze, świeże, cierpliwie odnawiają dostęp do poezji Adama Mickiewicza, wręcz otwierają wciąż przez nieznane siły przymykane wrota. O Mickiewiczu, jak się wydaje, większość z nas niemal zapomniała, pozostawiając sobie jedynie jego konterfekt wieszczą w postaci *Pana Tadeusza*. Problem mają z tym między innymi nauczyciele, zwłaszcza licealni, którzy w bibliotekach znajdują zbyt mało pożywki dla własnych rozstrzygnięć i polonistycznej dydaktyki. Ale również krytycy i literaturoznawcy, ponieważ wymykają im się argumenty hermeneutyczne. Czas więc nowocześnie spojrzeć wstecz, bo mimo wszystko chodzi o nasze jutro.

Piotr Müldner-Nieckowski

O autorze:

Kazimierz Świągocki (ur. 1943) – poeta, eseista, historyk literatury i kultury, filozof. Ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim i filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim. Doktorat obronił na UW (1986), habilitację na UMK w Toruniu (2011). Jako poeta debiutował w harcerskim tygodniku „Na przełaj” w 1959 roku. Za swoją twórczość otrzymał wiele nagród literackich i wyróżnień, m.in. Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka (2007) oraz Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida (2008). W latach 1974–2004 wydał sześć zbiorów poezji. Wybory jego wierszy ukazały się w przekładach na język rosyjski i białoruski. Był tłumaczony na język francuski, angielski, czeski, serbski i ukraiński. Najważniejszą jego książką w dziedzinie poezji jest *Kamień i czas. Wiersze, poematy, eseje*, która zawiera utwory zebrane. Jest też autorem pięciu książek eseistycznych i naukowych. Na temat jego twórczości powstało wiele prac naukowych i eseistycznych.

Fragmenty

Królestwo wolności i pejzaż wygnania

Sonety *Żegluga* i *Burza* należy czytać łącznie. Mówią one w swoich opisowych częściach o burzy morskiej. W każdym z nich jednak zjawisko to zostało inaczej przedstawione i inne podporządkowano mu treści egzystencjalne. Egzystencjalnym wyznacznikiem rzeczywistości przedstawionej i wyrażonej w *Żegludze* jest wolność (która to kategoria notabene w antropologii poetyckiej Mickiewicza jawi się jako wartość bodaj czy nie najważniejsza), w *Burzy* natomiast samotność, której motyw należy do naczelnych i przewija się przez wiele utworów poety, aż w *Improwizacji* z III części *Dziadów* osiągnie szczyt dramatycznego i heroicznego zarazem wyrazu.

W *Żegludze* potęgde morskiego żywiołu została przeciwstawiona odwaga człowieka, która ostatecznie doprowadza do zażegania grozy, a nawet odwrócenia relacji sił między żywiołem a człowiekiem. Z istoty słabej i podporządkowanej potęgde natury, staje się on istotą pod względem siły równorzędną jej, a przewyższającą ją siłą woli swojego ducha. A dzieje się tak dzięki temu, że człowiek niejako przejmując i wchłaniając w siebie rytm rozszalałej natury. A więc z siły sobie obcej i przeciwstawnej czyni potęgę przyjazną, bo własną. Dosiada jej tak jak jeździec rozszalałego konia, który zamiast jeźdźca straszyć, będzie go niośł tam, dokąd ów pragnie. Cel jeźdźcy staje się tożsamy z celem konia. Koń wprawdzie demonstruje swoją wolność, cwałując tam, gdzie zechce, ale jeździec właśnie dokładnie chce tego samego, więc podporządkowawszy swoją wolę woli rozszalałego konia, osiąga to, czego pragnął – wolność. Wolność konia jest wolnością jeźdźcy. Podstawmy w miejsce konia szalejące morze z sonetu i ogólniej: potęgę groźnej natury, w miejsce zaś jeźdźcy – człowieka jako istotę stworzoną do wolności (w myśl wyżej wspomnianej antropologicznej koncepcji Mickiewicza). Oto mamy paradoksalną sytuację: to, co wydawało się siłą

zniewalającą, okazuje się potęgą sprzyjającą, a nawet warunkującą wyzwolenie. Tylko koń może nas wynieść z nieograniczonego stepu, tylko morski wiatr może nam dać skrzydła i unieść jak ptaka do wolności.

Dokonało się to w wyniku swoistego przewartościowania koncepcji wolności. Wolność nie jest tutaj już pragnieniem przeciwnym naturze, ale z nią zgodnym. Ten jest wolny, kto rozumiał naturę i poznawszy jej prawa, użył ich do realizacji samego siebie, własnej istoty. Ten, kto utożsamiał się z nią duchowo, tym samym przejął w siebie jej potęgę i unieważnił dręczące napięcie między nią, a sobą jako istotą ludzką. Skoro potęga człowieka zrównała się z potęgą natury, to natura przestała już być człowiekowi przeciwna. Wyzwolenie z praw natury, czyli wolność, nastąpiło więc w wyniku totalnej, rzec by można ontologicznie i substancjalnie ufundowanej aprobaty dla nich. Człowiek z wyrzutka natury staje się jej współdzierżawcą, więc niejako półbogiem i półnaturą. Góruje nad nią nawet tym, że o niej wie, boi się jej, obłaskawia ją w lęku, by wreszcie uczynić ją sobie w paradoksalny sposób poddaną. Nad jej prawem staje jego odwaga zrodzona z przerażenia i lęku przed śmiercią. I ona zwycięża żywioły, a wśród nich żywioł najgroźniejszy – właśnie ów lęk i przerażenie nicością paraliżujące go w obliczu świata.

Sonet ten nie mówi niczego wprost o cierpieniu, ale mówi o triumfie człowieka nad cierpieniem. Owym zaś cierpieniem ukrytym, stanowiącym milczące założenie całej sytuacji egzystencjalnej, której utwór dotyczy, jest fundamentalnie, ontologicznie wręcz pojęte zniewolenie. Wolność pojawia się na końcu: „wiem, co to być ptakiem”.

Nietrudno jest prześledzić, jak przedstawiony tu egzystencjalny sens tego utworu rozwija się w ciągu obrazów wypełniających jego kolejne strofy. Oto w pierwszym wersie mamy obraz nadciągającej grozy: „Szum większy, gęściej morskie snują się straszdyła”. Wers drugi, z przejmującym wołaniem marynarza: „gotujcie się dzieci!”, nie pozostawia wątpliwości, że sytuacja wymaga natężonej uwagi i podjęcia decyzji, jak się wobec grozy zewnętrznej zachować.

„Gotujcie się” to wyrażenie niedopowiedziane. Zrazu wydawać by się mogło, że chodzi o gotowość na śmierć, bo statek może zatonać. I jest to realistyczne z psychologicznego punktu widzenia. Wobec spotęgowanego żywiołu, zwłaszcza gdy ujawnia swą grozę nagle (a tę nagłość sugerują już pierwsze słowa: „wiatr! wiatr!”), wyzwala się w człowieku uczucie lęku

i przerażenia. Ale następujący w trzecim wersie i czwartym obraz owego marynarza, który wspina się na szczyt masztu, aby zwinąć żagle i w ten sposób zmniejszyć niebezpieczeństwo zatopienia statku od uderzeń w nie wiatru, symbolizuje i wyraża siłę i wolę przetrwania, i przede wszystkim chęć przeciwstawienia się żywiołowi, tym bardziej zdecydowanego, im większa jest jego niszczycielska siła. Marynarz ów („majtek”) porównany tu został do pająka czatującego na skinienie sidła. Pająk pilnujący pajęczyny to władca owadów, istot słabszych od siebie. W obrazie marynarza zwijającego żagle okrętu należy widzieć nie człowieka przerażonego, lecz odważnego i zdecydowanego na walkę z żywiołem i wierzącego w zwycięstwo.

Pierwsza strofa zatem przedstawia najpierw lęk, a następnie odwagę. Kategorie wobec siebie tyleż przeciwstawne, co odpowiednio wzajemnie się implikujące. Nie bez znaczenia jest tu ich kolejność – pierwszy lęk, potem odwaga. W istocie pierwotniejszą reakcją psychoegzystencjalną człowieka na rzeczywistość nieznanego, a groźnego świata jest właśnie lęk. Potem dopiero następuje próba jego przezwyciężenia, która wymaga odwagi.

Strofa druga zaczyna się przywołaniem wiatru, a w brzmieniu nasuwa podobieństwo do uderzenia w werble lub kotły, jakby na znak rozpoczęcia ataku bojowego. To atak wzburzonego morza: „wiatr! – wiatr!”. Temu atakowi odpowiada reakcja statku przedstawionego na podobieństwo skrzydlatego konia (może to przywołany podświadomie obraz Pegaza?), dla którego morze nie jest mniej znane niż step. Więc ów koń-statek, usłyszawszy werble wiatru, nie tylko się ich nie przestrasza, lecz je przyjmuje jako sygnał do walki. I oto rozpoczyna się pojedynek konia-okrętu z szalejącym morzem. Doprawdy fascynujący skrócony obraz walki boskich żywiołów z *Iliady* Homera. Okręt to ostatecznie ludzka rzeczywistość, po prostu człowiek. Przyjął on wyzwanie żywiołów świata dążących do unicestwienia go. Potęgą i grozą morza (które tu rozumiemy jako symbol rzeczywistości pozaludzkiej, a nieprzyjaznej człowiekowi) udzieliła się człowiekowi i wzbudziła w nim pragnienie walki, i to walki nie tylko obronnej, ale wręcz ofensywnej, spotęgowanej pragnieniem i wiarą w zwycięstwo.

To nie malarsko-naturalistyczny opis zdanego na szaleństwo burzy okrętu wypełnia wersy drugiej strofki. To kreacja wyobraźni poetyckiej zainspirowana obsesyjną u poety ideą wolności wywołała te obrazy, w których morze jawi się żywiołem poddającym się woli człowieka, a człowiek

staje się panem żywiołów. Przyjrzyjmy się, jak okręt (symbol ludzkiej istoty) zachowuje się wobec, zdawałoby się nieugiętego i nieubłaganego, morza pragnącego wyłącznie unicestwić go. Oto okręt się „dąsa”. A „dąsać się”, to zarówno być niezadowolonym ze swojego stanu posiadania, jak i wyrażać niezależność od tego, przeciwko czemu to dąsanie kierujemy. Następnie „zrywa się z wędzidła”. Dosłowny sens jest tutaj taki, że w czasie burzy nastąpiło niebezpieczne zerwanie statku z kotwicy. Ale właśnie statek ów traktuje to jako dobrodziejstwo. Pojawia się bowiem okazja do zasmakowania wolności. Więc to, że „przewala się, nurkuje w pienistej zamieci”, nie tylko nie powinno nas już niepokoić i przerażać, a przeciwnie – fascynować i wprawiać w entuzjazm. On na pewno nie utonie. Da sobie radę, przezwycięży żywioły. Będą mu posłuszne. Bo oto nie ugina się pod nawalą fal, lecz „wznosi kark” i „zdeptał fale”. Nie na dno, lecz „skroś niebios leci”. A wzniósłszy się – z naturalnego punktu widzenia nazbyt wysoko, a więc w zasadzie niebezpiecznie – nie lęka się, że upadnie i wywróci się, lecz świadom i pewien swojej siły i przewagi nad żywiołami „obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła”. Staje się pośród ciemnych i ślepych żywiołów sam zwycięskim żywiołem. (Genialność poety przejawia się tu w tym, że opartemu na wizualnych efektach naturalistycznemu opisowi potrafi on nadać ponadnaturalną głębię znaczeniową).

Obie tercyny potwierdzają tylko i udobitniają antropologiczno-egzystencjalny sens pozornie naturalistycznych obrazów strof początkowych. Poeta mówi teraz o sobie. Ale wiemy, że i wcześniej również siebie miał na myśli. Wszakże nie siebie dosłownie jako empiryczną jednostkę ludzką, lecz jako człowieka uwikłanego w sieć pewnych relacji (bardzo niebezpiecznych) ze światem. Z nieukrywanym tryumfem powiada: „I mój duch masztu lotem buja śród odmetu”. A zatem jakby chciał powiedzieć: ten okręt to ja, i tak jak on dał sobie radę pośród żywiołów, tak i ja dam sobie pośród nich radę. Ostatecznie cała ta burza wydaje się również kreacją wyobraźni: „Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli”. W obu tercynach powtarza się zresztą sytuacja wyrażona w kwartynach w ten sposób, że to, co tam działo się jako rzeczywistość zewnętrzna, tutaj jawi się jako rzeczywistość wewnętrzna – gra wyobraźni i myśli refleksyjnej. Pojawia się więc i tutaj para opozycyjno-dopełniająca się: podświadomy strach („mimowolny krzyk”) i świadoma radość („wesoły orszak”), znak zwycięstwa – para analogiczna do wcześniejszej: lęku i odwagi. Następnie

wspaniały wzlot wyobraźni w wizji poety usytuowanego na okręcie i wraz z nim dosiadającego morskie żywioły symbolizujące wszelkie przeciwieństwa ludzkiego losu: „Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu, / Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli”. Wreszcie osiągnięcie stanu wyzwolenia, w którym możliwe jest takie kończące sonet wyznanie-zachwycenie: „Lekko mi! rzeźwo! lubo! Wiem, co to być ptakiem”. Wyznanie zapowiadające apoteozę wolności wyrażoną z jeszcze większą siłą w *Farysie*, a kontynuująca ją od *Ody do młodości*.

Kazimierz Świągocki

Szczęśny Wroński

CZAS SIĘ WESELIĆ



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom XIII**Szczęśny Wroński – Czas się weselić**

Autor: Szczęśny Wroński

Tytuł: Czas się weselić

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 128

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-1-9

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Joanna Sendłak

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Poeta Wroński w wierszach przedstawia to, co nim szarpie od wczesnej młodości, kiedy po raz pierwszy naraził się jakiejś władzy i okazało się, że świat nie jest tak przyjazny, jak się wydawało, kiedy Szczęśny uczył się mówić. Nie jest taki, ale jaki? W czym to się zawiera i jak się zderza z tym, co jednak jest miłe, korzystne i co łagodzi jętrzenie się ran? Książka pokazuje metodę poetyckiej reakcji Wrońskiego na świat: od ogółu, systemu

dokuczliwego, do szczegółu prywatnego, domowego, miłosnego. Chodzi o to, pisze, „byśmy z dnia na dzień nie stali się hordą Hunów, przerażonych sobą zdobywców nicości”.

Piotr Müldner-Nieckowski

„Stąd do tamtąd” – oto poeta w drodze. Tęsknota za minionym, lęk przed przyszłym – między jednym a drugim Szczesny Wroński nawet nie próbuje kluczyć. Coś było. Coś jest. Poeta odnotowuje fakty i nastroje. Wyznaje grzechy. Upatruje nadziei w słowie. A te powoli umykają: „oddalają się ode mnie wiersze / których jeszcze nie zapisałem”.

Jednak poeta – idąc za tytułem tomu *Czas się weselić* – nie gubi ani siebie, ani nas. W końcu – jak pisze – „świat toczy się i ja się toczę”; koło, choć zakłete, przynosi światło.

Krzysztof Bielecki

O autorze:

Szczesny Wroński – poeta, prozaik, człowiek teatru, performer, redaktor, animator kultury.

W latach 1978-85 związany z Teatrem STU (asystent reżysera, współpracownik literacki, kierownik studia aktorskiego). W latach 1999-2013 współtworzył Teatr Dialog w Krakowie. Jest autorem książek poetyckich, prozatorskich i utworów dramatycznych.

Na początku lat 90. założył w Krakowie Teatr Promocji Poezji, który realizuje spektakle i wydarzenia promujące literaturę. Dotychczas wydał dwanaście książek, najbardziej reprezentatywne to: *Potwór nie opisany* (proza eseistyczna) 1999, *Wolna miłość* (powieść, I nagroda w ogólnopolskim konkursie im. Mikołaja Reja z Nagłowic 1998) 2000, *Poręcze* (wiersze i proza) 2006, *Nie pozwól milczeć sercu* (wybór wierszy) 2008, *Konsultanci* (powieść) 2014, *Czas rozpocząć* (wiersze) 2015, *Piszę poemat* (wywiad-rzeka, poezja, proza) 2017.

Redaktor kwartalnika „LiryDram”.

Należy do krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

<https://culture.pl/pl/tworca/szczesny-wronski>

Fragmenty

Matka nadzieja

Roztliła się Nadzieja
pomiędzy wersami
Twoje żywe imię

Choć już prawie wszyscy
czytają Cię jako
metaforę

Hak

Skrzywdziłem wiele kobiet
traktując je jak ścierki

Jedna powiedziała
– byłeś dla mnie jak hak
w pustej przestrzeni

Puenta

Będąc dzieckiem
pochowałem wróbla
powrócił po latach z kolorową
wstążeczką w dziobku
Nieco później
przyszedł do mnie ojciec
rozerwał skrzydła metalowej trumny
podał mi rękę
Moje marzenia

rozskrzeczały się żądne świecidełek
ni stąd ni zowąd wyfrunęły spod ziemi
A Pan Bóg zagadnął znienacka
— jesteś czy cię nie ma?
Odpowiedziałem że kto jak kto
ale On powinien wiedzieć
że przecież jestem

Pisarze

pisarze żrą się jak psy
psy miażdżą kości potężnymi zuchwami

pisarze ryją jak krety
krety zaludniają podziemne korytarze odchodami i resztkami żarcia

pisarze budują kopce jak termyty
termyty wwiercają się w strukturę kości, która staje się kością
[z wieży słoniowej]

pisarze budują tamy jak bobry
bobry rozpryskują czyste tonie poszukując legendarnego źródła łez

pisarze liżą tyłki władcom tego świata
władcy tego świata miażdżą psy potężnymi
zuchwami ryją podziemne korytarze z kości
słoniowej rozpryskują przejrzyste tonie wód
poszukując legendarnego źródła
nienawiści

Jesiennie

Wczoraj
zjadłem być może ostatni
w tym sezonie obiad na tarasie
blisko mnie skupiona kępa kwiatów

pod przewodnictwem drewnianego bociana
deliberują jak przetrwać zimę
nie wiem jak to się dzieje
że ta prozaiczna notatka
przeradza się w biały wiersz
aspirujący do wolności

myślę o wyborach
tych które sprawiły że ten mityczny taras
dom ogród rośliny ptaki piszą mną poemat

Dlatego jestem

Szczęśny Wroński

Zofia Zarębianka

MAJAKI



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom XIV**Zofia Zarębianka – Majaki**

Autor: Zofia Zarębianka

Tytuł: Majaki

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 92

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-959291-9-9

cena: 20,00 zł

Fotografie: Zofia Zarębianka

Redakcja tomu: Andrzej Appel

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Wiersze Zofii Zarębianki, składające się na tom „Majaki”, biorą swój początek z różnych obserwacji, przeżyć, wspomnień i skojarzeń językowych. Łączy je postawa wobec świata, poetka potrafi pogodzić ze sobą lęk z czułością a poczucie egzystencjalnego i cywilizacyjnego zagrożenia z tkliwym podziwem dla ludzi, zwierząt i roślin. Nie znam też nikogo, kto

potrafiłby współcześnie z taką szczerością i świeżością podjąć formę wiersza na Boże Narodzenie jak Zofia Zarębianka.

Anna Nasiłowska

Zofia Zarębianka ukazuje w swojej poezji wartości istotne dla odkrywania sensu i celu naszego życia. W krótkich zapiskach i dłuższych poematach próbuje przeniknąć tajemnicę radości i cierpienia w nas i wokół nas. „Majaki” to według poetki obraz świata, jaki uzyskujemy, korzystając z niedoskonałych narzędzi poznania. Dominują w tym obrazie niepewność i niepokój o ludzki los. Trwoga i nadzieja są ściśle powiązane w naszych codziennych doświadczeniach, jednak to Bóg i jego miłosierdzie uczą nas pokory i wytrwałości. Miłość i dobroć wobec wszystkich żywych istnień kształtują światopogląd poetki i decydują o ostatecznym optymizmie jej przesłania.

Adriana Szymańska

O autorce:

Zofia Zarębianka, poetka, eseistka, profesor zwyczajny w Katedrze Historii Literatury XX wieku na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Opublikowała: *Poezja wymiaru sanctum*, Lublin 1992, *Dzieśnięć Bożych słów*, (współautorka), Kraków 1993, *Świadectwo słowa. Rzecz o twórczości Anny Kamieńskiej*, Kraków 1993, *Zakorzenia Anny Kamieńskiej*, Kraków 1996, *Tropy sacrum w literaturze XX wieku*, Bydgoszcz 2001, *O książkach, które pomagają być*, Kraków 2004, *Czytanie sacrum*, Kraków – Rzym 2008, *Wtajemniczenia (w) Miłosza*, Kraków 2014, *Spotkanie w słowie. O twórczości literackiej Karola Wojtyły*, Kraków 2018, *Bóg wpisany w wiersze. Teologia poetów obcych*, Kraków 2018, *Bóg wpisany w wiersze. Teologia poetów polskich*, Kraków 2019; oraz osiem tomików poetyckich: *Człowiek rośnie w ciszy*, Kraków 1992, *Wyrwane z przestrzeni*, Kraków 1996, *Niebo w czerni*, Bydgoszcz 2000, *Jerozolima została zburzona*, Kraków 2004, *Wiersze: Pierwsze*, Poznań 2008, *Tylko na chwilę*, Kraków 2012, *Wiersze dośmiertne*, Kraków 2017, *Wiersze (trochę) przebrane*, Kraków 2019. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu. Wiersze Zofii Zarębianki przełożono na języki czeski, angielski, niemiecki, hebrajski, ukraiński i francuski.

Fragmenty

* * *

Dla Taty

Dziewięćdziesięcioletni
Chłopczyk
Obserwuje na łące
Motyle
Z siatką na kiju
Przerzuconą przez
Ramię
W krótkich spodenkach
Biegnie
Na spotkanie
Nad nim przelatuje
Ćma

* * *

Po śmierci Adama Zagajewskiego

Jeden za drugim nas opuszczają
Jakby ziemia zbyt wielkim stała się ciężarem
Kulą u nogi
Jeden za drugim
Jakby się umówili
W innym wymiarze na spotkanie
Ważniejsze od tutejszych terminów

* * *

Ten który był
I nie ma którego
Kraków żydowski
Zdmuchnięta
Szabasowa świeczka

* * *

Dziś Chrystus nie rodzi się
W Betlejem
Grota czy stajnia
Z pachnącym sianem
Palestyńskich łąk
To zbyt komfortowe
Jak dla Boga
Śpiewy pasterzy
Hołdy Trzech Króli
Podróż do Egiptu
Na potulnym
Bydlęciu
Gwiazda wskazująca
Drogę
To opowieść nazbyt
Liryczna
Jezus przychodzi
Na świat pod
Bombami Aleppo
Rodzi się
W schronach Doniecka
Przeprowadza się z Miriam
Przez Morze Śródziemne
Mieszka
W obozie pod Calais

grudzień 2016

* * *

Białe miasteczka
Na wzgórzach
Wyrastają z gajów
Oliwnych
Winnice obiecują
Obfitość
Umbria urzeka
Tajemnicą
Zieleń śpiewa hymn
Świętego Franciszka
Świat trwa
Mimo wszystko

Zofia Zarębianka

Waldemar Żyszkiewicz

WERTEP

historii / piruet stulecia



Seria: Kolekcja Literacka 2 – Tom XV

Waldemar Żyszkiewicz – Wertep historii/piruet stulecia

Autor: Waldemar Żyszkiewicz

Tytuł: Wertep historii/piruet stulecia

Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa

miejsce wydania: Warszawa

data wydania: lipiec 2021

nr wydania: I

liczba stron: 122

format: 125×200 mm

numer ISBN: 978-83-961519-0-2

cena: 20,00 zł

Ilustracje: Marek Sołtysik

Redakcja tomu: Krzysztof Bielecki

Korekta: Małgorzata Strękowska-Zaremba

Projekt graficzny i skład: Tunia

Redakcja serii:

Piotr Müldner-Nieckowski

Anna Nasiłowska

Małgorzata Karolina Piekarska

O książce:

Zbiór wierszy Waldemara Żyszkiewicza jest poetyckim komentarzem do historii ostatniego półwiecza: refleksyjnym, poważnym a czasem humorystycznym – pokazuje intelektualną ewolucję pisarza, od prób artystycznego przezwyciężania tradycji awangardowej i nowofalowej, aż po namysł nad konfliktami polskiej współczesności i kryzys zachodniej cywilizacji. Ta poezja powstawała w czasach, kiedy panował „wolny rynek eschatologii”, ale podmiot twórczy doszedł do wniosku, że „życie rozkwita od poruszeń duszy” oraz próbuje zapisywać „błyski epifanii w szczelinach między człowiekiem a Transcendencją”. Rzadki przypadek w najnowszej liryce (nie

tylko polskiej) tomiku wierszy, który wzbogaca naszą wiedzę o otaczającej nas naturze i historii, o człowieku – jego dążeniach, rozterkach, dramatach i radościach.

Krzysztof Dybciak

Tak, to jest ten rzadki przypadek, kiedy poeta pisze o rzeczach ogólnych, światowych czy miejscowych, i jednocześnie brzmi lirycznie, gra własną melodię na lirze nastrojonej swoim jedynym sposobem. Ten tom jest w dosłownym znaczeniu inny i wobec tego tak przykuwa uwagę, że każe powtarzać czytanie aż do osiągnięcia pełnego poznania. Każdy nawrót przyniesie coś innego, zaskoczy. Myśl i emocja są tu niczym historia, która przybiera postać (cytuje) „kobiety roztrzępanej, kobiety roztropnej”. Nie można się oderwać.

Piotr Müldner-Nieckowski

O autorze:

Waldemar Żyszkiewicz (ur. w 1947 w Rzeszowie) – poeta, publicysta, prozaik, autor adaptacji oraz scenariuszy teatralnych. Z wykształcenia niepraktykujący inżynier i filozof, z zawodu nauczyciel akademicki (AGH) i dziennikarz („Tygodnik Solidarność”). Autor siedmiu zbiorów wierszy, m.in.: *Nazwij to nowy radosny dzień* (1980), *Nibylandia, Szwecja i inne stany duchowe* (1984), *Pieśni między mężczyzną* (1994), *Taki lajf. Tejk 7.0* (2016), oraz wyboru publicystyki *Krótki bilans Polski tranzytowej* (2017). Należy do SPP, SDP i ZAiKS-u. Mieszka w Warszawie.

Fragmenty

Rock moralisty

Nie mówcie mi że jestem mistyk
wiem że człowieka ma ubywać
i gdy mi chodzi o cokolwiek
i gdy mi o cokolwiek chodzi
to żeby się nie niszczył człowiek
to żeby człowiek się nie niszczył
– jedynie zużywał

Czy jestem na tyle przystojny by umrzeć?
Czy jestem dość przystojny aby żyć w pamięci?

Nie mówcie mi że jestem mistyk
spróbujcie na mym miejscu sami
gdy cichy stoję tak przed wami
gdy tak przed wami stoję czysty
zaśpiewać rocka moralisty

Liryka, tyle że wstałem i co dalej

wstałem pogoda była olśniewająca
jeden z tych dni bez wczoraj
zmyłem z siebie dom w którym nocowałem
wszedłem w ulicę

obok wszystkiego doszedłem do Rynku
natchnienie kazało mi obejść

co piękniejsze miejsca
oglądnąłem się za najlepszą dziewczyną
weź w ręce mój cielesny zachwyt
chcę to zrobić z Tobą
powiedziałem do niej

słońce świeciło prosto
było zbyt pięknie
powinienem być w porę
zwrócić na to uwagę
słońce urosło mi przed oczami
i ta taktyka uliczna

zderzenie czołowe zdarzenie
śpiewały nazajutrz gazety

(1974)

Piękna Romina

Przemożna kobiecość
o nieco cygańskim imieniu
obdarzona nazwiskiem
ujmującym w ironiczny
cudzysłów urodę jej głosu
którego tryle bezwiednie
przynoszą zrozumienie
istoty baroku.

Fantomologia nowej muzyki

26-letni David Bowie w pokoju hotelowym
w którym nie ma nikogo kto by go pokochał
wyciągnięty na mosiężnym łóżku
spogląda blade na nieopatrzną młodość
dla której zużył całą niefrasobliwość

swego motylowatego ciała
 – nie da się kochać tych co są tylko
 rozjątrzoną wyobraźnią – myśli
 i obiektywnym ruchem ręki podciąga
 szachownicę koca aż po same uszy.

Dwie tradycje

Stopnie Kościoła Wotywnego
 porosły trawą.
 Samosiejki nad portalami
 zdobią fasadę drzeniem
 młodych listków.
 Okazała budowla o strzelistych
 wieżach jest w remoncie – ale
 Zesłanie Ducha Świętego trwa.

W parku naprzeciw – zieleń
 wielu maści. Rosną stokrotki
 i róże. Samica kosa przemierza
 murawę. Pod drzewem biwakuje
 grupa z pomarańczowym Irokezem.
 Dwie puste butelki stoją
 na ławce. Trochę złomu udaje
 rzeźbę. Obok – zejście
 do podziemnych garaży.

Opalona blondynka
 o cienkich pęcinach czyta
 książkę. W tej części park
 nosi imię Zygmunta Freuda.
 Kobieta z uśmiechem patrzy
 w przyszłość. Niebo
 zaciąga się. Drobne krople
 spadną na ludzkie głowy.
 Zwilżą trawę. Rozpuszczą
 atrament...

Uporczywa walka dwóch tradycji.
Tylko kosy i drozdy niezmiennie
muszą szukać pożywienia.

(1995)

Cienka czerwona linia

Są rzeczy, które warto robić
i takie, o których warto mówić.

Należy robić rzeczy, które robić warto
oraz rozmawiać o rzeczach, o których
warto mówić.
Często jednak lepiej
nie robić tego, o czym warto mówić.

(2018)

Waldemar Żyskiewicz



Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska